

KARTY HISTORII

NIKOŁAJ NIKULIN

SOŁDAT

OD LENINGRADU DO BERLINA. FRONTOWA
PRAWDA W OPOWIEŚCI SZEREGOWEGO
ŻOŁNIERZA ARMII CZERWONEJ

LITERATURA FAKTU PWN

Ośrodek Karta

KARTY HISTORII

NIKOŁAJ NIKULIN

SOLDAT

LITERATURA FAKTU PWN Karta

WARSZAWA 2013

© N.N. Nikulin, spadkobiercy, 2013

© for the Polish edition by Ośrodek KARTA, 2013

© for the Polish edition by Dom Wydawniczy PWN Sp. z o.o., 2013

Ośrodek KARTA

ul. Narbutta 29, 02-536 Warszawa

tel. 22 848 07 12, faks 22 646 65 11

ok@karta.org.pl

www.karta.org.pl

Dom Wydawniczy PWN Sp. z o.o.

Grupa Wydawnicza PWN

ul. Gottlieba Daimlera 2, 02-460 Warszawa

tel. 22 695 45 55

www.dwpwn.pl

Wydanie pierwsze, Warszawa 2013

Tytuł oryginału: *Wspominanija o wojnie*

Tłumaczenie z języka rosyjskiego: Agnieszka Knyt

Konsultacja historyczna: prof. nadzw. dr hab. Zbigniew Wawer

Opieka redakcyjna: Aleksandra Janiszewska, Maria Krawczyk

Projekt okładki do serii: Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN –

www.panczakiewicz.pl

Fotografie na okładce: na pierwszym planie – żołnierz sowiecki ładuje amunicję (Dmitri Baltermants/The Dmitri Baltermants Collection/Corbis), z lewej – żołnierz sowiecki w hełmie (Dmitri Baltermants/The Dmitri Baltermants Collection/Corbis), z prawej – grupa sowieckich żołnierzy w Berlinie w maju 1945 (EAST NEWS/AFP/IVAN SHAGIN)

Layout, skład i łamanie: Ewa Modlińska

ISBN 978-83-7705-295-2



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza publikacja ani jej żadna część nie może być kopiowana, wielokrotniana i rozpowszechniana w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydawca niniejszej publikacji dołożył wszelkich starań, aby jej treść była zgodna z rzeczywistością, nie może jednak wziąć żadnej odpowiedzialności za jakiegokolwiek skutki wynikłe z wykorzystania zawartych w niej materiałów i informacji.

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

OD KARTY

OD AUTORA

POCZĄTEK

POGOSTJE

311 DYWIZJA STRZELECKA

WOJENNY DZIEŃ POWSZEDNI

JAK RODZĄ SIĘ BOHATEROWIE

NAJWAŻNIEJSZY EPIZOD Z ŻYCIA PLUTONOWEGO
KUKUSZKINA

MIŁOŚĆ W STEPIE POD STALINGRADEM

KONIEC MOJEJ KARIERY WOJSKOWEJ

JA I WKP(B)

STACJA POLANA

SPOJRZENIE Z GÓRY

WSPOMNIENIA MARYNARZA 4 BRYGADY PIECHOTY
MORSKIEJ Ł.M. MARKOWA, CZYLI TYPOWA OPERACJA
NASZYCH WOJSK W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ

NOWOGRÓD

STRIEMUTKA

WIEŚ POGOSTISZCZE, SASZKA PAŁASZKIN, IWAN
IWANOWICZ WARIENNIKOW, SIERIOŻKA ORŁOW I INNI

SEN

SZPITAL

STARSZY SZEREGOWIEC GWARDII KUKUSZKIN, CZYLI
JAK PO RAZ OSTATNI WALCZYŁEM O NAJWYŻSZE
IDEAŁY

SŁYNNE POLSKIE MIASTO CZĘSTOCHOWA

KAPITAN GWARDII CYKAŁ, CZYLI MIŁOŚĆ SOWIECKO-
NIEMIECKA

DLACZEGO MAJOR G. STRZELAŁ?

OBÓZ

PIET'KA SZABASZNIKOW

ERYKA, CZYLI MOJA OSOBISTA KLĘSKA PODCZAS II
WOJNY ŚWIATOWEJ

MARSZAŁEK ŻUKOW

KONIEC WOJNY

BERLIN

SCHWERIN

O ROLI JEDNOSTKI W HISTORII

POWRÓT

PRAWDY POWOJENNE

IGOR DJAKONOW, CZYLI KTO ZWYCIĘŻYŁ NIEMCÓW W

WIELKIEJ WOJNIE OJCZYŹNIANEJ

CZTERDZIESTOLECIE

WOJNA ZAWSZE BLISKO

WETERANI I MIEJSCA PAMIĘCI

DRUGA STRONA

POSŁOWIE

PRZYPISY

OD KARTY

W książkach o wojnie zazwyczaj wiele jest statystyk, bohaterskich czynów, zwycięskich bitew i wielkich porażek, a mało prawdy o człowieku. Ta książka jest inna.

Nikołaj Nikulin pokazuje samą wojnę (nie brak tu choćby dojmujących opisów krwawych walk), ale też mówi o tym, co czyni ona z ludźmi i w jaki sposób zachowała się w ich pamięci – zwłaszcza tej wewnętrznej, osobistej. Swoje wspomnienia zaczął spisywać w czasie epoki breżniewowskiej, kiedy prawdziwą pamięć o wojnie zastąpiono zwycięskim mitem. W tym szczerym aż do bólu zapisie zdobywa się na taki obraz „heroizmu”, jaki po żołnierzach Armii Czerwonej nie pozostał...

W Związku Radzieckim taka publikacja nie miała szans ukazać się w oficjalnym obiegu wydawniczym, a i w dzisiejszej Rosji jest jedną z nielicznych. Relacja żołnierza sowieckiego, który bez ogródek pisze o swoich pobratymcach – o gwałcących i rabujących *sołdatach*, o bezwzględnych i często bezmyślnych decyzjach dowódców, dla których życie szeregowca nie było nic warte – w Polsce ukazuje się po raz pierwszy. Możemy oczami czerwonoarmisty spojrzeć na wymiary wojennej rzeczywistości, które dotychczas oglądaliśmy jedynie z pozycji ofiar.

Przez dziesięciolecia od zakończenia wojny w ZSRR publikowano głównie beletrystykę opartą na przeżyciach frontowych. Taka literacka forma dawała możliwość większej swobody w przedstawianiu faktów, różnego rodzaju przemilczeń, a tym samym tworzenia obrazu romantycznego i „wygładzonego”. Wśród ogromnej liczby wydanych dotąd po rosyjsku wspomnień, począwszy od szeregowych żołnierzy aż po generałów, doświadczenie wojenne w dużym stopniu było okrojone z niewygodnych

wątków, cenzurowane bądź wprost fałszowane, również przez samych autorów.

Wybitny pisarz białoruski Wasil Bykau (rocznik 1924, żołnierz armii sowieckiej w czasie II wojny) po przeczytaniu rękopisu wspomnień Nikołaja Nikulina w listach do niego z 1996 roku pisał:

„Niełatwa była ta lektura – tyle wyrzucił Pan z siebie naszej strasznej wojny, która już powoli jest zapominana. Nawet przez jej uczestników. Niewielu zostało wiernych jej wstrząsającej pamięci i tym większa powinna być wdzięczność dla tych, którzy zadają sobie trud zdania świadectwa. Tak jak zrobił to Pan. Czytałem rękopis z żalem, że nie został dotąd wydany. Choć jest to oczywiście zrozumiałe – bo czy można było go wydać? Jeszcze niedawno takie rękopisy z wydawnictw nie wracały do autorów. Trafiały do KGB. A dziś komu to potrzebne? [...] Wraz z odejściem ostatniego z nas umrze również Prawda.

[...] Nasi weterani są zatroskani przede wszystkim o to, jak by tu ukryć tę prawdę, zastąpić ją opowieścią, w której odgrywają jedynie rolę bohaterów. Wczuli się w ten nadęty obraz i nie pozwalają go zburzyć. Nigdzie nie ma takich wspaniałych weteranów, jak w naszym ojczystym, kochanym Związku Radzieckim.”[1]

Rosyjska pamięć o doświadczeniu II wojny światowej w ostatnich latach została znacznie poszerzona, jednak nadal jest w dużym stopniu niepełna i nieprawdziwa. Dlatego też wspomnienia Nikołaja Nikulina, mimo iż zostały wydane w niewielkim nakładzie (przez Wydawnictwo Państwowego Muzeum Ermitażu w 2007 roku), spowodowały wstrząs w rosyjskiej świadomości zbiorowej i stały się ważnym elementem formowania tej pamięci. Zaprzeczyły bowiem budowanemu konsekwentnie przez propagandę, jednemu z najważniejszych dla Rosjan, symbolowi tożsamości narodowej – wielkiej wojnie ojczyźnianej. Autor nie oszczędza dowódców, ale też siebie i swoich kolegów – szeregowych żołnierzy. Nie ma tu hurrapatriotycznych opisów walk, jedynie surowa prawda okopów.

Zasadniczą część swoich wspomnień Nikołaj Nikulin spisał w 1975 roku, potem je poprawiał i uzupełniał, dodając również refleksje po spotkaniach z weteranami wojennymi i po wyjazdach do Niemiec Zachodnich w latach 80. i 90. W pełnej wersji ukazały się dopiero dwa lata przed śmiercią autora (zmarł 19 marca 2009 w Petersburgu). Do książki zostały włączone również zapisyienne, jakie prowadził podczas pobytu w szpitalu w 1943 roku.

Takie dzienniki to niezwykła rzadkość – frontowa rzeczywistość nie sprzyjała pisaniu. W armii sowieckiej dodatkową przeszkodą była obawa przed konsekwencjami politycznymi. Nie uniknął ich choćby Aleksander Sołżenicyn (aresztowany za zbyt szczere listy do przyjaciela z frontu) czy Lew Kopielew, który otwarcie próbował przeciwstawiać się zbrodniom popełnianym przez czerwonoarmistów na ludności cywilnej w Prusach Wschodnich (przez co spędził niemal 10 lat w stalinowskich więzieniach i łagrach).

Nikołaj Nikulin trafił na front w listopadzie 1941 jako osiemnastolatek. Do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej ukończył szkołę średnią, we wspomnieniach z tego okresu (przechowywanych przez rodzinę) zanotował: „Lata szkolne minęły szybko, zdaliśmy egzaminy końcowe i ani się obejrzelśmy, jak trzeba było założyć wojskowe płaszcze, wziąć do ręki broń i pójść na śmierć”. On jednak, jako jeden z nielicznych chłopców ze swojego pokolenia, przeżył. Przeszedł szlak bojowy od Leningradu przez Psków, Lipawę, Warszawę, Gdańsk po Berlin – w maju 1945; został nagrodzony wieloma odznaczeniami wojennymi. Zaczynał jako żołnierz 883 pułku artyleryjskiego (przemianowanego później na 13 pułk gwardyjski), walczył na froncie pod Leningradem, brał udział w przerwaniu blokady miasta. Latem 1943 w składzie 1 batalionu 1067 pułku 311 Dywizji Strzeleckiej uczestniczył w operacji pod Mgą; od września 1943 walczył jako żołnierz 48 Gwardyjskiej Brygady Artylerii.

W opisie wielkich operacji wojennych czy w terminologii wojskowej autor bywa czasem nieprecyzyjny (co na przykład utrudniało tłumaczenie na język polski stopni wojskowych, ze względu na zmiany w nazewnictwie przeprowadzone w Armii Czerwonej na początku lat 40.), nie zachował również ścisłej chronologii zdarzeń. Lecz bezdyskusyjną wartością jego relacji jest pokazanie losów pojedynczych żołnierzy na tej wojnie, której skutki były tak samo tragiczne dla pokonanych, wyzwolanych, jak i dla zwycięzców.

Niewątpliwie na sposób postrzegania wojny przez Nikulina ogromny wpływ miało wychowanie w domu rodzinnym. Oboje jego rodzice byli ludźmi wykształconymi – matka, Lidia Siergiejewna z domu Waulina, ukończyła Kursy Bestużewskie, była nauczycielką języka rosyjskiego i literatury; ojciec, Nikołaj Aleksandrowicz Nikulin, ukończył Wydział Matematyczno-Fizyczny Uniwersytetu Petersburskiego. Nikołaj od

wczesnych lat wychowywany był przez matkę, bowiem ojciec zmarł w 1931 roku (według syna, „nie wytrzymał przewrotności czasów porewolucyjnych”). Swoje dzieciństwo Nikołaj Nikulin wspominał jednak jako szczęśliwe, podkreślał też wysiłki matki, by jak najlepiej go wykształcić: „Mama bardzo dbała o to, bym rozwijał się wszechstronnie. Równolegle z nauką w zwykłej szkole spędziłem jakiś czas w szkole muzycznej. I choć nie zostałem pianistą, to na zawsze pozostałem miłośnikiem muzyki klasycznej. Gdy miałem trzy lata, mama zabrała mnie do opery na *Cyrulika sewilskiego*. [...] Pokochałem opery Verdiego, a po wizycie w filharmonii pokochałem Mozarta i Beethovena. [...] Jednak moją największą namiętnością w latach szkolnych był Ermitaż. Godziny i dni, jakie tam spędziłem, były dla mnie najszcześniejsze, najradośniejsze, bajeczne. Marzenie, by móc tu pracować, nie opuszczało mnie również w czasie wojny, a potem podczas studiów”.

To marzenie spełniło się. Po wojnie Nikołaj Nikulin ukończył Wydział Historii Leningradzkiego Uniwersytetu Państwowego, a w 1949 roku podjął pracę w Ermitażu, początkowo jako przewodnik muzealny, potem pracownik jednego z najważniejszych oddziałów – sztuki zachodnioeuropejskiej. Przeprowadził tam ponad 50 lat, głównie jako kustosz zbiorów malarstwa niderlandzkiego i niemieckiego; został także członkiem Rady Naukowej Ermitażu. Równocześnie prowadził katedrę Historii Sztuki Europejskiej XV-XVII wieku w Instytucie im. Ilji Riepina (w latach 1964-2002). W 1991 roku został członkiem-korespondentem Rosyjskiej Akademii Sztuk Pięknych. Był uznanym na całym świecie historykiem sztuki, kustoszem wielu wystaw i autorem ponad 160 prac z zakresu historii malarstwa (książek, artykułów, podręczników akademickich), wiele z nich opublikował poza granicami Rosji.

Nikołaj Nikulin to świadek wyjątkowy. Dzięki zmysłowi artystycznemu potrafił obrazowo przekazać swoje doświadczenia wojenne, ale przede wszystkim jego zapis jest uczciwą, pełną trzeźwego dystansu próbą rozliczenia się z przeszłością. W dużym stopniu próbą udaną – dzięki temu, że w okrutnym czasie wojny potrafił ochronić w sobie istotę człowieczeństwa.

Agnieszka Knyt

Styczeń 2013

OD AUTORA

Moje zapiski nie powstały z myślą o publikacji. Były jedynie próbą uwolnienia się od przeszłości. Podobnie jak na Zachodzie ludzie idą do psychoanalityka, wyjawiają mu swoje niepokoje, tajemnice w nadziei, że wyzdrowieją i odzyskają spokój, tak ja zasiadłem do pisania, by spróbować z zakamarków pamięci wymieść siedzące głęboko nikczemności i draństwa, żeby uciec od przytłaczających obrazów. Zapewne próba beznadziejna.

Wspomnienia te pisałem wyłącznie dla siebie, dlatego też są bardzo osobiste i skrajnie subiektywne. Nie mogą być obiektywne także dlatego, że wojnę przeżyłem jako młodzieniec, prawie dziecko – bez jakiegokolwiek doświadczenia życiowego, wiedzy o naturze człowieka, nie potrafiąc bronić się przed ciosami losu. Nie są to pamiętniki, jakie piszą znani dowódcy wojenni, a które potem wypełniają półki naszych bibliotek. Opisy walk i wygranych bitew zostały sprowadzone w miarę możliwości do minimum.

Wojenne zwycięstwa i heroizm są powszechnie znane, przez wielu były opiewane. Lecz w oficjalnych zapisach nie ma prawdziwej atmosfery wojny. Ich autorów prawie nie interesuje, co naprawdę przeżywa żołnierz. Zazwyczaj wojny wszczynali ci, którym zagrażały one najmniej: feudałowie, królowie, ministrowie, politycy, finansiści i generałowie. W ciszy gabinetów układali plany, a potem, kiedy już wszystko było skończone, pisali wspomnienia, podkreślając swoje męstwo i usprawiedliwiając porażki.

Większość pamiętników opiewa samą ideę wojny, stwarzając tym samym przesłanki dla nowych planów wojennych. Zaś płacą za to wszystko ci, co giną od kuli, realizując plany generałów. Ci, którym wojna jest absolutnie niepotrzebna – pamiętników nie piszą.

Starłem się tu opowiedzieć, o czym myślałem, co najbardziej mnie dziwiło i czym żyłem przez cztery długie lata wojny. Powtarzam, opowieść ta nie jest w ogóle obiektywna. Patrzę na wydarzenia tamtych lat nie z góry, nie z generalskiej wieży, skąd widać pełen obraz, a z dołu – jak żołnierz, który czołga się na brzuchu po błocie frontowym, a czasem w to błoto pada na twarz. Rzeczywiście, widziałem niewiele i wybiórczo.

Takie spojrzenie również ma swoją wartość, odkrywa bowiem sprawy niemal niezauważalne, zaskakujące i, jak się zdaje, jednak istotne. Celem tych zapisków jest też utrwalenie niektórych prawie zapomnianych szczegółów życia frontowego. Ale najważniejsze – to próba odpowiedzi samemu sobie na natrętne pytania, które nie dają mi spokoju, chociaż wojna skończyła się już dawno. A i w istocie kończy się moje życie, u którego początków ona się zdarzyła.

Te wspomnienia nie były przeznaczone dla postronnego czytelnika, nie muszę więc prosić o wybaczenie za śmiałe słowa i sceny, bez których nie można byłoby przekazać prawdziwej atmosfery żołnierskiego życia – atmosfery koszar. Jeśli zaś znajdą czytelnika, niech nie przyjmuje ich on jako dzieła literackiego albo opracowania historycznego, lecz niech zobaczy w nich dokument – relację naocznego świadka.

Nikołaj Nikulin

Leningrad 1975

POCZĄTEK

*Wojna – zajęcie godne prawdziwego mężczyzny.
Karol XII, król Szwecji*

Panie nasz! Boże miłosierny! Wyrwij mnie z tej kloaki!

Wiosną 1941 roku w Leningradzie wielu czuło zbliżającą się wojnę. „Poinformowani” wiedzieli o przygotowaniach do wojny, pospólstwo było zaniepokojone plotkami. Nikt nie mógł jednak przypuszczać, że Niemcy już trzy miesiące po ataku staną u bram miasta, a po pół roku co trzeci jego mieszkaniec umrze straszną śmiercią głodową. Tym bardziej my, żółtodzioby, dopiero co opuściliśmy mury szkolne i nie zastanawialiśmy się nad tym, co nas czeka. A przecież większości z nas było sądzone w najbliższym czasie zginąć w bagnach pod Leningradem. Tych nielicznych, którym udało się ocaleć, czekał inny los – beznogich i bezrękich kalek, neurasteników, alkoholików, na zawsze pozbawionych spokoju ducha.

Informację o wybuchu wojny ja, i jak sądzę większość zwykłych ludzi, przyjąłem nie jak coś obojętnego, ale raczej... odległego. Posłuchaliśmy radia, podyskutowaliśmy. Oczekiwaliśmy szybkich zwycięstw naszej armii – niezwyciężonej, najlepszej na świecie, jak pisano nieustannie w gazetach. Walki na razie rozgrywały się gdzieś daleko. Wiadomości o nich napływały rzadziej niż o sytuacji na Zachodzie. W Leningradzie podczas pierwszych dni wojny zrobiło się nawet jakoś świątecznie. Było słonecznie, zieleniały i rozkwitały parki i skwery.

Miasto upstrzyło się mizernymi plakatami nawołującymi do walki. Ulice ożyły. Mnóstwo poborowych w nowiutkich mundurach z powagą snuło się

po ulicach. Wszędzie słyhać było śpiew, dźwięki patefonów i harmonii. Zmobilizowani żołnierze spieszyli się, by zdążyć się napić przed odjazdem na front. Nie wiadomo dlaczego, w czerwcu i lipcu w sprzedaży pojawiło się mnóstwo dobrych, do tej pory rzadko spotykanych książek. Newski Prospekt zamienił się w ogromną księgarnię: wprost na ulicy stały stragany ze stertami tomów. Na razie w sklepach była żywność, a kolejki nie wyglądały posępnie.

Domy się zmieniały. Szyby w oknach wszędzie wyklejano na krzyż pasami papieru. Witryny sklepów zabijano deskami i osłaniano workami z piaskiem. Na ścianach pojawiły się napisy z informacjami o schronach przeciwlotniczych. Na dachach dyżurowali obserwatorzy. W parkach ustawiano zenitówki[2], a jacyś niemłodzi już ludzie w bufiastych spodniach narciarskich ćwiczyli tam od rana do wieczora, zadając kukłom ciosy bagnetami. Na ulicach co i rusz maszerowały dziewczęta w niezgrabnych bryczesach i źle skrojonych bluzach, niosąc ogromnych rozmiarów balony z gazem. Potem balony zaporowe[3] na długich linach unosiły się nad miastem niczym ogromne ryby, wyraźnie odcinając się podczas białych nocy od bezchmurnego nieba.

Wojna tymczasem gdzieś trwała. Coś się działo, ale nikt nie wiedział dokładnie co. Do szpitali zaczęto przywozić rannych, zmobilizowani wciąż wyjeżdżali. Wryła mi się w pamięć scena odjazdu piechoty morskiej. Przed naszymi oknami, wychodzącymi na Nową, ładowano na stateczek wycieczkowy w pełni wyekwipowanych i uzbrojonych żołnierzy. Czekali spokojnie na swoją kolej, kiedy nagle do jednego z nich podbiegła jakaś kobieta. Prosiła ją, uspokajali – bez skutku. Żołnierz siłą odrywał od siebie kurczowo zaciśnięte ręce, a ona wciąż czepiała się plecaka, karabinu, torby z maską przeciwgazową. Stateczek odpłynął, a kobieta długo jeszcze zawodziła, bijąc głową w granitową balustradę bulwaru. Przeczynała to, o czym dowiedziałem się znacznie później: ani żołnierze, ani statki, na których ich wysyłano na front, nie wrócili.

Potem wszyscy zgłaszaliśmy się na ochotnika... Wydano nam karabiny, amunicję, żywność (nie wiadomo dlaczego śledzie – widocznie tylko to mieli pod ręką) i załadowano na barcę, która czekała przy brzegu Małej Newki. Tu po raz pierwszy uratował mnie mój Anioł Stróż, przybrawszy postać starszego pułkownika, który rozkazał wysadzić nas z barki i ustawić na brzegu. Początkowo niczego nie rozumieliśmy, pułkownik obejrzał nas przekrwionymi z niewyspania oczyma i kazał niektórym wystąpić z szeregu.

Wśród nich byłem i ja. „Naprzód marsz, do domów! – powiedział.

– I bez was, smarkacze, tam ciężko!” Podjął desperacką próbę zapobieżenia bezmyślnej śmierci żołtodziobów. Wszystko to zrozumiałem dopiero później, a wtedy wróciłem do domu, do zdumionej rodziny...

Barka zaś popłynęła Newą i dalej. Mówiono, że na Wołchowie została ostrzelana przez messerschmitty i zatонуła. Ochotnicy siedzieli w ładowniach, które przewidujące dowództwo nakazało zamknąć – żeby, nie daj Bóg, nie rozbiegli się, gołabeczki!

Wróciłem do domu, ale po tygodniu dostałem powołanie. Wojskowa komenda uzupełnień skierowała mnie do szkoły wojskowej – najpierw jednej, potem drugiej, trzeciej. Wszyscy moi rówieśnicy zostali wcieleni, a mnie z powodu słabego serca zdyskwalifikowała komisja lekarska. W końcu i dla mnie znalazło się odpowiednie miejsce – szkoła radiotelegrafistów.

Tu też jeszcze nie czuło się wojny. Było wesoło, ciekawie. Zebrano byłych uczniów, studentów – żywych, towarzyskich chłopców. Śmiech, żarty, dowcipy. Wieczorem jeden z nich wygwizdywał z pamięci sonaty Beethovena, ktoś inny grał na gęślach, które zabrał ze sobą z domu. A jak spało się na piętrowych łózkach bez materaców, jedynie z drucianą siatką, która przez noc odciska się na fizjonomii! Jak zmieniają się ludzie ubrani w mundury! I jaki dowcipny jest plutonowy: „Aha, znacie dwa języki! Dobrze – pójdziecie sprzątać ubikację!”. Lekcje udzielane przez naszego plutonowego zapamiętałem na całe życie. Kiedy podczas zwrotu w szeregu myliła mi się prawa strona z lewą, pouczał mnie: „Tu nie uniwersytet, tu głową trzeba myśleć!”.

Pierwsze lekcje musztry wojskowej dał nam sam komendant szkoły – stary wiarus, który walczył jeszcze podczas wojny domowej. Spotkaliśmy go, maszerując po placu, i odmeldowaliśmy się starannie, jak nas uczono:

– Towarzyszu pułkowniku, kompania idzie na zajęcia!

– Nie idzie, a jaja po ziemi włóczy – padło w odpowiedzi.

Jakim wesołkiem był starszy politruk[4]! W czasie pogadanki politycznej zawiadomił nas: „Ukrainę już zagarnęły ręce faszystowskich łap!”. A potem, po capstrzyku, ganiał całą kompanię po placu. Żołnierze głośno tupali jedną nogą i cichutko stąpali na drugą – była to żywiołowa demonstracja niechęci do człowieka, który nie spodobał się nam wszystkim. Trafiła kosa na kamień. Politruk przysiągł ganiać nas tak do rana. Pomogła dopiero interwencja

komendanta szkoły: „Wystarczy! – oświadczył. – Jutro dzień ciężkiej nauki”.

Później, kiedy trwała już blokada Leningradu i puchliśmy z głodu, politruk zaczął przychodzić do kuchni i wyżerać z żołnierskiego kotła. (Jakoś udało mu się przeżyć wojnę. W 1947 roku, podczas służbowej podróży pociągiem do Moskwy, zobaczyłem znajomą bandycką mordę ze szramą na policzku. To był nasz waleczny politruk, teraz konduktor roznoszący ze służalczą miną szklanki i śmiało biorący napiwki. On, rzecz jasna, nie poznał mnie. Z przyjemnością włożyłem półrublówkę w jego spoconą, cnotliwą dłoń.)

Uczyliśmy się chętnie, a i byliśmy do tego nawykli – minęło raptem dwa miesiące od czasu, kiedy opuściliśmy ławy szkolne. Wszyscy opanowaliśmy szybko zmyślny alfabet Morse’a. Modelowej musztry wojskowej nie było – nie wystarczało na to czasu. Zajęcia z walk liniowych i na bagnety doprowadzały kursantów do zupełnego wyczerpania. Czasem urządzano marsze w takt muzyki, ale orkiestra nawalała – był to zmobilizowany i przebrany w mundury zespół dżezowy. Zamiast rytmu defiladowego ciągle wpadał w takt rumby, wywołując piętrowe przekleństwa komendanta szkoły. Defilowanie przerwano po pojawieniu się niemieckiego samolotu zwiadowczego, który widowisko sfotografował.

Z wojną zetknęliśmy się po raz pierwszy, gdy do naszej szkoły przysłano z frontu dla uzupełnień rozbitą dywizję. Wszystkich nas zadziwiło, że frontowcy jedzą w ogromnych ilościach kaszę perłową, która została z obiadu. Kursanci szkoły łączności przyjechali tu niedawno z domów, jeszcze rozpieszczeni i wybredni. Niektórzy na początku nie mogli przywyknąć do wojskowego wikt. Pewnego razu obudził mnie o trzeciej w nocy jakiś dziwny dźwięk. Dochodził z przedsionka: stał tam Jurka Woronow, syn znanego aktora leningradzkiego, i pośpiesznie zajadał kurę, którą przysłali mu z domu kochający rodzice.

Żołnierze frontowi byli cisi, zamknięci. Starali się rozmawiać tylko między sobą, jakby obowiązywała ich jakaś tajemnica. Jednego przepięknego dnia całą dywizję ustawiono na placu przed koszarami, a nam rozkazano stanąć z boku w szeregu. Żartowaliśmy, paplaliśmy, spekulując, co się tu będzie działo. Padł rozkaz „baczność” i przyprowadzono dwóch żołnierzy, bez pasów. Potem kapitan zaczął czytać z kartki – tych dwóch skazano na karę śmierci za dezercję. I nagle, nim dotarło do nas, o co chodzi, zastrzelono ich z automatów. Zwyczajnie, bez ceremonii... Ich ciała drgały chwilę w konwulsjach, po czym zastygły. Lekarz stwierdził zgon. Ciała zakopano na

skraju placu, ziemię wyrównano i udeptano.

Rozeszliśmy się w martwej ciszy. Rozstrzelani, jak się okazało, bez zezwolenia poszli do miasta – zobaczyć się z rodziną. Pokazową egzekucję zorganizowano dla zaostrezenia dyscypliny. Wszystko to było tak oczywiste i zarazem tak straszne! Dopiero wtedy w naszej świadomości zaszła zmiana. Zrozumieliśmy, że wojna to nie żarty i że jej macki dosięgną też nas.

W sierpniu sytuacja na froncie pod Leningradem stała się groźna, dywizja poszła na pierwszą linię, a razem z nią połowa naszych kolegów jako uzupełnienie. Wszyscy zginęli. Anioł Stróż znów mnie uratował – zostałem w tej drugiej połowie.

Zaczęły się bombardowania. Wyjątkowo efektowne było pierwsze, w połowie września. W ciszy słonecznego dnia usłyszeliśmy nagle huk – nie wiadomo skąd. Cały czas narastał i narastał, zadrżały szyby i wszystko wokół zaczęło wibrować. W oddali, na jasnym niebie, pojawiła się eskadra samolotów. Leciały w szyku, na różnej wysokości, powoli, zdecydowanie. Wokół jak kłęby waty na niebieskim niebie wybuchały pociski zenitówek. Artyleria waliła bezładnie, nie wyrządzając szkody samolotom, które nawet nie zmieniły szyku i, jakby nie zauważając palby, leciały do celu. Wyraźnie widać było żółte końcówki skrzydeł i czarne krzyże na kadłubach. Siedzieliśmy w „okopach” – głębokich, specjalnie wykopanych rowach. Było strasznie. Nagle ocknąłem się z osłupienia i schowałem pod kawałkiem brezentu.

W oddali wstrząsały ziemią wybuchy fugasów[5]. Na nas posypały się bomby zapalające, które rozbroiły sytuację – powyskakiwaliśmy z ukrycia i rzuciliśmy się do gaszenia pożarów. Było to coś w rodzaju pasjonującej gry: bomba pali się jak zimny ogień, więc trzeba zdążyć zakopać ją w piasku, wtedy gaśnie z sykiem. Kiedy wszystko zamilkło, ujrzeliśmy kłęby dymu, które zasnuły pół nieba. To płonęły Badajewskie Składy z żywnością. Wtedy jeszcze nie mogliśmy wiedzieć, że pożar tych magazynów zdecyduje o losie mieszkańców miasta, którzy będą ginąć z głodu zimą 1941/42.

Bombardowania stały się regularne. W dziedziniec przed szkołą uderzył pocisk, który rozerwał na strzępy kilku ludzi.

Na sąsiednich ulicach bomby uszkodziły wiele budynków, najmocniej szpital. Chodziły słuchy, że szpiedzy nadawali z dachu szpitala sygnały niemieckim samolotom za pomocą lustra. Noce spędzaliśmy w kryjówkach wrytych na dziedzińcu. Przestały działać wodociąg, kanalizacja. W ciągu

dwóch godzin ubikacje zapełniły się nieczystościami, ale dowództwo szybko przedsięwzięło środki zaradcze: ci, którzy znali dwa języki, musieli solidnie popracować, a na dziedzińcu szkolnym wykopano prymitywne wychodki, jak na wsi. Straty z powodu bombardowań były niewielkie, głównie najedliśmy się strachu. Ja przestraszyłem się solidnie, kiedy na zewnątrz wybuchła bomba i cisnęła w moim kierunku wielki kloc, który wybił dwa okna. Sekundę przed tym przykucnąłem i kloc, przeleciawszy nad moją głową, uderzył w ścianę.

W warunkach wszechobecnego chaosu swobodnie działali agenci niemieccy, oświetlając wieczorami cele mnóstwem rakiet. Jedna z nich wzbiła się raz z naszego poddasza. Oczywiście nie udało się nikogo złapać, ponieważ wszyscy, którzy byli w pobliżu – półtorej setki ludzi – rzucili się, by dorwać sygnalistę i powstało dezorientujące zamieszanie.

Na początku października wszystkich, którzy ukończyli szkolenie, wysłano na stację Lewaszowo, by zdobyli doświadczenie bojowe. Tam, w letnich kwaterach akademii wojskowej, przeżyliśmy miesiąc. Zima zaczęła się wcześniej. Spadł śnieg, który leżał do wiosny. W zasadzie ćwiczenia sprowadzały się do siedzenia na mrozie i prowadzenia łączności radiowej między grupami kursantów. Przywykliśmy do niedojadania i marznięcia. Chociaż prawdziwego głodu jeszcze nie było. Na 300 gramach chleba dziennie da się przeżyć. Zbieraliśmy też żołędzie, warzywa. Marzyliśmy o tym, by dostać się na dyżur w kuchni. I raz poszczęściło się pierwszemu plutonowi. Gdy wrócili wieczorem, rzygali na dolne prycze, na których spaliliśmy my, drugi pluton.

Chłopcy objedli się i dostali rozstroju żołądków. Jednakże nastrój był dziarski. Po dawnemu żartowaliśmy, nawet z braku jedzenia.

Lewaszowo znajdowało się poza strefą bombardowań. Ale raz, kiedy nocą pełniłem wartę przy magazynie żywnościowym, widziałem nalot na Leningrad. Cóż to było za wstrząsające widowisko! Wybuchy bomb, łuny pożarów, różnokolorowe smugi lecących kul i purpurowe rozbłyski spadających pocisków. Wszystko to pulsowało wzdłuż całego horyzontu. Z oddali dobiegał głuchy, przeciągły huk. Ziemia drżała. Wydawało się, że tego piekła nie przeżyje żaden człowiek. Z rozpaczą myślałem o mojej rodzinie, która została w mieście. Z rana magazynier, dobry człowiek, dał mi cały (!) bochenek chleba. Zjadłem połowę, a resztę zaniósłem kolegom. Pamiętam, jak napełniły się łzami kasztanowe oczy jednego z nich...

Nazywał się chyba Mandel[6].

Pewnego razu całą noc dyżurowaliśmy przy radiostacji, siedząc w zaspie. Nie było nikogo w pobliżu i kiedy w eterze rozległa się niemiecka audycja propagandowa dla Rosjan, postanowiliśmy jej posłuchać. Zdumiała nas nie informacja o rozbiciu kolejnej grupy wojsk, nie wielkość strat czy liczba jeńców i wojennych zdobyczy, a to, że spiker nazwał Budionnego i Woroszyłowa[7], o których pisano u nas w samych superlatywach, nieudolnymi profanami sztuki wojennej. W ogóle wtedy zaczynaliśmy rozumieć powagę sytuacji, to że Leningrad jest na granicy klęski, ale o porażce nie myśleliśmy i toporna propaganda Niemców nie bardzo na nas działała.[8] Choć w głębi duszy czuliśmy się dostatecznie paskudnie.

Na początku listopada wróciliśmy do koszar leningradzkich – zimnych, z powybijanymi oknami. Przed odjazdem na front oddziały dostały zadanie patrolowania miasta – sprawdzania dokumentów, zatrzymywania podejrzanych, wśród których znaleźli się leningradczycy uratowani z odcinka frontu nad Ługą i innych „kotłów”. Byli strasznie wynędzniali – kości obciągnięte spierzchniętą skórą...

Miasto uderzająco różniło się od tego, jakie opuszczałem w sierpniu. Zimne, zatęchłe, mroczne. Wszędzie ślady po pociskach, domy ze zrujnowanymi fasadami, które odsłaniały mieszkania jakby w przekroju: gdzieś na resztkach stropu zatrzymało się łóżko albo komoda, na ścianach wisiały zegary i obrazy. Konie Clodta[9] zdjęte. Pałac Jusupowa uszkodzony. Na Muzeum Etnograficznym od góry do dołu ogromne pęknięcie. Iglice na gmachach Admiralicji i soboru Pietropawłowskiego – w ciemnych osłonach, a kopuła soboru św. Izaaka pochłapana farbą maskującą. Na placach zenitówki. Z rzadka przelatują z wyciem i wybuchają gdzieś w dali niemieckie pociski. Miarowo stuka zegar miejski. Wiatr rozwiewa żółte liście, gałęzie, jakieś brudne kartki... W mieście panuje ponury nastrój, dobrze wyrażony w kupletach, podobno wymyślonych naprędce przez leningradzkich żulików:

Leningrad obleżony bombardują,
Pociski z daleka przylatują.
A w domu głód,
A w domu chłód.
W domu nudno, jak nigdy dotąd, cha, cha!
Mrozy nastają, nam chleba nie dają,

Truposzczaków na cmentarz targają.

A w domu chłód, a w domu głód,

W domu nudno, jak nigdy dotąd, cha, cha!

Nasz posterunek znajdował się blisko filharmonii i jacyś dobrzy ludzie – przechodnie – powiadomili moją mamę, że jestem w mieście. Tutaj zdążyliśmy się zobaczyć po raz ostatni przed moim odejściem na front; mama przyniosła mi trochę jedzenia.

W nocy 7 listopada miało miejsce szczególnie bestialskie bombardowanie (mówiono, że sam Hitler obiecał je leningradczykom), a nazajutrz, mimo ostrzału, pomaszerowaliśmy na Dworzec Finlandzki, skąd w wagonach towarowych powieziono nas do stacji Ładoga. Noc spędziliśmy w wagonie, ściśnięci jak sardynki w puszcze. To było zbawienne, bo na zewnątrz panował dwudziestostopniowy mróz. Mogliśmy się ogrzać jedynie przytulając się do sąsiada. Rankiem ze zbombardowanej przystani załadowano nas na pokład starutkiego stateczku przerobionego na kanonierkę. Przeprowa przez Ładogę była spokojna. Niebo zaciągnięte chmurami, wietrznie – samoloty nie latały. Solidnie tylko przemarziliśmy na lodowatym wietrze. Grzaliśmy się od komina. Tu dokonałem udanej transakcji wymiany trzech landrynek na pół suchara ze skąpym Jurką Woronowem.

W zaśnieżonej wsi Nowa Ładoga odpoczywaliśmy jeden dzień, żebrząc, gdzie się dało. Prosiliśmy o jedzenie mieszkańców, w piekarni. Potem przez dobę włóczyliśmy się po leśnej głuszy w poszukiwaniu miejsca stacjonowania sztabu armii. Jedni nie nadawali, inni mieli odmrożenia.

W sztabie rozdzielono nas do różnych oddziałów. Najszczęśliwszy był los tych, którzy dostali się do łączności. Do końca wojny obsługiwali radiostacje i prawie wszyscy przeżyli. Najgorzej trafiło się wcielonym do piechoty. „Ach, jesteście radiotelegrafistami – powiedziano im – to wasze karabiny, a to wzgórze. Tam są Niemcy! Zadanie – zdobyć wzgórze!” I tak polegli na bezimiennych wzniesieniach świeżo upieczeni radiotelegrafiści.

Ja trafiłem do pułku artylerii ciężkiej. Szukaliśmy go tydzień, błędząc po przyfrontowych wioskach. Dwukrotnie przecięliśmy zamarznąłą rzekę Wołchow z ogromną elektrownią wodną. Żywiliśmy się tym, co Bóg dał. Coś tam skubnęliśmy w wołchowskiej stołówce. Pracownicy przygotowywali się do ewakuacji i odchodziła kradzież żywności. Działo się to tak otwarcie i bezwstydnie, że dyrektorze trudno było odmówić naszej skromnej prośbie o jedzenie. Innym razem na skraju wsi Wojbokało (kilka dni przed naszym

przybyciem została zmieciona z powierzchni ziemi) litościwa młoda gospodyni wyniosła nam na ganek resztki drożdżówek z serem i innych pyszności – było to niedojedzone śniadanie jakiegoś wysokiej rangi dowódcy, który stacjonował u niej.

Nocowaliśmy, gdzie popadło, a to u jakiejś staruszki, na piecu. A to w pustym pomieszczeniu stacji kolejowej Wołchow 2 (jeszcze była cała). Tu spotkaliśmy uzbrojonych ludzi ubranych po cywilnemu. Był to oddział partyzantów, którzy mieli iść na niemieckie tyły.

W Wołchowie znów poczuliśmy na karku oddech wojny. O zmroku przechodziliśmy obok szkoły zamienionej na szpital. W rogu parku, przy ulicy, dwóch starszych sanitariuszy chowało zabitych. Powoli kopali dół, z nieboszczyków zdjęli mundury (instrukcja nakazywała strzec mienia państwowego). Jeden trup z przebitą piersią kiedyś był bosko przystojnym młodzieńcem. Umieśniony, nienaganna budowa ciała, na piersi wytatuowany orzeł. Na prawym ramieniu napis: „Kocham naturę”, na lewym: „Znów się nie najadłem”. Byli to chłopcy ze zwiadu brygady morskiej. Po raz pierwszy brygada poniosła dotkliwe straty pod Ligowem, potem ją uzupełniono i odesłano na front wołchowski, gdzie bardzo szybko się wykrwawiła. Sanitariusze zepchnęli ciała do dołu i zasypali je zmarzniętymi grudami ziemi. Popatrzyliśmy na siebie i poszliśmy dalej. (Później latem widziałem, jak oddziały sprzątające trupy zasypywały je wapnem – by zapobiec zarazie. Ale chowano niewielu, tylko tych, których udawało się wydostać spod ognia. Zazwyczaj ciała gniły tam, gdzie żołnierzyków zastała śmierć.)

Po długiej włóczędze, ryzykując, że wpadniemy w ręce Niemców albo trafimy do kompanii karnej jako dezerterzy, dotarliśmy w końcu do stacji Murmanskije Worota. Tam młodzi, rumiani czerwonoarmiści w porządnym półkożuszkach powiedzieli nam, że służą w pułku dokładnie takim, jakiego szukamy. Naszego na pewno nie znajdziemy, jest pewnie gdzieś pod Tichwinem. Dlatego powinniśmy się postarać o dołączenie do ich oddziału. Dowództwo, w osobie kapitana o nazwisku Siedasz, zgodziło się i dołączyliśmy do drugiego dywizjonu.

Tenże Siedasz – wielki, nabity, wesoły chłop – palił sążniste skręty i odznaczał się niedoścignioną wirtuozerią w przeklinaniu. Był zdolnym oficerem, dopiero co ukończył akademię i sprawy pułkowe, jak dotąd, dzięki niemu szły znakomicie. Wystarczy wspomnieć, że podczas sierpniowych walk pod Kiriszami, kiedy piechota częściowo się rozbiegła, częściowo

poszła do niewoli, wywiesiwszy na bagnietach białe kalesony, pułk Siedasza przez kilka dni powstrzymywał swoim ogniem natarcie niemieckie. Wkrótce w nagrodę za te działania otrzymał miano gwardyjskiego. Siedasz w wyniku tego awansował na pułkownika, skutecznie dowodził dywizją artylerii (pod Narwą i Nowogrodem Wielkim na początku 1944 roku), ale w generały się nie dostał – chodziły słuchy, że był zamieszany w spekulacje żywnością. W 1945 roku został ciężko ranny pod Budapesztem.

Ironia losu! Zawsze bałem się hałasu, nie znosiłem w dzieciństwie straszków i pacek na muchy, a trafiłem do artylerii ciężkiej. Lecz było to szczęśliwe dla mnie zdarzenie, bo w piechocie w czasie intensywnych walk żołnierz mógł przeżyć średnio około tygodnia. W artylerii ciężkiej ten czas wydłużał się do trzech-czterech miesięcy. Zaś obsługa dział potrafiła wywinąć się od ran nawet przez całą wojnę – działo stoi przecież na tyłach i prowadzi ogień z osłoniętych pozycji. Przy działach stawiano zwykle starszych, zaś młodzież, w tym ja, znajdowała się w plutonach ogniowych. Nasze miejsce – na pierwszej linii. Powinniśmy obserwować przeciwnika, korygować ogień, nawiązywać łączność. Ja – łączność radiową. Nie idziemy w natarciu, lecz czołgamy się za piechotą. Dlatego straty wśród nas są niepomiaralnie mniejsze. Pułk, do którego trafiłem, zachował się w swoim początkowym składzie, podczas gdy w piechocie żołnierze zmieniali się po kilka razy, a pułki zachowywały jedynie swój numer. Tego wszystkiego dowiedziałem się później. Na razie wydano mi 300 gramów chleba, cienką zupkę i zamieniono leningradzkie buty na stare walonki – każdy w innym rozmiarze.

Akurat w dzień naszego przyjazdu obniżono normy żywnościowe, ponieważ padł Tichwin i były zakłócenia w dostawach. Tu głód dopiero się zaczynał, a ja już byłem dystrofikiem i wyróżniałem się spośród żołnierzy swoim nędznym wyglądem. Wszystko było dla mnie nowe, trudne: stanie na warcie po cztery-sześć godzin na trzydziestostopniowym mrozie, kopanie zamrożonej ziemi, dźwiganie ciężarów – bali, amunicji (jedna skrzynka ważyła 46 kilogramów). Wszystko to bez przygotowania. A sił brak – czarna rozpacz. Wokół sami obcy ludzie, każdy troszczy się tylko o siebie. Wszędzie tylko przekleństwa, okrucieństwo, nieczułość.

Momentalnie oblaży mnie miliony wszy – urocze kuleczki biegały setkami nie tylko po bieliźnie, ale i na wierzchu, po płaszczu. Tłusta wesz z krzyżykiem na plecach nazywała się wtedy KW – jak czołg o tej samej

nazwie (tylko że wszyscy zdążyli zapomnieć, że był tak nazwany na cześć wielkiego dowódcy – Klimienta Woroszyłowa). Owe KW łąpało się garścią pod pachą i sypało na rozpalony piecyk, gdzie pękały z głośnym trzaskiem. Z czasem rozdrapałem sobie do krwi chude boki, aż zrobiły mi się strupy. O łaźni nie było mowy, żyliśmy na śniegu, na mrozie. Nie mieliśmy też bielizny na zmianę. Specjalne proszki na wszy były nieskuteczne. Próbowałem moczyć bieliznę w benzynie i tak zakładać ją na ciało. Kuleczki uciekały spod bluzy i można je było wtedy strząsać z szyi na śnieg. Ale następnego dnia pojawiały się w jeszcze większych ilościach. Dopiero w 1942 roku dostaliśmy środek ratunkowy: mydło K – żółtą, okropnie śmierdzącą pastę, w której trzeba było wygotować odzież. W końcu odetchnęliśmy z ulgą. A i łaźnie do tego czasu nauczyli się budować.

I znów miałem szczęście. Żołnierzem byłem do niczego. W piechocie albo od razu by mnie rozstrzelano dla przykładu, albo sam bym umarł z wycieńczenia, fiknąwszy głową w ognisko. Mnóstwo takich nadpalonych trupów zostawało na miejscach postojów oddziałów, które przyjechały z wygłodzonego Leningradu. W moim pułku patrzono na mnie krzywo, ale tolerowano. Przygotowywałem dziesiątki metrów sześciennych drewna na ziemianki oficerskie, wykonywałem wszelkie niezbędne prace, marzęłem na warcie. Czasami dyżurowałem przy radiostacji. Na pierwszą linię na początku mnie nie brano, a i większych starć na szczęście nie było. Jednym słowem – nie od razu wpadłem w maszynkę do mięsa i miałem możliwość stopniowo przywyknąć do warunków frontowych.

Ostrzały początkowo mnie nie przerażały. Po prostu nie od razu zrozumiałem, czym to grozi. Łoskot, obok padają ludzie, jęki, bryzgi krwi na śniegu. A ja stoję, mrugam oczami. Często zwalali mnie z nóg i klęli, żebym się nie wystawiał. Ale odłamki i zbłąkane kule mnie omijały. Bardzo szybko odkryłem swoje powołanie – rzucałem się do rannych, opatrywałem ich i, chociaż nie miałem doświadczenia, wychodziło mi to dobrze ku zdumieniu wyszkolonych sanitariuszy.

W końcu listopada zaczęła się nasza ofensywa. Dopiero teraz zobaczyłem, co znaczy wojna, mimo że nadal nie brałem udziału w walkach. Setki rannych, zabitych, zimno, głód, napięcie, tygodnie bez snu...

Podczas jednej stosunkowo cichej nocy siedziałem w dole pełnym śniegu, nie mogąc zasnąć z zimna. Drapałem się po zawszonych bokach i płakałem z rozpacz i bezsilności. Tej nocy nastąpił przełom. Skądś pojawiły się we

mnie nowe siły życiowe. Nad ranem wypełzłem z nory, zacząłem grasować po opuszczonych niemieckich ziemniakach i znalazłem zamrożone na kość ziemniaki. Rozpaliłem ognisko, ugotowałem je w hełmie i po napełnieniu żołądka poczułem wiarę w siebie. Wtedy zaczęło się moje przeobrażenie – powstały we mnie reakcje obronne, energia do życia. Pojawiła się intuicja podpowiadająca, jak mam się zachowywać. Poczułem w sobie zdecydowanie.

Zacząłem zdobywać jedzenie. Odrąbałem siekierą kawał mięsa z zadu niemieckiego konia, który zamarzył na mrozie, znalazłem zapomniany kopiec z ziemniakami. Jednego razu mina zabiła konia przechodzącego obok mnie. W ciągu dwudziestu minut została z niego grzywa i wnętrzności, bo tacy artyści jak ja momentalnie pokroili zwierzę na kawałki. Woźnica nawet nie zdążył się zorientować, jak został na saniach z samymi lejcami w rękę. Innym razem maszerowaliśmy drogą i nagle z przodu pocisk przewrócił kuchnię polową. Kasza gryczana rozlała się na śnieg. W jednej chwili wszyscy wyciągnęli łyżki i zaczęła się uczta! Ruchu na drodze nie dało się zatrzymać, przez kaszę przejechał wóz z sianem, ciężarówka, a my wciąż jedliśmy i jedliśmy, dopóki było co... Zbierałem suchary i skórki od chleba przy magazynach, kuchniach. Jednym słowem – szukałem jedzenia, gdzie się dało.

Ofensywa trwała, odnosiliśmy początkowo sukcesy. Niemcy uciekali, porzucając działa, samochody, amunicję i wszelaki sprzęt oraz zastrzelone konie. Przekonałem się, że opowieści o ich okrucieństwie nie są wymysłem gazetowym. Widziałem ponadpalane trupy jeńców z powycinanymi na plecach gwiazdami. Wszystkie wsie na trasie odwrotu Niemców były zniszczone, mieszkańców wypędzono. Zostali nieliczni – głodni, oberwani, w strasznym stanie.

Zaczęto brać mnie na pierwszą linię. Pamiętam piekielny ostrzał, czołganie się po śniegu. Krew, krew, krew. W tym czasie po raz pierwszy zostałem ranny, co prawda niegroźnie, ledwie mnie drasnęło. Było tak. Nocą, zmęczeni, podeszliśmy do opuszczonego budynku szkolnego. W pustych klasach było cieplej niż na śniegu, na słomie spali jacyś żołnierze. Położyliśmy się obok i zasnęliśmy. Potem któryś z nas się obudził i rozejrzył: śpimy razem z Niemcami! Wszyscy zerwali się na równe nogi, w ciemnościach zaczęła się strzelanina, zamieszanie, hałas, krzyki, jęki, wyzwiska. Biliśmy, gdzie popadło. Dostałem cios bagnetem w udo,

ugodziłem kogoś nożem, potem rozbiegliśmy się w różne strony, dzwoniąc zębami ze strachu. Wszystkim zrobiło się gorąco. Zdjąłem spodnie i po kształcie cięcia stwierdziłem, że bagniet był niemiecki, płaski. Nie zgłosiłem się do oddziału sanitarnego, rana zrosła się sama w jakieś dwa tygodnie.

Na pierwszej linii łatwiej było o jedzenie. Nocą można było wyczołgać się na pas neutralny, nożem odciąć zabitym plecaki, w których były suchary, czasem konserwy i cukier. Liczni zajmowali się tym w przerwach między walkami. Wielu nie wróciło – niemieccy kaemiści nie próżnowali. Pewnego razu jakiś starszy sierżant, pewnie po pijaku, zajechał na pas neutralny saniami. W tej samej chwili on i koń zostali zabici. A w saniach było jedzenie – chleb, konserwy, wódka. Od razu znaleźli się chętni, żeby odzyskać te skarby. Najpierw poszło dwóch – trafiły ich kule, potem ruszyli trzej następni. Więcej chętnych nie było. Nocą ja się popisałem. Zauważyłem, że Niemcy strzelają nawet wtedy, gdy usłyszą najmniejszy szelest. Postanowiłem więc nie zabierać ze sobą niczego z powrotem. Przeciąłem jedynie uprząż, przywiązałem do sań kabel telefoniczny i cały wróciłem do okopu. Potem – raz, dwa, hop! – podciągnęliśmy sanie. Jedzenie było podziurawione kulami, wódka wyciekła, ale nażarliśmy się do syta!

Przy linii kolejowej Mga-Kirisze nasza ofensywa zatrzymała się, a Niemcy zajęli nowe, dobrze przygotowane pozycje. Tu, w dużej wsi Nachody, z której potem nie został kamień na kamieniu, powitałem Nowy Rok 1942. Poprzedni rok zakończył się fatalnym epizodem. Trzy dni wcześniej dowództwo naszego dywizjonu otrzymało rozkaz przejścia na tyły niemieckie przez wyrwę w obronie i korygowania stamtąd ostrzału armatniego. W straszny mróz, po głębokich zaspach szliśmy na nartach przez dziewiczy las około 20 kilometrów. Rakiety, które oświeślały pierwszą linię, zostały z tyłu. Świecił księżyc. Wokół nas ogromne świerki. W końcu zobaczyliśmy na polance ziemianki, wykopane jeszcze latem. Postanowiliśmy w nich odpocząć i ogrzać się. Przyszedł świt i nagle ktoś wrzasnął:

– Niemcy!

Byłem w ziemiance znajdującej się na samym skraju i zareagowałem najpóźniej. Kiedy wygramoliłem się na boży świat, nikogo już nie było i tylko w oddali, w lesie, migały postaci moich kolegów z pułku. Pobiegłem w ślad za nimi. Pod świerkiem wpadłem na wystraszonego lejtnanta z odbezpieczonym naganem.

– A Niemcy?

– Nie wiem, nie widziałem...

Okazało się, że wybuchła panika, wszyscy uciekli, a najszybciej dowództwo. Nie stałoby się nic złego, gdyby nie to, że w rozgorączkowaniu zostawiliśmy w ziemiance radiostację. Postanowiliśmy wrócić, ale okazało się, że Niemcy faktycznie zajęli nasze miejsce. Zaczęła się strzelanina i zrejterowaliśmy z pustymi rękami. Radiostacja stracona, rozkaz niewykonany.

Przed Nowym Rokiem zaczęły się represje. Przyjechał śledczy, zaczęły się przesłuchania. Znalazł się kozioł ofiarny – dowódca radiostacji, sympatyczny plutonowy Fomin. Potem odbyło się posiedzenie trybunału – spektakl z wcześniej zaplanowanym finałem. Koniec, zresztą, okazał się szczęśliwszy niż oczekiwaliśmy – Fomin i jeszcze jeden żołnierz, który ukradł miód gospodyni w Nachodach, dostali po 10 lat więzienia z nakazem odbycia kary po zakończeniu wojny. Bardanosow (tak nazywał się złodziej miodu) szybko odkupił swoją winę: kula przebiła mu płuco. Czy przeżył, nie wiem. Fomin zaś długo i wiernie służył z nami, więc najwidoczniej został później ułaskawiony. Ale w przeddzień Nowego Roku nikomu nie było do śmiechu.

Wróciłem z pierwszej linii, usnąłem w ciepłej ziemiance, przespałem północ i nawet nie usłyszałem salw, które rozległy się wokół.

Wkrótce opuściliśmy Nachody – ostatnie zabudowania, jakie widziałem do połowy 1943 roku. Pułk przeniósł się w bagniste lasy opodal stacji Pogostje. Wszyscy myśleli, że to tymczasowe, minie dwa-trzy dni i pójdziemy dalej. Jednak los chciał inaczej. W tamtejszych lasach i bagnach ugrzęźliśmy na całe dwa lata! A wszystko, co przeżyliśmy dotąd, to była jedynie zapowiedź tego, co nas jeszcze czekało.

POGOSTJE

*Ten, kto zapomina własną przeszłość,
jest skazany na przeżycie jej jeszcze raz.*
George Santayana

Na południowy wschód od Mgi, wśród lasów i bagien, leżała zagubiona, mała stacyjka Pogostje. Parę domków nad brzegiem czarnej od torfu rzeczki, krzaki, kępy brzoź, olch i nieprzebyte bagna. Pasażerom przejeżdżających pociągów nawet nie przyjdzie do głowy spojrzeć przez okno na to zapomniane przez Boga miejsce. Nie znano go przed wojną, nie jest znane i dziś. Tymczasem rozgrywała się tu jedna z najbardziej krwawych bitew frontu leningradzkiego. W dzienniku szefa sztabu niemieckich wojsk lądowych Pogostje wymieniane jest w okresie od grudnia 1941 do maja 1942, a nawet później, do stycznia 1944. Pojawia się jako punkt zapalny, w którym ukształtowała się niebezpieczna sytuacja wojenna. Rzecz w tym, że stacyjka Pogostje była punktem wyjściowym podczas próby przerwania blokady Leningradu. Tu zaczęła się tak zwana operacja lubańska. Nasze wojska (54 Armia) powinny były przerwać front, podejść do stacji Lubań na linii kolejowej LeningradMoskwa i połączyć się tam z 2 Armią Uderzeniową, atakującą od strony Miasnego Boru nad rzeką Wołchow. W ten sposób niemieckie zgrupowanie pod Leningradem powinno było się rozsypać i ponieść klęskę, co skutkowałoby zniesieniem blokady. Wiadomo, co z tego pomysłu wyszło. 2 Armia Uderzeniowa wpadła w okrążenie i została częściowo zniszczona, częściowo wzięta do niewoli wraz z dowódcą, generałem Własowem, a 54 Armia, po trzymiesięcznych ciężkich walkach,

zalawszy krwią Pogostje i jego okolice, przedarła się 20 kilometrów do przodu. Jej pułki nie doszły do Lubani, kolejny raz tracąc prawie cały swój stan osobowy, i na długo ugrzęzły w dzikich lasach i bagnach.

Operacja, ponieważ „nie zakończyła się sukcesem”, została zapomniana. Nawet generał Fieduninski, dowodzący wówczas 54 Armią, wstydliwie pomija ją milczeniem w swoich wspomnieniach, napomykając jedynie, że był to „najtrudniejszy, najcięższy czas” w jego karierze wojskowej.[10]

Przyjechaliśmy pod Pogostje wczesnym rankiem na początku stycznia 1942. Na bagnach rozścielała się pierzyna śniegu. Mizerne drzewa sterczały z zasp. Wzdłuż drogi widać było tu i tam świeże mogiły – pagórki z drewnianym słupkiem u wezglowia. W szarości zmroku kłębiły się mroźne mgły. Było trzydzieści stopni poniżej zera. Gdzieś niedaleko dudniło i huczało, wokół nas świstały kule. Wszędzie było pełno samochodów, sprzętu i jakichś skrzyń, słabo zamaskowanych gałęziami. Niewielkie grupki żołnierzy i pojedyncze, na wpół zgięte postacie powoli rozchodziły się w różnych kierunkach.

Jakiś ranny powiedział nam, że nasz kolejny atak na Pogostje załamał się i że niemieckie stanowiska ogniowe wryte w nasyp kolejowy zmiatają huraganowym ogniem wszystko, co żyje. Nie można podnieść nawet głowy. Mówił, że nasi jakoby zdobyli z marszu stację w końcu grudnia, podczas pierwszego podejścia. W budynkach stacyjnych znaleźli zapas spirytusu i pijani bohaterowie zostali wyróżnieni przez Niemców. Od tej pory wszystkie próby zdobycia Pogostja kończą się porażką. Typowa historia! Ileż razy później słyszeliśmy takie na różnych frontach.

Tymczasem nasze działa zajęły pozycje, otworzyły ogień. Zaczęliśmy rozlokowywać się w lesie. Zamarznątą ziemię udało się rozdlubać jedynie na głębokość 40-50 centymetrów. Niżej była już woda, dlatego kopaliśmy bardzo płytkie schrony. Można było wślizgnąć się do nich przez specjalny właz zakryty brezentem, w środku znajdowały się jedynie legowiska. Za to palił się piecyk zrobiony z wiadra i było parno jak w łaźni. Od ognia śnieg topniał i zamieniał się w wodę, woda w parę. Po trzech dniach wszystko wyschło i zrobiło się całkiem przyjemnie, spaliśmy w cieple – co za szczęście! Czasem, by oświetlić ziemiankę, palono kabel telefoniczny, który dymił się i rozsiewał smród i sadze osiadające na twarzach. Rankiem wypływający z nor żołnierze wykaskiwali i wysmarkiwali na biały śnieg czarne, smoliste skrzepy.

Pewnego razu rano wychyliłem z ziemianki swoją opuchniętą, brudną fizjonomię. Po nieprzeniknionych ciemnościach światło słoneczne oślepiało i długo mrugałem powiekami, rozglądając się wokół. Okazało się, że obserwował mnie starszy sierżant, stojący obok. Ze śmiechem zauważył:

– Nie wiem, ty leżesz do przodu twarzą czy tyłkiem.

Zazwyczaj witał mnie, chcąc podkreślić moje skrajne wyczerpanie, takimi oto uprzejmymi słowami:

– No jak, dalej sikasz na łapcie?

Życie w ziemiankach pod Pogostjem było i tak luksusem i przywilejem, bo przecież większość żołnierzy, głównie piechurów, nocowała wprost na śniegu. Ognisko nie zawsze można było rozpać z powodu samolotów i wielu ludziom odmarzały nosy, palce u rąk i nóg, a czasem zamarzali na śmierć. Żołnierze wyglądali strasznie: z poczerniałymi twarzami i przekrwionymi oczami, w poprzepalanach płaszczach i walonkach. Szczególną trudność sprawiało ochronienie przed mrozem rannych. Zazwyczaj wleczono ich po śniegu na specjalnych lekkich, drewnianych sankach w kształcie łódeczek, a dla zapewnienia ciepła okładano grzałkami chemicznymi. Były to niewielkie, zielone poduszeczki brezentowe. Trzeba było do środka nalać trochę wody, po czym zachodziła reakcja chemiczna i wydzielano się ciepło, które utrzymywało się dwie-trzy godziny. Czasem sanki były ciągnięte przez psy – miłe, rozumne stworzenia. Zazwyczaj sanitariusz wypuszczał przewodnika zaprzęgu pod ostrzał, gdzie człowiek nie dałby rady się przekraść. Pies odszukiwał rannego, wracał i znów czołgał się z całym zaprzęgiem. Psy wiedziały, że mają podciągnąć sanki pod zdrowy bok rannego, pomagały mu przeturlać się do łódeczki i czołgając się, uciekały z zagrożonego terenu.

Marny był los ciężko rannych. Najczęściej nie dało się w ogóle wydostać ich spod ostrzału. Cierpienia tych, których wyniesiono z pasa neutralnego, też się nie kończyły. Droga do oddziału sanitarnego była daleka, a przedostanie się do szpitala trwało długie godziny. Dostawszy się do szpitalnych namiotów, trzeba było czekać, bowiem lekarze, mimo że pracowali z poświęceniem całe dnie i noce przez wiele tygodni, nie nadążali wszystkich oporządzić. Długa kolejka zakrwawionych noszy z jęczącymi, miotającymi się w gorączce lub zastygłymi w szoku ludźmi czekała nieustannie. Ranni w brzuch nie wytrzymywali tego czekania. Umierało i wielu innych.

W następnych latach sytuacja bardzo się poprawiła. Jednak, jak

dowiedziałem się później, położenie rannych zimą 1942 roku na innych odcinkach frontu sowiecko-niemieckiego było jeszcze gorsze. Jeden epizod opowiedział mi w szpitalu mój sąsiad z łóżka obok:

„W czterdziestym pierwszym naszą dywizję rzucono pod Murmańsk, by wesprzeć broniące się tam oddziały. Pieszo ruszyliśmy przez tundrę na zachód. Wkrótce dywizja wpadła pod ostrzał, do tego zaczęła się burza śnieżna. Ranny w rękę, nie doszedłem do pierwszej linii, ruszyłem z powrotem. Wiatr się wzmacniał, wyła zamieć śnieżna, która ścinała z nóg. Z trudem pokonałem kilka kilometrów, prawie bez sił dopadłem ziemianki, gdzie był punkt grzewczy. Ranni wypełniali ją szczelnie, przytulając się do siebie. Jakoś udało mi się wcisnąć do środka, spałem, stojąc. Rankiem z zewnątrz rozległ się krzyk:

– Jest tu kto żywy? Wychodzić!

To przyjechali sanitariusze. Z ziemianki wygrzebało się trzech-czterech ludzi, reszta zamarzła. A dookoła wejścia piętrzył się stos przysypanych śniegiem trupów. Byli to ranni przywiezieni nocą z pierwszej linii do punktu grzewczego, którzy tu zamarzli. Jak się okazało, prawie cała dywizja zamarzła tej nocy na nieosłoniętych od wiatru górskich drogach. Burza śnieżna była bardzo silna. Ja wykpiłem się jedynie odmrożoną twarzą i palcami...”

Tymczasem w naszym obozowisku pod Pogostjem (jakieś pół kilometra od linii frontu) robiło się coraz bardziej gwaro. Namioty, ziemianki, szałas, sztaby, magazyny, kuchnie. Wszystko to dymiło, obrastało krzątającymi się ludźmi i niemiecki samolot rozpoznawczy, na który mówiliśmy „pogrzebacz” (miał jakieś takie krzywizny w zarysie), od razu nas wykrył. Zaczął się ostrzał – rzadki, ale ciągnął się prawie nieustannie wiele dni, to słabnąc, to się nasilając. Przywykliśmy do tego, choć co dzień było wielu zabitych i rannych. Ale cóż to znaczyło w porównaniu z setkami ludzi ginących na pierwszej linii! Tu rozstałem się z kolegą, który przyjechał razem ze mną z leningradzkiej szkoły łącznościowców. Był to niejaki Niejełow. Odłamek przebił mu gardło, najwidoczniej nie uszkadzając ważnych organów. Mógł nawet mówić szeptem. Owinąłem mu gardło bandażem i wsiałem z nim do samochodu jadącego do oddziału sanitarnego, który znajdował się w namiotach 5 kilometrów od nas.

Na przyfrontowej drodze widziałem osobliwe obrazy. Po ożywionym jak arteria miejska szlaku ruch odbywał się w obie strony. W stronę frontu szły

uzupełnienia, wieziono broń i zaopatrzenie, jechały czołgi. Z powrotem wieziono rannych. Na poboczach krzątania. Tu, rozłożywszy na śniegu pelerynę, dzielą chleb, ale ukroić się go nie da, więc żołnierze piłują zamrożony bochenek dwuręczną piłą. Potem kawałki i „opiłki” rozdzielają na równe części, jeden się odwraca, drugi krzyczy: „Dla kogo?”. Podział odbywa się sprawiedliwie. Taki chleb trzeba ssać jak lód, dopóki nie rozmarznie. Zimno było okropne: zupa marzła w kotle, a ślina po splunięciu zamarzała w locie i spadała już jako sopek, dźwięcznie stukając o twardą ziemię... Dalej zakopują w śniegu trupa – rannego, którego nie zdążono dowieźć do szpitala, bo albo zamarł, albo się wykrwawił. Obok targują się, wymieniając wódkę na chleb. Tam znów kucharz gotuje zupę, mieszając w kotle ogromną chochlą. Bucha para, a pod kotłem wesoło trzaska ogień...

Na skraju lasu natknąłem się na puste szalasy z gałęzi świerkowych. Wokół nich porozrzucano dziesiątki czarnych kurtek marynarskich, czapki z „kapustą”[11], marynarskie czapki ze wstążeczkami i mnóstwo szarych czarnych półbutów. Tu wczoraj przebierano w wojskową ciepłą odzież piechotę morską, która przyjechała z Leningradu. Marynarze odeszli, żeby więcej nie wrócić, a ich manatki, nikomu nie potrzebne, zasypuje drobny śnieżek. Dalej z ciężarówki wydają żołnierzom biały (!) chleb. (Żreć tak się chce!!!) To przyszedł oddział politbojcow[12]. Karmią ich przed kolejnym atakiem. Dowództwo wiąże z nimi wielkie nadzieje. Z piechotą morską też wiązano wielkie nadzieje. Przy drodze stoją furmanki i przodki dział. Same działa i ich obsługa poszły w bój. Graty, najwidoczniej, już są niczyje i obrotni żołnierze tyłowi przetrząsają obóz w poszukiwaniu żywności. Mnie jeszcze nie wystarcza „frontowego hartu”, by przeprowadzić taką operację. Znów kogoś chowają i znów mającą ranni. Z ciężarówki z ogłuszającym hukiem wali do samolotu szybkostrzelna zenitówka. Tratata! Tratata! Tratata! Ale cały czas pudłuje.

Nagle seria wybuchów. Dalej, bliżej, tuż obok. Na ziemi wije się wartownik, który stał przy ziemiance sztabowej. Jakiś starszy żołnierz idący drogą złapał się za nogę. Obok niego sanitariuszka. Płacze w głos, strużki łez spływają po brudnej, wiele dni niemytej buzi, trzęsą jej się ręce, cała drży z nerwów. Żałosny widok! Żołnierz spokojnie ściąga spodnie, przewiązuje krwawiącą ranę na swoim udzie i jeszcze znajduje siłę, by pocieszać dziewczynę: „Córciu, nie bój się, nie płacz!”.

Wojna to nie jest zajęcie dla kobiet. Bezsprzecznie było wiele bohaterek,

które można dać za przykład nawet mężczyznom. Ale okrucieństwem było zmuszać kobiety, by doświadczały cierpień frontowych. I żeby tylko tego! Ciężko im było w otoczeniu mężczyzn. Głodnym szeregowcom co prawda daleko było do myślenia o babach, ale dowództwo dobijało się swego wszelkimi sposobami, od brutalnej przemocy do wyszukanych zalotów. Wśród czeredy kawalerów byli chojracy na każdy gust, mogli i zaśpiewać, i zatańczyć, i pięknie opowiadać, a dla wykształconych – poczytać Błoka, Lermontowa... I jechały dziewczęta do domu z brzuchem. Zdaje się, że w języku kancelarii wojskowych nazywało się to „wyjechać zgodnie z rozkazem 009”. W naszej jednostce z pięćdziesiątki przybyłych w 1942 roku żołnierzy płci pięknej do końca wojny zostało dwóch.

„Wyjechać zgodnie z rozkazem 009” to było najlepsze wyjście. Bywało gorzej. Opowiadano mi, jak niejaki pułkownik Wołkow ustawiał kobiety w szeregu i, przechadzając się wzdłuż, wybierał ślicznotki, które wpadły mu w oko. Stawały się jego PŻP[13], a jeśli się sprzeciwiały – do zimnej ziemianki o chlebie i wodzie! Potem kruszynkę z ręki do ręki przekazywali sobie różni pomocnicy i zastępcy. Najgorsze obyczaje barbarzyńskie!

Wojskowe życie pod Pogostjem toczyło się w swoistym rytmie. Nocą przychodziły uzupełnienia: pięciuset, tysiąc, dwa, trzy tysiące ludzi. Marynarze, kompanie marszowe z Syberii albo leningradczycy z blokady (przeprawiano ich po zamarznętej Ładodze). Rankiem, po krótkim przeszkoleniu bojowym, szli do ataku i padali pod nasypem kolejowym. Poruszali się przy tym jak żółwie, ostatkiem sił przebijając w głębokim śniegu przejście, zwłaszcza leningradczycy. Śnieg sięgał powyżej pasa, zabici nie przewracali się, lecz grzęzli w zaspach. Trupy zasypywał świeży śnieg, a następnego dnia był nowy atak, nowe trupy i w ciągu zimy powstawały warstwy nieboszczyków, które wiosną wyłoniły się spod śniegu – poskręcane, powykrzywiane, porozrywane, pomiażdżone ciała. Całe stosy.

O porażkach pod Pogostjem, o ich przyczynach, braku komunikacji, bałaganie, złym planowaniu, słabym rozpoznaniu, braku współdziałania między oddziałami i różnymi rodzajami wojsk coś tam się mówiło w naszej prasie, we wspomnieniach i specjalnych artykułach. Walki pod Pogostjem były w jakimś stopniu typowe dla całego frontu sowiecko-niemieckiego w 1942 roku. Wszędzie działo się podobnie, w każdym z tych miejsc – i na północy, i na południu, i pod Rzewem, i pod Starą Russą – było jakieś Pogostje.

Na początku wojny armia niemiecka weszła na nasze terytorium jak rozpalony nóż w masło. By zatrzymać jej pochód, nie znaleziono innych środków niż zalanie ostrza tego noża krwią. Stopniowo zaczął rdzewieć i tępić się, poruszał się coraz wolniej. A krew lała się i lała. Tak stopniały oddziały leningradzkich ochotników. Dwieście tysięcy najlepszych ludzi, kwiat tego miasta. W końcu nóż się zatrzymał. Był jednak solidny, cofnąć go nie było można. I przez cały 1942 rok krew się lała nadal, pomalutku nadżerając to straszliwe ostrze. Tak wykuwało się nasze przyszłe zwycięstwo.

Zawodowa armia wyginęła na początku wojny. Nowe formacje miały broni ledwie ledwie, amunicji jeszcze mniej. Doświadczonych dowódców można by policzyć na palcach jednej ręki. Szli w bój niewyszkoleni poborowi... „Atakować!” – rozkazuje Gospodarz z Kremla. „Atakować!” – dzwoni generał z ciepłego gabinetu. „Atakować!” – krzyczy pułkownik z solidnej ziemianki. I podnosi się setka Iwanów, i brnie w głębokim śniegu w krzyżowy ogień niemieckich karabinów maszynowych. Niemcy w ciepłych, drewnianych SO[14], najedzeni i pijani, bezczelni, wszystko przewidzieli, wyrachowali, wszyscy wałą, wałą równo jak pod kreskę. Ale i wrogowi było niełatwo. Niedawno jeden niemiecki weteran opowiedział mi, że wśród kaemistów z ich pułku były przypadki szaleństwa. To nie takie proste zabijać ludzi szereg po szeregu – a oni wciąż idą i idą, i końca nie widać.

Pułkownik wie, że atak nie ma sensu, że jedynie padną kolejne trupy. W niektórych dywizjach zostały już tylko sztaby i 3-4 dziesiątki żołnierzy. Były przypadki, że dywizja, gdy zaczynała walkę, miała 6-7 tysięcy bagnetów, a pod koniec operacji jej straty wynosiły 10-12 tysięcy – przez ciągłe uzupełnienia. A ludzi wciąż za mało! Mapa operacyjna Pogostja była pełna numerów jednostek, ale żołnierzy w nich nie było. Jednak pułkownik wykonuje rozkaz i pędzi ludzi do ataku. Jeśli ma sumienie, sam idzie w bój i ginie. Dokonuje się swoista selekcja naturalna. Ci o słabych nerwach i wrażliwi nie przeżywają. Pozostają ci bezwzględni, o silnych osobowościach, zdolni do walki w takich warunkach. Jest im znana tylko jedna taktyka – napierać masą ciał. Ktoś w końcu zabije Niemca. I choć powoli, jednak nieuchronnie zawodowe dywizje niemieckie topnieją.

Dobrze, jeśli pułkownik spróbuje przemyśleć i przygotować atak, sprawdzić, czy zrobiono wszystko, co było możliwe. Lecz często jest

zwyczajnie nieudolny, leniwy, pijany. Często nie ma ochoty porzucać ciepłej kryjówki i leżeć pod kule. Często oficer artylerii niedostatecznie określił cele i żeby nie ryzykować, strzela z oddali w przestrzeń, dobrze, jeśli nie do swoich, choć i to się zdarzało. Bywa, że zaopatrzeniowiec zapił i zabawia się z babami w najbliższej wsi, a pociski i żywność niedowiezione. Albo major zabłądził i z kompasem wyprowadził swój batalion całkiem nie tu, gdzie trzeba. Zamęt, bałagan, niewypełnianie obowiązków tak znane z codziennego życia, na wojnie widoczne są wyraźniej. A za wszystko jedna zapłata – krew. Iwany idą do ataku i giną, a siedzący w ukryciu dowódca cały czas ich pogania. Zadziwiająco różni się podejście człowieka idącego do ataku i tego, który się jedynie przygląda – jeśli samemu nie trzeba umierać, wszystko wydaje się proste: naprzód!

Pewnej nocy zastępowałem telefonistę. Ówczesna łączność była prymitywna i słychać było wszystkie rozmowy na wszystkich liniach. Słyszałem, jak nasz dowódca Iwan Iwanowicz Fieduninski rozmawiał z dowództwem dywizji: „Taka wasza mać! Naprzód!!! Nie posuniecie się – rozstrzelam! Taka wasza mać! Atakować, taka wasza mać!” Dwa lata temu sędziwy Iwan Iwanowicz, dobroduszy dziadek, w telewizji opowiadał państwu[15] o wojnie w zupełnie innym tonie...

Mówiąc językiem przypowieści, było tak: w domu załęgły się pluskwy, więc gospodarz kazał mieszkańcom spalić dom razem z robactwem. Ci, co zostaną, zbudują wszystko na nowo... Inaczej nie umieliśmy i nie mogliśmy. Gdzieś czytałem, że wywiad angielski przygotowuje swoich agentów przez dziesięciolecia. Uczą ich w najlepszych college'ach, robią z nich atletów, intelektualistów, zdolnych do wszystkiego znawców swojego rzemiosła. Potem tacy agenci zajmują się sprawami świata. W krajach barbarzyńskich natomiast zadanie powierza się dziesiątkom tysięcy byle jak, na szybko podszkolonych ludzi, licząc na to, że nawet jeśli prawie wszystkim się nie uda i zostaną zabici, choć jeden wypełni swoją misję. Ani czasu, ani środków, ani doświadczonych nauczycieli tu nie ma. Wszystko robi się w pośpiechu – wcześniej nie zdążyli, nie pomyśleli albo i nawet zrobili niemało, tylko nie tak jak należy. Wszystko idzie na żywioł, intuicyjnie, masą. I tym barbarzyńskim sposobem walczyliśmy my.

W 1942 roku nie było alternatywy. Mądry Gospodarz na Kremlu wszystko świetnie rozumiał, wiedział i tłumiąc wszystkich swoją żelazną wolą, rozkazywał tylko: „Atakować!”. I atakowaliśmy, a góry trupów –

beziemiennych pagórków – pod Pogostjem, nad Newą rosły...

Gdyby Niemcy zapełnili nasze sztaby szpiegami, a oddziały dywersantami, jeśli nastąpiłaby masowa zdrada i wróg opracowałby detaliczny plan rozbicia naszej armii, nie udałooby mu się osiągnąć takiego efektu, jaki był wynikiem idiotyzmu, tępoty, braku odpowiedzialności dowódców i bezradnej uległości żołnierzy.

W czasie wojny szczególnie ostro objawiła się podłość ustroju bolszewickiego. Tak jak w czasach pokoju, na froncie też odbywały się areszty i egzekucje najbardziej pracowitych, uczciwych, inteligentnych, aktywnych i mądrych ludzi – tyle że w jeszcze bardziej otwartej, obrzydliwej formie. Podam przykład. Z wyższych sfer przychodzi rozkaz: zdobyć wzniesienie. Pułk przypuszcza szturm tydzień po tygodniu, tracąc codziennie wielu ludzi. Uzupełnienia przychodzą bez przerwy, ludzi nie brakuje. Wśród nich są dystroficy z Leningradu, którym dopiero co lekarz zalecił trzytygodniowe leżenie w łóżku i solidne odżywianie, są chłopcy z rocznika 1926, kilkunastolatekowie, niepodlegający poborowi... „Do atakuuu!!!” – i już. Na koniec jakiś szeregowiec albo lejtnant, plutonowy albo kapitan (rzadziej), widząc to ohydne bestialstwo, krzyczy: „Nie można tak mordować ludzi! Przecież tam, na wzniesieniu stoi betonowe SO! A my mamy tylko 76-milimetrowe działo! Przecież nie damy rady tym go rozbić!”...

Od razu włącza się politruk, Smiersz[16] i trybunał. Jeden z donosicieli, których jest pełno w każdym oddziale, zaświadcza: „Tak, w obecności żołnierzy zwątpił w nasze zwycięstwo”. Wówczas dopełniają gotowy formularz, w którym trzeba wpisać jedynie nazwisko. I gotowe: „rozstrzelać” albo „przenieść do kompanii karnej”, co oznaczało to samo. Tak ginęli najuczciwsi, czujący odpowiedzialność przed społeczeństwem, ludzie. A pozostali: „Naprzód, do atakuuu!”, „Nie ma takich twierdz, których by nie mogli zdobyć bolszewicy!”. Zaś Niemcy wgryźli się w ziemię, tworząc cały labirynt okopów i kryjówek. Spróbuj się do nich dobrać! Odbywało się głupie, bezmyślne mordowanie naszych żołnierzy.

Łatwo to pisać, kiedy minęły całe lata, kiedy zarosły leje po bombach w Pogostju, kiedy prawie wszyscy zapomnieli tę małą stacyjkę. I już przytępiły się smutek i rozpacz, które tam przeżyliśmy. Opisać tej rozpacz nie da się i rozumie ją jedynie ten, kto sam doświadczył konieczności, by po prostu wstać i pójść na śmierć. Nie ktoś inny, a właśnie ty, i nie kiedyś, a teraz, w tej minucie, musisz iść w ogień, gdzie w najlepszym razie

zostaniesz lekko ranny, a w najgorszym – albo urwie ci szczękę, albo rozwali brzuch, albo wybije oczy. Właśnie tobie, chociaż tak chcesz żyć! Tobie, choć masz tyle nadziei. Tobie, choć jeszcze się nie nażyłeś, niewiele zobaczyłeś. Tobie, choć wszystko przed tobą, masz dopiero 17 lat! Powinieneś być gotów umierać nie tylko teraz, lecz stale. Dziś ci się udało, śmierć przeszła obok, ale jutro znów trzeba iść do ataku. Znów trzeba ginąć. I nie heroicznie, a bez pompy, bez orkiestry i przemówień, w brudzie, w smrodzie. Twojej śmierci nikt nie zauważy: legniesz w wielkim stosie trupów przy torach kolejowych i zgnijesz, zapomniany przez wszystkich, w lepkich bagnach Pogostja.

Biedni są rosyjscy mężczyźni! Wpadli w młyn historii, między dwa ludobójstwa. Z jednej strony niszczył ich Stalin, zaganiając kulami do socjalizmu, a teraz, w latach 1941-45, Hitler zabijał miriady niewinnych ludzi. Tak ginął naród rosyjski, a przede wszystkim jego dusza. Dlaczego szli na śmierć, choć wyraźnie przeczuwali, co ich czeka? Dlaczego szli, choć nie chcieli? Szli – nie ze zwyczajnym strachem, lecz owładnięci przerażeniem. Mimo to szli!

Nie rozmyślaliśmy nad tym i nie szukaliśmy uzasadnień. Dalecy byliśmy od tego. Po prostu wstawało się i szło, dlatego że TRZEBA! Uprzejmie wysłuchiwalismy z ust politruków błogosławieństw na drogę – nieporadnej przeróbki tępych i pustych wstępniaków gazetowych – i szliśmy. Wcale nie zapaleni jakimiś ideami czy hasłami, a dlatego że TRZEBA. Widocznie tak też szli umierać nasi przodkowie na Kulikowym Polu lub pod Borodino.[17] Pewnie nie rozmyślali o perspektywach historycznych i wielkości naszego narodu... Wyszedszy na pole bitwy, nie krzyczeliśmy: „Za Ojczyznę! Za Stalina!”, jak piszą w powieściach. Tam słychać było ochryple wycie i ordynarne przekleństwa, póki kule i odłamki nie zamknęły krzyczących gardeł. Nie w głowie był Stalin, kiedy stawała przy nas śmierć.

Skąd w latach sześćdziesiątych znów wziął się mit, że zwyciężyliśmy tylko dzięki Stalinowi? Nie mam co do tego wątpliwości. Ci, którzy zwyciężali – albo polegali na polu walki, albo rozpiłi się przytłoczeni powojennymi trudnościami. Bo przecież nie tylko wojna, ale i odbudowa kraju była na ich rachunek. Ci z nich, którzy jeszcze żyją, milczą, złamani. Zostali u władzy i zachowali siły inni – ci, co zaganiiali ludzi do łagrów, ci, co zaganiiali do bezmyślnych, krwawych ataków w czasie wojny. Oni mieli na ustach imię Stalina, oni i teraz krzyczą o tym. Nie było na pierwszej linii: „Za Stalina!”. Komisarze próbowali wbić nam to do głów, ale w czasie ataków komisarzy

nie było. Wszyscy oni to szumowiny...

Nie wszyscy ruszali do ataku, choć zdecydowana większość tak. Ktoś wygrzebał w ziemi dołek i schował się w nim. Tu w swojej głównej roli występował politruk, szturchając naganem w pysk, gnając strachliwych naprzód... Byli i dezterterzy. Tych łapano i rozstrzeliwano przed szeregiem, żeby innym się odechciało. Organa karne działały u nas doskonale. To należy do naszych najlepszych tradycji. Od Maluty Skuratowa[18] po Berię[19] w ich szeregach zawsze byli profesjonaliści i zawsze było wielu chętnych, by poświęcić się temu szlachetnemu i niezbędnemu dla każdego państwa zajęciu. W czasie pokoju ta profesja jest łatwiejsza i ciekawsza niż uprawa roli lub praca przy tokarce. I profity większe, i władza nad innymi pełna. W czasie wojny zaś nie trzeba wystawiać głowy pod kule, tylko obserwować, żeby inni robili to należycie.

Wojska szły do ataku popychane przez strach. Przeróżające było spotkanie z Niemcami, z ich karabinami maszynowymi i czołgami, z całą tą ogniową maszynką do mielenia mięsa. Nie mniejszy strach wywoływała nieubłagana groźba egzekucji. Żeby utrzymać w posłuszeństwie amorficzną masę źle wyszkolonych żołnierzy, rozstrzeliwano przed walką. Łapano jakichkolwiek cherławych *dochodiagów*[20] lub tych, którzy coś tam chlapnęli, lub zwyczajnych dezterterów, których zawsze było pod dostatkiem. Ustawiano dywizję w literę „C” i bez tłumaczenia wykańczano nieszczęśników. Ta profilaktyczna robota polityczna skutkowała tym, że strach przed NKWD i komisarzami był większy niż przed Niemcami. A podczas ataku, jeśli dasz krok do tyłu, dostaniesz kulę od oddziału zaporowego. Strach zmuszał żołnierzy, by pójść na śmierć. Na to też liczyła nasza mądra partia – przywódca i organizator naszych zwycięstw. Rozstrzeliwano, oczywiście, i po nieudanej bitwie. Bywało i tak, że oddziały zaporowe kosiły z karabinów maszynowych cofające się bez rozkazu pułki. Stąd zdolność bojowa naszych bohaterskich wojsk. Wielu oddawało się do niewoli, ale jak wiadomo – u Niemców nie było pieczonych gołąbków.

Zdarzały się samookaleczenia. Żołnierze ranili siebie, żeby uniknąć walki na froncie. Strzelali przez bochenek chleba, aby nie osmalić się od bliskiego wystrzału i tym samym nie zdemaskować. Strzelali przez trupy, by wywieść w pole lekarzy. Strzelali sobie wzajemnie w nogi i ręce. Najwięcej samostrzałów było wśród Kazachów, Uzbeków i innych Azjatów. Ci w ogóle nie chcieli walczyć. Przeważnie tych, którzy się okaleczali, demaskowano

i rozstrzeliwano.

Pewnego razu w lesie spotkałem cały oddział – 25 ludzi z rękami w pokrwawionych bandażach. Prowadził ich konwój Smiersza z bronią gotową do strzału. Innym razem, odstawiwszy do oddziału sanitarnego kolejnego rannego, zobaczyłem w sali operacyjnej człowieka z urwaną dłonią. Obok dyżurował strażnik. Sanitariusze opowiedzieli mi następującą historię. Niejaki Szebies, kancelista magazynu żywnościowego, został przeniesiony do zwiadu. Tu dowiedział się, że na pierwszej linii strzelają i można zginąć. Wtedy Szebies wlaź do SO, wysunął przez otwór strzelniczy rękę z granatem i zdetonował go. Żołnierze, niczego nie podejrzewając, odesłali rannego Szebiesa do *miedsanbatu*[21]. Pojechałby do domu, gdyby nie starszy lejtnant Tołstoj – nasz kontrwywiadowiec. Był to urodzony mistrz swojego fachu, profesjonalista wysokiej klasy. Już sam jego widok budził lęk. Ogromne, zimne oczy, długie, gibkie palce... Tołstoj poszedł na pierwszą linię, znalazł SO, urwane palce, rozerwaną rękawicę i zdążył dogonić Szebiesa w *miedsanbacie*. Szebies w histerii się pogubił i do wszystkiego przyznał. Później go rozstrzelano.

Żeby nie iść w bój, cwaniaki próbowali załatwić sobie ciepłe posadki: przy kuchni, jako tyłowy kancelista, magazynier, ordynans dowódcy i tak dalej. Wielu się to udawało. Kiedy w kompaniach zostały tylko resztki, tyły zaczęto przeczesywać żelazną ręką, odrywając tych, co się przyssali, i kierując ich do walk. Zostawiali jedynie ci najcwańsi. Tu także trwała selekcja naturalna. Na przykład uczciwego kierownika magazynu żywnościowego zawsze wysyłano na front, złodziej zostawał. Przecież ten uczciwy wszystko odda żołnierzom, nie zostawiając nic dla siebie ani dla dowództwa. A dowódcy lubią pojeść tłuszczej. Złodziej, nie zapominając o sobie, zawsze zadba o władzę. Jakże pozbawić się tak cennej kadry? Kogóż posłać na pierwszą linię? Tworzył się swego rodzaju krąg poręki – swój pomagał swojemu, a jeśli jakiś idiota próbował dojść sprawiedliwości, pogrążali go wspólnie. Innymi słowy, jawnie i otwarcie działo się to, co w czasie pokoju było zawoalowane i mniej widoczne. Na tym stała, stoi i stać będzie ziemia rosyjska.

Wojna – największe draństwo, jakie kiedykolwiek wymyślił rodzaj ludzki. Najgorsza jest w niej nie tylko świadomość nieuniknionej śmierci, ale też małostkowa niesprawiedliwość, podłość bliźniego, rozpasanie ułomności

ludzkich i panowanie brutalnej siły. Spuchnięty z głodu chłupiesz cienką zupkę, a obok ciebie oficer żre masło. Przysługują mu specjalne racje, oprócz

tego szef kompanii kradnie dla niego produkty z żołnierskiego kotła. Na trzydziestostopniowym mrozie budujesz ciepłą ziemiankę dla dowódcy, a sam marzniesz na śniegu. Pod kule musisz iść jako pierwszy i tak dalej... Do wszystkiego szybko przywykniesz, wygląda to strasznie jedynie na początku, kiedy jeszcze jesteś wydelikacowanym cywilem. Zaś specjalna racja dla dowództwa to historyczna konieczność. Trzeba dbać o korpus oficerski – kościec armii. Na wojnie wszystko zależy od niego. Ubywa w walce głównie żołnierzy, a wokół trzonu oficerskiego formuje się nowy oddział...

Miły Kiesza Potapow z Jakucka opowiadał mi, że w czasie wojny Gospodarz nałożył na Jakucję ogromny plan dostaw zboża. Miejscowy naczelnik, który wykazał niemożność wypełnienia tegoż planu, został zwolniony i aresztowany jako wróg ludu. Z centrali przyjechał inny, który nakazał konfiskatę wszystkich zapasów zboża – do czysta. Dostał order Zimą zaczął się masowy głód i prawie jedna trzecia ludzi wymarła, pozostali przeżyli z ledwością. Plan został wykonany, armia zaopatrzona w zboże. A ludzie? Przyszli na świat nowi i teraz jest ich jeszcze więcej. Mądry Gospodarz wiedział, co robi, wypełniając historyczną konieczność. Dlatego buzia w ciup – co z tego, że ukradli ci pół porcji mięsa i cukier?!

Odzież była na froncie prosta, zwyczajna, ale za to ciepła i wygodna. Na to wybrzydzać nie można. Przewidujący Niemcy niczego podobnego nie mieli i zawsze solidnie marzli.

Broń i Niemcy, i my mieliśmy niezłą, ale oni byli lepiej wyszkoleni i nie pakowali się bezmyślnie pod kule. Pamiętam, jak wyglądało szkolenie naszego, dopiero co sformowanego pułku piechoty: biegaliśmy po lesie, krzyczeliśmy „Hurra!” i ani razu nie strzeliliśmy do celu, ponieważ oszczędzaliśmy amunicję. U Niemców było odwrotnie: każdy żołnierz świetnie strzelał, potrafił szybko się okopać i ocenić sytuację.

Pewnego razu postanowiłem wypróbować wychwalany niemiecki karabin maszynowy MG (Maschinengewehr), który strzelał, jak mówiono, z prędkością ośmiuset pocisków na minutę. Wyjąłem go z rąk martwego Niemca, powiesiłem sobie na szyi – 12 kilogramów żelastwa. Do tego jeszcze ponad 3 kilogramy pocisków, zapasowych luf, granaty, jedzenie i cała reszta... Szliśmy 40 kilometrów i z każdym krokiem ten przeklęty Maschinengewehr stawał się coraz cięższy. Zupełnie osłabłem i pocieszałem się jedynie tym, że nasz maxim jest jeszcze cięższy – ponad 25 kilogramów.

Kiedy przed nami pokazali się Niemcy, nawet się ucieszyłem. Padłem

w jakiś dół, wycelowałem, nacisnąłem spust... „*Donnerwetter! Tausend Teufel! Dreck mit Pfeffer! Deutsche Mutter!*”[22] To przekłete bydlę w ogóle nie działało! Z wściekłością rzuciłem go w kałużę, złapałem automat swojego sąsiada i zacząłem pruć w atakujących...

Trudno mierzyć dzisiejszą miarą tamte wydarzenia. Jeśli w czasie pokoju kogoś potrafi samochód, pobije chuligan albo spotka ciężka choroba – zapamiętuje się to na całe życie. A ileż będzie przy tym gadania! Na wojnie potworne wypadki były chlebem powszednim. Ile kosztowało, na przykład, przejście przez tory kolejowe pod Pogostjem w 1942 roku? Ten odcinek zaczęto nazywać „doliną śmierci”. (Wiele było takich „dolin śmierci” i w innych miejscach.) Czołgamy się w dziesięciu, a z powrotem – we dwóch; i do – brze, jeśli żaden nie jest ranny. Przebiegamy po trupach, chowamy się za trupami – nie da się inaczej. Następnego dnia znów tam posyłają... Obok ciebie rwie w strzępy człowieka, zalewa cię jego krew, zarzucają cię jego wnętrzności i mózg – w warunkach pokoju wystarczyłoby to, by oszaleć.

Każdego dnia, każdej godziny wydarza się coś nowego. Nagle niemiecki snajper położył mnie w lej i nie dawał ruszyć się do nocy, strzelając przy każdym moim najmniejszym ruchu. Trzy godziny na siarczystym mrozie – i paznokcie zeszyły mi z odmrożonych palców. Co prawda, potem odrosły, powykęcane jak u diabła... A to Niemiec wrzucił do mojej kryjówki granat, ale, chwała Bogu, miałem wyćwiczony refleks i zdążyłem błyskawicznie wyrzucić go za nasyp, gdzie w tymże momencie wybuchł... A to w czasie obiadu pocisk niemiecki przebił dach w naszej ziemiance, ale nie wybuchł, tylko syczał na podłodze. „No co, chłopaki, wynieście go i bierzcie się za jedzenie” – powiedział lejtnant. Z powodu takich drobnostek już nikt w tym czasie nie robił w spodnie. Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Pewnego razu pocisk z ciężkiego moździerza trafił w naszą ziemiankę, uszkodził strop z belek, ale na szczęście nie przebił go. Nawet się nie przebudziłem od strasznego huku, drżenia i grudek ziemi spadających z góry. O wszystkim opowiedział mi łącznościowiec Połukarpow, który spędzał nocę na czworaka, „w pozie zenitówki”, ponieważ ataki choroby wrzodowej nie dawały mu spać.

Popularna jest historia o tym, jak w czasie ostrzału żołnierz poczuł niewyjaśnioną tęsknotę za sąsiadami. Poszedł do sąsiedniej ziemianki, ale była całkowicie rozbita, a wszyscy ludzie – pogrzebani pod jej szczątkami.

W czasie kiedy wracał do siebie, jego kryjówkę spotkał ten sam los. Mnie przydarzyło się to samo, co prawda nie pod Pogostjem, lecz później, w 1944 roku, na stacji Striemutka pod Pskowem.

A kiedy naciera i strzela do ciebie czołg? Kiedy cię atakują i trzeba zabić, zanim zabiją ciebie? Jedno jest zadziwiające – to, ile człowiek może znieść! Na każdym ocalałym wojna jednak odcisnęła swoje piętno. Jedni się rozpili, żeby przytępić zmysły i zapomnieć. Starszy sierżant Zatanajczenko też wypił za dużo i ruszył wyprostowany na Niemców. Pochowaliśmy go obok lejtnanta Pachomowa – cichego i dobrego człowieka, który umarł po wypiciu ze smutku dwóch menażek wódki. Na jego mogile napisano: „Zginął z rąk niemiecko-faszystowskich najeźdźców”, to samo przekazano rodzinie. I była to przecież prawdziwa przyczyna śmierci biednego lejtnanta. Ich mogiły zniknęły już w 1943 roku.

Wielu innych zezwierzęciało i splamiło się nieludzkimi okrucieństwami w końcu wojny w Niemczech. Wielu upewniło się na wojnie, że życie ludzkie nie jest nic warte i zaczęło się zachowywać według zasady „chwytaj dzień” – skubnij tłusty kąsek za każdą cenę, tęp bliźniego, urywaj ze wspólnego bochenka wszelkimi sposobami jak można najwięcej. Innymi słowy – wojna z łatwością niszczyła w człowieku odwieczne zasady moralności, sprawiedliwości.

Dla mnie Pogostje było momentem przełomowym. Tam zostałem zabity i zmiażdżony. Tam zostałem skazany na absolutną nieuchronność własnej śmierci. I tam narodziłem się na nowo. Żyłem jak w malignie, dezorientowany, nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje wokół. Umysł dosłownie przygasł i ledwie się tlił w moim głodnym, umordowanym ciele. Życie duchowe budziło się z rzadka. W wolnej chwili zamykałem oczy w ciemnej ziemiance i wspominałem dom, słoneczne lato, Ermitaż, znajome książki, melodie i było to jak maleńki, skrzący się słabiutko, ale rozgrzewający ogienek nadziei pośród mrocznego, zimnego świata barbarzyństwa, głodu i śmierci. Nie rozróżniałem, gdzie kończy się jawa, a gdzie zaczyna sen. Wszystko mi się mieszało.

Prawdopodobnie ta transformacja, to przejście z realnego życia do marzeń mnie uratowało. W Pogostju „emigracja wewnętrzna” stała się jakby moją drugą naturą. Potem, kiedy już okrzepłem i oswoiłem się z rzeczywistością frontową, ten dar pozostał i bardzo mi pomagał. W czasie wojny był to akt niepokorny, nie na darmo kiedyś w okopie zatrzymał mnie czujny politruk:

„...mać, co tak chodzisz bez broni, z kwiatkiem w ręku jak Eugeniusz Oniegin! Marsz do armaty!”.

Właśnie po doświadczeniach pod Pogostjem poczułem chorobliwą potrzebę mycia rąk wiele razy dziennie, częstego zmieniania bielizny. Nabrałem instynktownej umiejętności trzymania się jak najdalej od niegodziwości, podejrzanych spraw, złych ludzi, a przede wszystkim od aktywnego udziału w żołnierskim życiu: od stanowisk dowódczych, od konieczności podejmowania życiowych decyzji – wobec siebie i w szczególności wobec innych. Dziwne, ale po przejściu Pogostja poczułem cenę dobra, sprawiedliwości, nad którymi wcześniej się nie zastanawiałem. Pogostje, które zdeprawowało i zniszczyło silnych, mnie – słabego, bezbronnego – wzmocniło. Od tej pory żyłem zawsze nadzieją na lepsze, nigdy nie zgadzałem się na „chwytanie dnia” i nie pakowałem się w walkę o kawałek chleba. Płynąłem z prądem – to prawda, bo los był mi przychylny...

Ataki w Pogostju szły swoją koleją. Okoliczny las zaczął przypominać stary grzebień: sterczące nierówno jak wyszczerbione, ostre zęby połamane pociskami pnie. Świeży śnieg w ciągu dnia czerniał od wybuchów. A my ciągle atakowaliśmy z tym samym skutkiem. Ci, co służyli na tyłach, poubierali się w nowiutkie, białutkie półkożuszki zdjęte z syberyjskich uzupełnień, które zginęły od ostrzałów, nie dochodząc do pierwszej linii frontu. Oddziały złożone ze starsuszków bez ustanku czołgały się nocą po polach walk, żeby zbierać broń; czyszczono ją i oddawano nowo przybyłym. Wszystko odbywało się jak na taśmie fabrycznej.

Zabitych zbierano później, gdy stopniał śnieg, zrzucano ich w doły lub leje po bombach i zasypywano ziemią. To nie były pogrzeby, lecz „oczyszczanie okolicy z trupów”. Martwych Niemców nakazano układać w stosy i palić.

Widziałem tam również zamarznięte ciała czerwonoarmistów, które Niemcy wtykali nogami do góry w zaspy na skrzyżowaniach jak drogowskazy.

Cały styczeń i luty dywizje dreptały wzdłuż linii kolejowej Pogostje-Szała. Co najmniej trzy dywizje utrzymywały, że to właśnie one zdobyły Pogostje i przekroczyły tory. Tak w istocie było, ale wszystkie te dywizje zostały ponownie odparte, by potem znów rzucić się do ataku. Przy tym zachowały jedynie swoje numery i dowódców – żołnierze byli nowi, z uzupełnień, i szli do ataku po ciałach swoich poprzedników.

Sztab armii znajdował się jakieś 15 kilometrów od frontu. Tam żyło się bajecznie. Tam pozabawiano złudzeń komsomołki, które dobrowolnie przyjechały na front, by „walczyć z bestiami faszystowskimi”, pito koniak, smacznie jadano. W Armii Czerwonej żołnierze mieli zwykłą rację, oficerowie zaś otrzymywali dodatkowo masło, konserwy, suchary. Do sztabów przywożono generałom delikatesy: wina, bałyki, kiełbasy i tak dalej. U Niemców od żołnierza do generała menu było takie samo – i to bardzo dobre. W każdej dywizji niemieckiej była kompania masarzy, która przygotowywała wyroby mięsne. Jedzenie i wina dostarczano ze wszystkich krańców Europy. Co prawda, kiedy na froncie było źle (na przykład pod Pogostjem), i Niemcy, i my żarliśmy zdechłe konie.

W sztabie dowodził na podstawie mapy generał Fiediuninski, wskazując dywizjom przybliżone kierunki natarcia. Łączność zrywała się często, wywiad działał źle. Pułki traciły orientację w głuchym lesie, wychodziły nie tam, gdzie powinny. Karabiny i automaty nierzadko zacinały się od mrozu, artyleria strzelała w kierunku opustoszałych rejonów, a czasem do swoich. Brakowało amunicji...

Niemcy wiedzieli wszystko o ruchach naszych wojsk, o ich składzie i liczebności. Mieli wspaniałą wywiad lotniczy i nie tylko. Mimo to Pogostje zdobyliśmy. Najpierw stację, potem wieś, a raczej miejsce, gdzie kiedyś się znajdowała. Przyszła dywizja chłopów spod Wiatki – krępych, krzywonogich, żyłastych, o wystających kościach policzkowych. „Ech, twoja mać! Co będzie, to będzie!” – poszli na niemieckie SO, wykurzyli Fryców, wszystko wysadzili w powietrze i przesunęli front o 500 metrów. W tym wypadku było to potrzebne. W wyrwę wrzucono po ich ciałach korpus piechoty i dalej poszło. W końcu lutego wpuszczono tamtędy nasz dywizjon – sześć wielkich, niezgrabnych armat ciągniętych traktorami. Bali się rzucić więcej dział, ponieważ w wypadku okrążenia nie można byłoby ich wyciągnąć.

Nasyp kolejowy był ciągle pod ostrzałem – co prawda nie z broni maszynowej, a z artylerii dalekiego zasięgu. Przejazd trzeba było pokonywać biegiem. Dopiero teraz w pełni zdaliśmy sobie sprawę ze zniwa, jakie zebrała tu śmierć. Wcześniej wszystko oglądaliśmy z perspektywy żaby – czołgając się, nie odrywając nosa od ziemi, widzieliśmy jedynie mijane trupy. Teraz stanęliśmy wyprostowani, jak przystoi panom tej ziemi, i przestraszyliśmy się zbrodni dokonanej na tym jej bagnistym skrawku! Widziałem wielu zabitych

przedtem i potem, ale widok Pogostja zimą 1942 roku był jedyny w swoim rodzaju. Powinno się go uwiecznić dla potomnych, powiesić ogromne zdjęcia w gabinetach wielkich tego świata – ku przestrodze.

Nie tylko przejazd kolejowy został usłany trupami, walały się wszędzie. Były stosy trupów i pojedyncze przerażające sceny. Żołnierz z piechoty morskiej, ugodzony kulą w czasie rzucania granatu, zamarzł i zastygł nad zaśnieżonym polem walki jak pomnik z podniesioną w górę ręką. Miedziane guziki na jego czarnej kurtce błyskały w promieniach słońca. Ranny piechur zaczął przewiązywać sobie ranę i znieruchomiał na zawsze, trafiony kolejną kulą. Bandaż w jego dłoniach trzepotał na wietrze.

W lasu natknęliśmy się na ciała dwóch grup zwiadowców. Najwidoczniej w czasie zwiadu Niemcy i nasi wpadli na siebie niespodziewanie i zaczęli walkę wręcz. Kilka ciał leżało nadal w martwym uścisku. Jeden trzymał przeciwnika za gardło, podczas gdy ten wbijał mu w plecy nóż. Inna para szczepiła się rękami i nogami. Nasz żołnierz chwycił Niemca zębami za palec i tak zamarzł. Niektórzy byli porozrywani granatami lub zabici z bliskiej odległości z pistoletu.

Stosy trupów przy linii kolejowej wyglądały dotąd jak ośnieżone szczyty, widoczne były jedynie ciała leżące na samej górze. Wiosną, kiedy roztopił się śnieg, odsłoniło się wszystko, co było niżej. Na samym dole leżeli żołnierze w letnich mundurach i butach. To były ofiary jesiennych walk 1941 roku. Na nich piętrzyła się warstwa piechoty morskiej w marynarskich kurtkach i szerokich, czarnych spodniach („kloszach”). Wyżej – żołnierze z uzupełnień syberyjskich w półkożuszkach i walonkach, którzy szli do ataku w styczniu i lutym 1942. Jeszcze wyżej politbojcy w waciakach i szmacianych czapkach (takie czapki dawano w oblężonym Leningradzie). Na nich – ciała w płaszczach maskujących, z hełmami albo gołymi głowami. Przerażający wykres naszych „sukcesów”!

To wszystko obnażyło się dopiero wiosną, teraz nie było czasu na przyglądanie się polu walki. Spieszyliśmy dalej. Widziane przelotnie straszliwe obrazy mimo to wbiły się mocno w świadomość, a w podświadomość jeszcze mocniej – ciągle mam ten sam, powtarzający się sen: góry trupów wzdłuż nasypu kolejowego.

Po minięciu paru unieszkodliwionych czołgów KW, droga opadała w stronę zamarzniętego jeziora i długo ciągnęła się wśród ośnieżonych kępek i krzaków. Potem zaczynały się lasy. Prawdziwa, nieprzebyta tajga. Nawet

nie wiedziałem, że są takie lasy w pobliżu Leningradu. Majestatyczne, ogromne świerki, osiki, których pień z ledwością mogło objąć dwóch ludzi. Nieopisane piękno!

Pod jeden ze świerków podciągnięto kuchnię. Gdy tylko kucharz zaczął wydawać gorącą zupę, z góry posypał się śnieg i spomiędzy gałęzi wypadł wielki Niemiec w zielonym płaszczu i pilotce naciągniętej na uszy. Nasi odważni wojacy z kucharzem na czele rzucili się do ucieczki. Jednak Niemiec był całkiem przemarznięty, nie mógł poruszać rękami i pragnął tylko się poddać. Posadzono go na drzewie dwa dni temu z rozkazem strzelania do Iwanów. Front się przesunął, więc Hans, nie doczekawszy się swoich, postanowił oddać się do niewoli.

Kucharz Sieriegin zszokował mnie poprzedniej nocy. Pełniłem na drodze wartę i nagle usłyszałem głuchy odgłos uderzeń. To kucharz starannie, na przydechu rąbał siekierą skórzany but na zamrożonej nodze nieboszczyka. Drugi but był już odrąbany. „Mokre drwa nie chcą się palić, a skórą można szybko rozgrzać kocioł” – wyjaśnił mi Sieriegin. To się nazywało „żołnierska smykałka”.

Potem ruszyliśmy w dalszą drogę. Zatrzymywaliśmy się tylko po to, żeby strzelać albo przenocować. Spaliśmy przy ogniskach lub wprost na śniegu. Ognisko grzało tę część ciała, która była ku niemu zwrócona. Strzelało węgielkami, które przepalały czapki i płaszcze, ogień opalał twarze, a w tym czasie plecy lodowaciały od zimnicy. Ale lepsze to niż nic.

Po noclegu jedziemy dalej. Przez cały czas lekki ostrzał. Wokół płacze się piechota obładowana jak wielbłądy. Poboczami, polami szybko mkną na nartach żołnierze w białych kombinezonach maskujących. Roztrącając wszystkich po drodze, prą naprzód czołgi, które zostawiają za sobą śnieżny pył i woń benzyny. Zabitych mijamy niewielu, leżą pojedynczo. Tylko na jednej polance znajdujemy 30-40 ciał, widocznie są to ofiary nalotu. Jakiś starszy sierżant w piersi ma ogromną dziurę, a na jej skraju, na strzępach podkoszulka pała czerwienią pogięty order.

Włoką się ranni. Na skraju drogi leży żołnierz – majaczy, twarz ma pałowoczerwoną. Może jest chory? Ma gorączkę? Wszyscy idą dalej, nikt nie ma czasu, by się przy nim zatrzymać. Przechodzimy przez spalone wsie. Oto Zienino: kominy, kupy popiołów i w nich spalone konie. W ciągu dwóch miesięcy te osmalone, rozkładające się tusze zjedzą do ostatka bohaterscy żołnierze – Kazachowie, którzy przybyli, by uzupełnić nasze przerzedzone

szeregi.

Podchodzimy pod samą Konduję, Smierdynię. Rozchodzi się pogłoska, że zwiad doszedł już do Lubani i połączył się z oddziałami, które wyszły mu na spotkanie od drugiej strony. Ale wszystko staje. Front się stabilizuje. Kilka pododdziałów, zwłaszcza bataliony narciarzy, które wyrwały się naprzód, giną. Oprócz tego w końcu marca zaczyna się odwilż, topnieją śniegi, spod których znów wyłaniają się trupy. Leżą rzędami na miejscach zimowych ataków i pojedynczo w zaspach wzdłuż drogi. To ranni, którzy zmarli w drodze do szpitala. Sporo nagromadziło się ich przez zimę. Mają obwiązane głowy, a ręce i nogi w łupkach z dykty unieruchamiających pogruchotane kości.

Kłęska żywność: drogi rozmiękły, bagna stały się nie do przebycia, nie można dowieźć ani jedzenia, ani broni. Grzęzną nawet ciągniki. Kolumny żołnierzy człapią w błocie. Brodząc po kolana, a czasem po pas, taszczą to dwa pociski, to worek z sucharami, skrzynkę z nabojami. Z powrotem wloką rannych pokrytych strupami z krwi i brudu. Jeść nie ma co. Chleba brak, zupa – bez soli (próbowaliście kiedyś czegoś takiego?). Armia na granicy paraliżu.

Dowództwo podejmuje więc szybkie kroki, żeby podreperować drogi. Tysiące żołnierzy z siekierami i piłami ścinają las, budują faszyny. Oblepili drogę jak mrówki. Po dwóch tygodniach droga z cienkich kłód ułożonych poprzecznie na grubych podkładach jest gotowa. Jazda po takiej drodze wytrząsa z człowieka duszę. Ranni, nie wytrzymując tych wstrząsów, umierają, a w najlepszym razie odnawiają im się krwotoki. Ale najważniejsze, że droga – główna arteria wojny – jest i front ożyje.

Ostrzeliwuje ją przeciwnik. „Łapciarze” (tak nazywano niemieckie bombowce nurkujące Ju-87 z powodu podwozia, które się nie chowało) po pięć-sześć razy dziennie pikują na skrzyżowania. Lecą w kluczu jak ptaki, ze strasznym wyciem – włączają specjalne syreny. Wybuchy bomb rozrzucają kłody, błoto, samochody, ludzi, ale po półgodzinie ruch odżywa na nowo.

Ziemianki zalała woda. Zamiast nich robimy poszycia z gałązek obwiedzione dwiema plecionkami, między które sypimy ziemię. Od góry – bale i ziemia. Nie jest tak bezpiecznie jak w ziemiance, ale też mamy osłonę przed odłamkami i śpimy w cieple. Jesteśmy mokrzy, brudni. Zamiast walonek dali nam buty z onucami – idiotyczny wymysł, cały czas się rozwiązują i płaczą wokół nóg.

Któregoś razu położyłem się w suchym miejscu pod krzakiem, dla pewności podłożyłem sobie łopatę – czysto symboliczną ochronę przed wilgocią. Obudziłem się w wodzie, w zupełnie przemoczonym waciaku. Ubranie wyschło potem na mnie i żadnego przeziębienia! Zwykłych chorób w tym strasznym czasie nie było. Oczywiście, ktoś tam na coś tam chorował. Plutonowy Saryczew, blady jak ściana i chudy jak szkielet, cierpiał na wrzody. Loszka Judin, odważny zwiadowca, miał glisty. Kucharz Sieriegin chwalił się zadawnionym tryprem. Lecz wszystko to były życiowe drobnostki.

Front zamierał. Próbowano kontynuować natarcie, posyłając naprzód nowe pułki. Teraz nie chodziło już o przełamanie blokady Leningradu. Teraz trzeba było pomóc 2 Armii Uderzeniowej, która wpadła w okrążenie pod Lubanią. Szły uzupełnienia z Tatarstanu, Kazachstanu, Leningradu, ale Niemcy bronili się umiejętnie. Kiedy nadeszło lato, przeszliśmy do obrony. Rzadziej zdarzała się wymiana ognia, pustoszały drogi. Wojsko się okopywało.

Rozpoczęła się robota, której nie było końca. Kopaliśmy kilometry okopów, budowaliśmy setki kryjówek, maskowaliśmy działa, samochody, kuchnie, magazyny. Ryliśmy wychodki, bo do tego czasu żołnierze zapaskudzili wszystkie przydrożne lasy. Stałem się zawziętym kopaczem, nauczyłem się ociosywać belki, wydziabywać siekierą dowolny potrzebny detal, wyklepywać z blachy piecyki, rury. Raz nawet byłem zmuszony sklecić trumnę. Zwykle chowano żołnierzy, przykrywając ich płaszczem albo skrawkiem brezentu, albo i bez niczego. Kiedy zginął starszy lejtnant Siłkin, dowództwo zdecydowało, że należy mu się trumna. Czasu na przygotowanie pochówku mieliśmy aż nadto. Desek nie było, więc musieliśmy ściąć ogromną osikę i rozrąbać ją z pomocą klinów na grube dechy. Trumna wyszła potwornie ciężka, sękata, powyginana, podobna do wielkiego kufra. Taszczyło ją dwudziestu ludzi.

Tymczasem natura ożywała. Podsychała gleba, pojawiła się pierwsza trawa, nabrzmiewały pąki na drzewach, śpiewały ptaki. Ja, mieszkaniec miasta, po raz pierwszy poczułem związek z matką ziemią, wdychałem nieznane mi dotąd zapachy i ożywałem wraz z otaczającym mnie światem. Mijała dystrofia, od wytężonej pracy rosły mięśnie, moje ciało krzepło i męźniało – miałem wówczas 19 lat. Gdyby nie wojna, ta wiosna w lesie byłaby jedną z najpiękniejszych w moim życiu. Któregoś ranka nasz dowódca wyczołgał się z ziemianki, puścił długi strumień, głęboko

westchnął, rozejrzał się wokół i podsumował: „Tak... Żaba na żabę lezie... Wiosna!”.

Armia odpoczywała. Zabitych i rannych prawie nie było. Zaczęła się nauka, pokazywano nam nawet filmy, wykorzystując do tego większe ziemianki. Jedne z zajęć były poświęcone nauce budowy pistoletu. Rozkładając go, jeden z lejtnantów niechcący wystrzelił i trafił kolegę w brzuch. Kula utkwiała we wnętrznościach. Natychmiast załadowaliśmy rannego na ciężarówkę i zawieźliśmy do szpitala. Trzymaliśmy nosze w rękach, żeby nie trzęsło nim zbyt mocno, ale godzina jazdy po drodze z kłód pozbawiła go resztek życia. Na mogile biednego lejtanta, jak było w zwyczaju, napisano: „Zginął z rąk najeźdźców faszystowskich”. Nazywał się Olejnik.

Wszędzie urządzano łaźnie i w końcu pozbyto się wszy. Nie wszystkich, oczywiście, a tych miriad, które oblażyły nas zimą. Teraz przypadały po dwie-trzy weszki na głowę, a to już było znośne. Każdego ranka siedzieliśmy na polance i iskaliśmy się. W dokumentach sztabowych nazywało się to „przeglądem na grupę 0”. Wszystko było skrywane przed wrogiem, wszystko było tajemnicą wojskową.

Noce stały się krótsze. O zmroku na drogach można było spotkać dziwne procesje przypominające znane płótno Pietera Bruegla starszego[23]. Jeden żołnierz powoli prowadził za sobą łańcuszek pozostałych. Długim kijem opukiwał drogę, a reszta szła gęsiego, mocno trzymając się towarzysza przed sobą. Były to ofiary tak zwanej kurzej ślepoty – ostrej awitaminozy, z powodu której człowiek nie widzi w ciemnościach. Ja też przeszedłem tę chorobę, ale u mnie nie wyszła poza stadium początkowe. Zawężiło mi się jedynie pole widzenia i obejmowałem wzrokiem tylko niewielki odcinek terenu na wprost mnie. Wokół panował mrok. Kurzą ślepotę można było leczyć witaminizowanym masłem, ale rozkradano je, tak jak szabrowano zwykłe masło. Choroba twardo trzymała się żołnierzy.

Właściwie wojenne racje żywnościowe były solidne: dziennie przysługiwało 900 gramów chleba zimą i 800 latem, 180 gramów kaszy, mięso, 35 gramów cukru oraz 100 gramów wódki w czasie walk. Jeśli wszystkie te produkty docierały wprost do żołnierza, omijając ręce pośredników, szybko stawał się on zadowolony, odkarmiony. Wiele mamy dobrych przedsięwzięć, pomysłów, ale w praktyce wychodzi odwrotnie. Jedzenia nie zawsze wystarczało. Oprócz tego, kto tylko mógł, kradł bez

wstydu i wyrzutów sumienia. Żołnierz zaś powinien był to przemilczeć i cierpliwie znosić. Taki już jego los. Przecież kurza ślepotą to jeszcze nie leningradzka dystrofia. Z jej powodu nie umierano.

Nadeszło prawdziwe lato, słoneczne, obfite w owoce. Przyroda utulała nieszczęsnych żołnierzy. Front ostatecznie stanął i zawrócono nas znów do Pogostja, gdzie Niemcy nieraz próbowali odciąć klin, którym wdzieraliśmy się w ich pozycje. Latem nie rozpoznaliśmy znanych nam wcześniej miejsc. Ziemiarki zalała woda, kopczyki na grobach roztopiły się i rozplynęły. Zagospodarowaliśmy się tu na nowo i zaczęliśmy żyć dość spokojnie.

Nie braliśmy udziału w tak zwanej operacji siniawinskiej, czyli w sierpniowej ofensywie 2 Armii Uderzeniowej. Słyszeliśmy jedynie oddalony huk i dudnienie i widzieliśmy eskadry samolotów niemieckich. Przelatywały ciężko nad nami, by zaskoczyć od tyłu naszych towarzyszy, którzy ginęli w okrążeniu, w jakie wpadła znów umęczona 2 Armia. Później doszły nas słuchy o rozbiciu jej pod Siniawinem.

Pewnego słonecznego sierpniowego dnia ustawiono nas w szeregu w złowieszczej ciszy i ogłoszono słynny rozkaz numer 227, którego powodem była krytyczna sytuacja na frontach, szczególnie odwrót spod Stalingradu. Rozkaz, podpisany przez Gospodarza, był jak zawsze lakoniczny, dokładny, w punkt. Jego sens zawierał się w jednym zdaniu: ani kroku w tył! Już nie ma dokąd się cofać. Będziemy uczyć się od wroga i stworzymy oddziały zaporowe, których zadaniem będzie rozstrzeliwanie cofających się żołnierzy. Dowódcy i komisarze otrzymują prawo do zabijania bez sądu tchórzy i panikarzy... Ciarki przeszły nam po plecach. Znów poczuliśmy, że znaleźliśmy się w opałach.

Potem zaczęła się kolejna zima, mrozy. Choć teraz znosiliśmy je lepiej, mieliśmy doświadczenie, to i tak męczyliśmy się potwornie. W końcu 1942 roku wyrwano nas z zagranych miejsc i przeniesiono na nowe pozycje, około 50 kilometrów na północ, pod stację Apraksin. Rozlokowaliśmy się nad rzeczką Naziją. Nasze działa powinny były strzelać w kierunku wsi Siniawino, Gajtołowo, Tortołowo, Woronowo, zagajnika Krugłaja i innych słynnych miejsc frontu wołchowskiego. Tu odeszła bezpowrotnie moja szczęśliwa młodość.

Drzewa nad brzegiem Nazii były okaleczone, ziemia cała w lejach. Przez cienką warstwę śniegu, wywiewanego przez ostre wiatry znad Ładogi, widać było mnóstwo odłamków. Wzdłuż drogi – dziesiątki mogił. Wszystko to

ślady sierpniowej operacji, która zaczęła się i zakończyła właśnie tu. W głęb pozycji niemieckich biegła przesieka wzdłuż słupów wysokiego napięcia. Tą przesieką poszło wcześniej natarcie. Teraz mieliśmy je powtórzyć, tylko nieco bardziej na północ, i przełamać blokadę Leningradu. Na razie trwały przygotowania i zwiad.

Nieprzyjemnie jest siedzieć 30 metrów nad ziemią na czubku słupa wysokiego napięcia. Wiatr przenika na wskroś, słup się chwieje, przeraża wysokość – aż się kręci od tego wszystkiego w głowie. No i strzela Niemiec. Wie, gadzina, gdzieśmy wleźli. Osłaniamy się od wiatru dyktą lub brezentem, obserwujemy i namierzamy baterie niemieckie. Wokół gromadzą się nasze wojska. Wśród nich batalion narciarzy, który pokonał wielokilometrową trasę od stacji kolejowej. Rozgrzanych po biegu ludzi rozmieszczono na nocleg na gołym wzgórzu. Hula straszliwy wiatr, a mróz – prawie 25 stopni! Narciarze, żeby nie zamarznąć, rozpalili małe ogniska ze swoich kijków i nart.

Nowy Rok 1943 zastał mnie na mrozie, na warcie przy ziemiankach. Mimo to byłem szczęśliwy. Dopiero co dostałem paczkę ze Stalinabadu, gdzie znalazła się moja cudem ocalała rodzina. Wśród wielu różnych rzeczy było w niej zamrożone na kamień jabłko. Rozsiewało niewyobrażalnie bajeczny aromat, którym się upajałem, zapominając o Niemcach. O północy wszystko zadudniło i zajęczało. Zwykle przywitanie Nowego Roku – z pijackimi wrzaskami, z salwami i rakietami, od których pojaśniało niebo. Po tym przyszły najcięższe boje o Leningrad, był zalany krwią zagajnik Krugłaja i Gajtołowo, gdzie poległy całe pułki i brygady.

Po przerwaniu blokady posłano mnie do Leningradu, w rejon, gdzie budowano nową linię kolejową. Jadąc w nocy ciężarówką, widziałem, jak to się odbywało. Tysiące robotników dźwigały szyny, podkłady, kopały ziemię, zabijały kliny. Nad ludźmi kłębiły się obłoki pary, związane na podbródku czapki uszanki skrywały ich twarze, a głowy czyniły bezkształtnymi. Wyglądało to, jakby pracowały jakieś owady, a nie istoty ludzkie. Gorączkowo, pospiesznie, jak termyty, które odbudowują swój zniszczony kopiec.

W lutym znów jesteśmy w kotle Pogostja. Bierzymy udział w próbie przebicia się w kierunku na Smierdyn i Szapki, żeby dołączyć do leningradczyków, którzy zdobyli Krasnyj Bor. Znów ataki, strata dywizji, przesunięcie o 200, potem 300, 500 metrów i postój. Zabrakło ludzi. Po

jednej z walk i ja trafiłem do szpitala.

Można by na tym zakończyć opowiadanie o bitwie pod Pogostjem, ale nieoczekiwanie w latach dziewięćdziesiątych nastąpił jego dalszy ciąg. Były żołnierz armii niemieckiej Hendrik Wiers, dręczony tak jak ja przez wspomnienia wojenne, przyjechał do Rosji, by odwiedzić miejsca, w których walczył. Zatrzymał się w Kiriszach u nauczycielki języka niemieckiego, która przetłumaczyła mu napisany przeze mnie krótki artykuł o Pogostju. Odszukał mój numer telefonu i zadzwonił do mnie z Niemiec. Okazało się, że walczył pod Pogostjem na tym samym odcinku, rozdzielała nas przestrzeń nie więcej niż 50 metrów. Ja mogłem wówczas zginać z jego ręki – i odwrotnie.

Kiedy Wiers ponownie przyjechał do Rosji, poznaliśmy się osobiście. Przegadaliśmy całe trzy dni i był to mój pierwszy przyjacielski kontakt z byłym przeciwnikiem. Wiers okazał się zwyczajnym, współczującym człowiekiem. Z pochodzenia Belg, dostał się do armii niemieckiej, doświadczył wszelkich okropności wojny pod Leningradem, a oprócz tego gdy wracał z urlopu na front, przeżył atak naszej łodzi podwodnej. Jego okręt zatonął, a Wiers ledwo się uratował. W tym czasie jego dom rodzinny i dom jego żony w mieście Eden zostały zburzone przez lotnictwo angielskie. Po kapitulacji armii niemieckiej cztery lata spędził w niewoli w ZSRR. Między nami – ofiarami tej przeklętej wojny – szybko nawiązało się porozumienie. Wiers opowiedział mi historię swojego udziału w bitwie pod Pogostjem:

„Byłem żołnierzem 1 kompanii 333 pułku 225 Dywizji Wehrmachtu, która na początku wojny znajdowała się we Francji. W grudniu 1941 dywizję przerzucono błyskawicznie pod Leningrad, ponieważ sytuacja armii niemieckiej stała się tam krytyczna. Podróżowaliśmy od Wignacourt we Francji, gdzie temperatura wynosiła plus 16 stopni, przez Danzig[24] [Gdańsk], Lipawę, Rygę do Narwy – okrętem, koleją, a potem na piechotę w kierunku na Konduję i dalej do trasy kolejowej pod Pogostjem. Zajęliśmy pozycję położoną 400 metrów od stacji w kierunku rozjazdu Żarok.

16 stycznia 1942 znaleźliśmy się przy nasypie kolejowym. Nie mieliśmy zimowej odzieży, jedynie lekkie płaszcze. Siedzieliśmy przy temperaturze minus 40, a nawet minus 50 stopni w drewnianych bunkrach z żelaznymi piecykami, które dawały niewiele ciepła. Jak to wytrzymaliśmy, do dziś pozostaje zagadką. Straty z powodu odmrożeń były duże. Oprócz tego musieliśmy po dwie godziny stać na warcie, a na ogrzanie się była tylko

godzina. Dni były krótkie, noce długie, z ciągłymi opadami śniegu. Ledwie zaczynało świtać, już nacierali czerwonoarmiści. Ataki powtarzali do ośmiu razy dziennie. Ich pierwsze szeregi były uzbrojone, następne często bez broni, ale mało kto docierał do nasypu.

Główne ataki nastąpiły 27 i 29 stycznia. Dwudziestego siódmego czerwonoarmiści atakowali naszą pozycję czternaście razy, ale jej nie zdobyli. Do końca dnia poległo wielu z nas, było też dużo rannych, wyczerpała się amunicja. Słyszeliśmy rozlegające się w ciemnościach rozpaczliwe krzyki rannych czerwonoarmistów, którzy nawoływali sanitariuszy. Trwały do rana, dopóki nie zmarli. Tej nocy przyszli do nas pod nasyp ze sztabu batalionu i przyciągnęli na saniach karabin maszynowy z amunicją. Nawet dowódca batalionu nie wstydził się nam pomagać i szedł od posterunku do posterunku, żeby podtrzymać nas na duchu. Tego dnia, 27 stycznia, poległo lub zostało rannych wielu moich przyjaciół. Lista strat z każdym dniem się wydłużała. Do 10 lutego straciliśmy między innymi sześciu dowódców kompanii.

Po tym jak w dzień moich urodzin, 29 stycznia, rosyjscy saperzy zrobili wielką wyrwę w nasypie kolejowym, przyszedł do nas jakiś nieznany nam oficer. Zebrał kilku żołnierzy, wśród których znalazłem się też ja, i rozkazał nam szturmować tę wyrwę. Naprzeciwko nas stały dwa rosyjskie karabiny maszynowe. Oficer mówił o konieczności wykonania rozkazu, o trybunale wojennym... Ale gdy tylko znalazł się na skraju wyrwy i uniósł rękę, został trafiony. Sanitariusze odwieźli go na tyły i uniknęliśmy walki.

Armia rosyjska przekroczyła nasyp kolejowy i z Pogostja ruszyła w kierunku polany Sierdce. W związku z tym my mieliśmy przesunąć się do lasu, gdzie powstała nasza nowa linia obrony. Tu ponieśliśmy ogromne straty. Nasz pierwszy punkt oporu znajdował się w odległości 100 metrów od drogi. Tam 8 lutego zostałem ranny w głowę i odesłano mnie do lazaretu w Tośnie. Okazało się, że moja rana jest niegroźna. Po czternastu dniach znów byłem na froncie w rejonie Szwały. Co noc woziliśmy na saniach naszych zabitych z Pogostja. Saperzy wysadzali ziemię i chowaliśmy ciała w lejach po wybuchach.

Tymczasem linia kolejowa była już w rękach przeciwnika, tak jak i las po obu stronach polany Sierdce. Między drogą a nasypem zbudowaliśmy nową pozycję, z której odpieraliśmy ataki rosyjskich czołgów i oddziałów syberyjskich, które były świetnie wyekwipowane na warunki zimowe.

Ponieważ nie mieliśmy prawie żadnej broni przeciwpancernej, byliśmy zmuszeni cofnąć się w kierunku Kondui.

W naszej kompanii do tego czasu zginęli prawie wszyscy. Odcięci od batalionu, musieliśmy walczyć o życie. Topniała amunicja i żywność. Jedzenia musieliśmy szukać w plecakach poległych czerwonoarmistów. Znajdowaliśmy w nich zamrożony chleb i trochę ryby.

Nasza sytuacja była fatalna. Mieliśmy jeszcze amunicję do 88-milimetrowego dział, którego ogień w jakimś stopniu powstrzymywał rosyjskie czołgi. Straciliśmy poczucie czasu – zegarki stanęły z powodu trzaskającego mrozu. W końcu ku naszej radości zlokalizował nas – około 30 ludzi – niemiecki samolot i nocą nadeszła pomoc. Przebił się do nas czołg i zrobił swobodne przejście, uwalniając nas z okrążenia.

Na początku marca przenieśliśmy się w stronę polany Sierdce i rozlokowaliśmy w małym lesie przy drodze do Pogostja. Pojawił się rosyjski czołg. Załoga strzelała z dział i karabinów maszynowych i polowała na naszych pojedynczych żołnierzy. My leżeliśmy bez ruchu na ziemi i obserwowaliśmy tę zabawę, dopóki nie skończyła im się amunicja i zawrócili w stronę Pogostja.

Raz w małym lesie przy drodze do Pogostja natknęliśmy się na tyle ciał poległych Rosjan, że musieliśmy ich obchodzić łukiem. Później, na drodze od polany Sierdce, około 2 kilometrów od Kondui, znów widzieliśmy wielu zabitych żołnierzy przeciwnika. Na polanie znajdował się sztab naszego pułku.

Pewnego ranka od strony Kondui przyszło uzupełnienie – batalion marszowy. Został ostrzelany przez przeciwnika z niewielkiego lasu, więc posłano go do ataku w tamtym kierunku. Prawie wszyscy, którzy brali udział w szturmie, zginęli.

W maju 1942 zostaliśmy dyslokowani z tego odcinka frontu na spokojniejszy przyczółek oranienbaumski, żeby doprowadzić oddziały do porządku i uzupełnić je.”

Opowiadanie Wiersa można dopełnić informacją, że prawie wszyscy oficerowie i żołnierze, którzy przyjechali z nim z Francji, zostali zabici, ranni lub nabawili się odmrożeń. Hendrik Wiers zmarł w czerwcu 2006.

311 DYWIZJA STRZELECKA

*Nie można tu spodziewać się niczego poza krwawą łaźnią...
Marszałek Goworow o Newskiej Dubrowce*

Lato 1943 roku pod Leningradem było gorące. Bagna pod Pogostjem zostały porośnięte przez trawy, gęsta zieleń lasów skryła żołnierskie mogiły. Można było podjeść owoców i grzybów.

W lesie niedaleko pierwszej linii frontu porządkowała swoje szeregi 311 Dywizja Strzelecka. Po lutowej próbie przerwania niemieckiej obrony pod Pogostjem z dywizji nie zostało prawie nic. Uzupełniano ją, kim popadło. Ja również trafiłem do dywizji wraz z grupą ozdrowieńców ze szpitala. Nie udało mi się wrócić do pułku artylerii i teraz musiałem dzielić los piechurów, co mogło oznaczać utratę życia lub odniesienie ran już w pierwszym starciu. Świetnie zdawałem sobie z tego sprawę, bo już dwa lata oglądałem na własne oczy 311 Dywizję, którą wspieraliśmy ogniem naszych dział. Z pewnością w innych jednostkach nie było wiele lepiej, ale ta była wyjątkową rzeźnią. Przez nasze pozycje wieziono na tyły tysiące rannych. Krocząc naprzód, napotykaliliśmy stosy martwych ciał.

Poznałem dowódcę 311 Dywizji. Pewnego razu, w czasie ciężkich walk w 1942 roku pod Pogostjem, naszego majora wysłano do niego, żeby uzgodnił plany wsparcia artyleryjskiego piechoty i wysłuchał jego planów związanych z organizacją walki. Z karabinem na ramieniu towarzyszyłem majorowi. W leśnej przesiece znaleźliśmy strzeżoną ziemiankę, zabezpieczoną wielowarstwowym stropem. Pocisk by takiego nie przebił!

Gdy major wsunął się do środka, z ziemianki buchnęły kłęby pary (był silny mróz) i usłyszałem niski głos dowódcy miotającego przekleństwa.

Zajrzałem przez szczelinę w obmarzniętej plandecie, która służyła jako drzwi, i zobaczyłem przy świetle kaganka generała – pijanego, spoconego, w rozciągniętym podkoszulku. Na stole stała butelka wódki i mnóstwo żarcia: słonina, kiełbasa, konserwy, chleb. Piętrzyły się góry pierników, obwarzanek, puszek z miodem – podarki z Tatarstanu dla „walecznych i bohaterskich żołnierzy na froncie” otrzymane poprzedniego dnia. Przy stole siedziała również półnaga i pijana baba. „Sp...j stąd i zamknij drzwi!” – ryczał generał do naszego majora. Trzysta jedenasta tymczasem ginęła pod nasypem kolejowym stacji Pogostje. Kto był tym generałem, nie wiem. Dowódców często odwoływano za niepowodzenia w walkach, ale zaraz wyznaczano ich do innych dywizji, czasami awansując. A dywizje ginęły...

Tymczasem było już ciepłe lato 1943 roku, dni mijały mi przyjemnie w lesie, w słońcu, bez uciążliwych ćwiczeń. Przeszliśmy jedynie trzydniowe przeszkolenie snajperskie: strzelanie do celu, obsługę celownika optycznego, naukę taktyki. Szczególnie duże wrażenie zrobiły na nas lekcje prowadzone przez doświadczonego instruktora, który z pomocą kukły trenował nas w technikach zabijania człowieka nożem. Na kukle były oznaczone słabe punkty, które dźgaliśmy, cięliśmy, biliśmy, czołgając się i skacząc wokół. Instruktor zasypywał nas potokami przekleństw, a w przerwach opowiadał o swoich przygodach z babami w Wołodzie.

Zostałem snajperem, mimo to wyznaczono mnie – z braku młodszych oficerów – na dowódcę oddziału karabinów maszynowych. Tu wojna dopiekała mi do żywego. Po kilku starciach nasz oddział przestał istnieć.

Służba w piechocie przeplatała się z zadaniami w artylerii. Dano nam zdobyczne 37-milimetrowe działko i ja, jako były artylerzysta, zostałem celowniczym. Gdy działko zostało rozbite, przyciągnięto dla nas rodzimą czterdziestkę piątkę, która zapewniła mi schronienie w czasie słynnej operacji 311 Dywizji pod Mgą w 1943 roku.

Przed rozpoczęciem walk naszej dywizji wręczono sztandar. Długo trwały przygotowania do uroczystości na leśnej polanie. Pułkownik, przechadzając się przed szeregiem, poszukiwał dwóch ludzi do pocztu sztandarowego. W dywizji przeważały przygarbione, przerośnięte chłopcy albo dopiero co wypuszczone ze szpitala półkaleki. Ani jedni, ani drudzy nie mieli żołnierskiej postawy i dziarskiego wyglądu. Nagle najlepszym kandydatem...

okazałem się ja, zapewne z powodu moich licznych medali i odznaki gwardyjskiej.

Jedyne, co nie zadowalało pułkownika w moim wyglądzie, to stare owijacze. Szare, podarte, całe w plamach z brudu i zaschniętej krwi po odniesionych przeze mnie ranach. „Zmienić!” – rozkazał pułkownik. Poszedłem do oddziału gospodarczego, skąd odesłano mnie z kwitkiem. „Te stare są jeszcze dobre” – usłyszałem. Następnego dnia pułkownik okropnie mnie zrugął i znów kazał zmienić owijacze. Poszedłem do szefa zaopatrzenia. Z solidnej ziemianki wyszedł rumiany kapitan w szczelnie opinającej jego krągłości bluzie. Najwyraźniej dopiero co zjadł porządny obiad i właśnie dłubał w zębach zapalką. Siedziałem na wprost jego błyszczących butów i zmieniałem owijacze. On dobrodusznie patrzył na mnie z góry i cedził przez zęby: „I na co ci nowe owijacze? Powinno ci być wszystko jedno, przecież i tak cię zabiją. Bez różnicy – w nowych czy w starych”. Pokornie odpowiadałem, że mnie, oczywiście, jest wszystko jedno, ale pułkownik kazał...

Parada wypadła okazale. Przyjechał pijany w sztok generał – szef Zarządu Propagandy Politycznej armii czy czegoś w tym rodzaju. Przemawiał zachrypniętym, przepitym głosem, grała orkiestra, my maszerowaliśmy, zadzierając wysoko nogi i głośno tupiąc po zakurzonej ziemi. Sfilmował nas nawet jakiś przyjezdny operator. Gdzieś w archiwach są kadry, na których utrwalono moją osobę w nowych owijaczach przy sztandarze. Po tym można już było ruszać w bój.

Walki zaczęły się 22 lipca. Rankiem usłyszeliśmy kanonadę. To przygotowanie artyleryjskie pod Siniawinem. Cel natarcia – znieść pozycje niemieckie, zdobyć Mgę i umocnić łączność na wpół blokowanego Leningradu z krajem. Wojsko było dobrze wyposażone. Mielśmy pod dostatkiem czołgów, samolotów, katiusz, broni maszynowej. Amunicję dostarczano w ogromnych ilościach. Bywało, że w ciągu jednego dnia puszczaliśmy w Niemców naboje dowieszone przez dwa-trzy eszelony! To był piekielny ostrzał. Ziemia drżała, dymy przesłaniały niebo. Lecz gdy tylko do boju ruszała nasza piechota, pozycje niemieckie ożywały i kładły u podnóża siniawińskich wzniesień dywizję za dywizją.

Udawało się nam przesunąć o 100-200 metrów, usławszy ciałami tę zrytą pociskami przestrzeń. Wszystko zostało skoszone, ani jednego krzaczka, ani jednej trawki – jedynie spalona ziemia, trupy i porozrywane żelastwo.

W języku oficjalnych komunikatów nazywało się to „walkami o znaczeniu lokalnym”, a w pracach historycznych na temat wojny sklasyfikowane zostało jako „operacja mająca na celu wyczerpanie sił przeciwnika i odciągnięcie jego sił od Leningradu”. Tak też było, ale Siniawino i Mga nie zostały na razie przez nas zdobyte, choć w pobliskich bagnach pozostało kilka korpusów. Mimo że w Pogostju przywykliśmy do wszelkich okropności, tu było jeszcze gorzej, natężenie walk i siła ognia były niebywałe. Żołnierze, którzy przyjechali w ramach uzupełnień spod Stalingradu, twierdzili, że nawet tam nie było tak ciężko. Lecz w historii okrążenia Leningradu te wydarzenia stanowią jedynie zapomniany epizod.

22 lipca pod Siniawinem walkę zaczęły inne jednostki. Nasza dywizja stała wciąż pod Pogostjem i tylko jeden batalion poszedł na wypad. Rankiem żołnierze przeszli przez rzeczułkę Dubok i nieoczekiwanie zaatakowali niemiecki płot ziemny. (Niemcy zamiast okopów, których nie można było wykopać w bagnie, stawiali dwa drewniane płoty, między którymi przestrzeń wypełniali ziemią; powstawała ściana o wysokości 1,5-2 metrów i takiej samej grubości; przez otwory strzelnicze prowadzili ogień, a rów, z którego wybierano ziemię, był dodatkową przeszkodą dla atakujących.) Nasi wysadzili kawałek płotu, przedarli się do środka niemieckiej pozycji, zadźgali kilku żołnierzy, zarąbali saperką oficera, który zdążył przedtem położyć z pistoletu paru ludzi. Po przejściu jakichś 150 metrów zatrzymał ich ostrzał. Po około trzech godzinach batalion został oskrzydłony.

Do wieczora wszystko było skończone. Zza strumyka dochodziły jedynie jęki rannych. W tym czasie cała dywizja na oczach Niemców podciągała do pierwszej linii, by zademonstrować przeciwnikowi zamiar ponowienia ataku nazajutrz. Pamiętam zmierzch, złowieszczy zachód słońca, a my biegniemy przez bagno po drodze z drewnianych kłód, które wydają głuchy łoskot. Wokoło wybuchają miny, gwizdzą odłamki i kule, kłębi się dym... W ten sposób próbowaliśmy dezorientować przeciwnika co do miejsca natarcia: dezorientowaliśmy albo – jak z żołnierską surowością parafrazował pewien szef sztabu – „miesiączkowaliśmy”. Miał na myśli duże straty poniesione przez nasze oddziały.

Potem dywizja znów odpoczywała w lesie. Spędziliśmy zachwycający tydzień, leżąc dzień i noc na świerkowych gałązkach pod osłonami z brezentu. Cały ten czas przespaliśmy, budziliśmy się jedynie na jedzenie bądź z powodu wybuchu spadającej w pobliżu bomby.

Po upływie miesiąca, 15 sierpnia, już pod koniec nieudanej operacji siniawińskiej, pułki odbyły nocny marsz na północ i rozpoczęły walki pod Apraksinem, między wsiami Tortołowo i Gajtołowo.[25] Pozycja wyjściowa zaczynała się przy mostku kolejowym nad Naziją, między stacjami Apraksin i Nazija. (Mostek zachował się do dziś. Długi czas obok torów na wysokości mostu był cmentarz. Pochowano tu kilka setek zabitych – tych, których udało się wynieść z pierwszej linii. Z czasem mogiły zarosły, słupki, na których były tabliczki z nazwiskami, zniknęły, i teraz nikt nie wie, że była tu kiedyś ta braterska mogiła...) Dywizja wówczas przesunęła się o 200 metrów, a po tygodniu, wykrwawiona, została wycofana z walk. Znow znalazłem się w szpitalu.

Świt przed walką. Było około piątej rano, front dopiero się budził. Po otwartym polu podciągaliśmy się do pierwszej linii. Zaczęły walić armaty, daleki horyzont zapalił się od wybuchów, zakłębiły się dymy. Pociski rakietowe z katusz kreśliły ogniste zygzaki. Głośno czekała niemiecka „krowa”[26]. Szum, łoskot, zgrzytanie, wycie, grzmoty, jęki – piekielny koncert. A w tym wszystkim, w szarej mgle świtu, brnie na pierwszą linię piechota. Szereg za szeregiem, pułk za pułkiem. Bezosobowe, z garbami od broni, osłonięte brezentowymi pelerynami postacie. Powoli, ale nieuchronnie szliśmy na spotkanie śmierci. Pokolenie odchodzące ku wieczności. W tym obrazie był zawarty tak oczywisty uogólniający sens, tak apokaliptyczna zgroza, że wyraźnie zobaczyliśmy ulotność życia, bezlitosny bieg historii. Poczuliśmy się jak żałosne ćmy, którym sądzone jest spłonąć do cna w piekielnym ogniu wojny.

Walkę, która nastąpiła potem, opisałem bezpośrednio po zdarzeniach, gdy leżałem ranny w szpitalu.

15 SIERPNIA

Termin „szeregowiec” oznacza coś w rodzaju „skoczka”, „wilczarza” albo „konia pociągowego”. Podchodzimy do pierwszej linii. Dywizja rozciągnęła się w okopach. Jak zawsze zamęt. To biegniemy, to na coś czekamy. Jest stosunkowo spokojnie. Po drodze tylko raz chlapnął pocisk. Schowaliśmy się w leju po bombie. Uzbekowi rozsadziło kolbę automatu. Dziura większa od piąta. „Szkoda, że nie w nogę, do żony bym pojechał” – mamrocze. Na dnie leju leży hełm. Kopnąłem go – ciężki, w środku pół czaszki, pewnie

jeszcze z zeszłego roku. Idziemy dalej. Okopy zbiegają się pod mostkiem kolejowym. Stąd już tylko jedna droga – do piekła. W okopie jest ciasno. Na tyły wracają ranni żołnierze, zakrwawieni i brudni, z poszarzonymi twarzami, spierzchniętymi wargami i rozpalonymi gorączką oczami. Stękanie, jęki, przekleństwa. Okop jest wąski, więc żeby się minąć, trzeba przeciągać nosze między nogami idących do ataku...

Ile życia jeszcze nam pozostało? Mówią, że od razu ruszamy do walki, poprzedniej dywizji wystarczyło na dwie godziny... „Biją, ścierwa, biją!” – odpowiadają wypytywani przez nas żołnierze.

Za mostkiem konie nie mogą już ciągnąć działa, to dla nich zbyt niebezpieczne, mogą zostać zabite. Wyłazimy z okopu i wprzegamy się sami. Ziemia wyboista – lej na leju. Ciężko... Słuch wytężony, uszy boleśnie łowią każdy szmer. O... Leci! Koziołkując, wtaczamy się do dołu, głębiej, niżej, ręce zanurzają się w coś lepkiego... Huk wybuchu, ziemia opada. Udało się. Wstajemy. Dół – to wychodek.

16 SIERPNIA

Nocą okopaliśmy się niedaleko Niemców. Siedzimy. Wstać i wyjść nie można – zabiją. Wydaje się, że wiatr składa się z odłamków. Żeby się czymś zająć, gramy w wymyśloną na poczekaniu grę: dwóch żołnierzy wystawia z okopu automaty kolbą do góry, czyj rozwali szybciej, ten wygrywa... Automaty zostały po poprzednich walkach, walały się na ziemi rozbite, pordzewiałe, już nieprzydatne. Swojej broni strzegliśmy jak żrenicy oka; owijaliśmy onucami zamek, aby ochronić go przed pyłem podnoszącym się po ostrzale artyleryjskim. Ta broń to gwarancja naszego życia podczas nieuniknionego spotkania z wrogiem. Działo rozbite. Lufa wygięta w pałąk.

W południe idziemy na tyły po rozkazy. Jest nas trzech. Najpierw pełzamy jak żmije do okopów, a potem biegiem dalej – 100, 200, 300 metrów. Ledwie powłóczymy już nogami, rzezi nam w płucach. Zatrzymać się nie możemy. Ci, którzy próbowali odpocząć, leżą po obu stronach okopu i ich krew ścieka cienkimi strużkami po gliniastych ściankach, zbierając się na dnie w lepkie kałuże... Zaczyna się ostrzał. Niemcy widocznie nas zauważyli i zadziwiająco celnie strzelają z lekkich moździerzy. Wybuchy są coraz bliżej.

Hałas rozrywa bębunki w uszach. Padam i wciskam się w zagłębienie

w ścianie okopu. Wybuchy są całkiem blisko, jakby nad samą głową. Pocisk uderzył w nasyp obok, zarzucając mnie grudkami ziemi. Przetoczył się kawałek po równi pochyłej i zastygł jakieś 50 centymetrów od mojego nosa. Włosy stanęły mi dęba, po plecach przeszły ciarki. Jak zaczarowany wpatrywałem się w tę efektowną zabawkę pomalowaną na jaskrawoczerwono i żółto, pobłyskującą przezroczystym plastikowym noskiem. Zaraz łupnie! Sekunda, druga... Minuta... Nie wybuchł! Niewielu miewa takie szczęście! Omijam go, jak się da najdalej, i doganiam towarzyszy.

Znów biegniemy. Przecięcie okopów. Wystraszony głos: „Biegnijcie, biegnijcie szybciej! Tu ostrzeliwują!”. Jeszcze dalej. Opadamy z sił, zwalniamy kroku. W okopie leży trup bez nóg, z czerwonymi kikutami w miejscu kolan. Długie włosy, twarz znajoma. „Przecież to snajperka z sąsiedniej kompanii. Ta, która śpiewała w kółku amatorskim! Ech!” – rzuca w biegu ten z przodu i przeskakuje nad ciałem. Nie można zwlekać, więc skaczę i ja. Noga poślizgnęła się na glinie, upadam na trupa. Powietrze z sykiem wylatuje przez zaciśnięte zęby dziewczyny, a z jej nozdrzy wydobywają się krwawe bąbelki...

Wracamy (będziemy mieć nowe działo). Zmierzcha. Z rzadka ze szmerem przelatują krążki pocisków przeciwpancernych bez zapalnika, które rykoszetem odbiły się od ziemi. Na pewno na pierwszej linii strzelają czołgi. Do nich na razie jest daleko i tu możemy iść z podniesioną głową. Jest nas trzech: w środku starszy żołnierz, po bokach ja i młody chłopak, który niedawno przyjechał z tyłów. Jeszcze nie przywykł i nie potrafi ukryć strachu. Nagle nieoczekiwany ryk i chłapnięcie. Twarz i piersi zabryzgało mi czymś ciepłym i mokrym. Instynktownie padam na ziemię. Cicho. Przecieram oczy – ręce i bluza we krwi. Na ziemi leży nasz staruszek. Czubek czaszki ścięty krążkiem pocisku. Wokoło rozbryzgany mózg. Młody stoi i tępo patrzy pod nogi, machinalnie strzepując szarożółtą masę z rękawa. Potem zaczyna czkać. Biorę dokumenty zabitego i prowadzę chłopaka dalej pod rękę. Na pewno ma atak. Oddałem go pod opiekę felczera.

Na przecięciu okopów dziesiątka trupów. Usiedli, żeby odpocząć, nie wiedzieli, że jest na nich nakierowane niemieckie działo. Wszystkich rozerwało na strzępy jednym wystrzałem.

Od 14 sierpnia nie spałem. Siedzimy nadal w tych samych okopach. Nowe działo zakopaliśmy głębiej niż poprzednie i na razie jest całe. Dzień wcześniej nadleciał z tyłu nasz pocisk i wybuchł pięć kroków od nas. Dobrze, że siedzieliśmy w okopie. Wykpiliśmy się siniakami – wybuch cisnął w nas skrzynką z amunicją, która temu i owemu przejechała po plecach...

Pocisk wyrzucił z ziemi nieboszczyka, jeszcze świeżego. Dziś grzeje się na słońcu, więc zalatuje od niego. Tu w ziemi są różnorakie warstwy. Na głębokości 1,5-2 metrów można znaleźć naboje, broń, odzież, stare walonki. Wszystko przemieszane... Na przodzie, w pasie neutralnym, stoi około 40 czołgów. Zardzewiałe, nadpalone. Niektóre są jeszcze całe, ale unieruchomione, ponieważ strzelają do nich pociskami z ciężkich moździerzy: przeleciał, nie doleciał, przeleciał... Nagle trach! Wielotonowy czołg rozpadł się na kawałki. Życzę szczęścia czołgistom! Bo przecież nie mają prawa porzucić uszkodzonego czołgu. Na ten temat w oddziałach czołgowych powstała piosenka, nazwana później hymnem czołgisty:

Oddział specjalny mnie wzywa.

Łajdaku, z czołgiem nie spłonąłeś?

Ja zaś się do nich odzywam,

Teraz już z pewnością spłonę...

Jeden czołg stoi blisko przodem do naszych okopów. Został rozbity, kiedy wracał z natarcia. Wokół wieżyczki ma oplątane ludzkie wnętrzości – resztki desantu, który jechał na nim do ataku. Pociski, przeznaczone przez Niemców dla tego czołgu, lecą na nas. Wciskamy się głębiej w ziemię... Ucihło. Lejtnant czołga się na stronę, a po minucie wraca błądy, ciągnąc za sobą bezwładną nogę. Ranny. Rozpruwam but, poniżej kolana – sześć małych dziurek. Opatruję. Odchodzi na tyły. Szczęśliwie się wywinął! W głębi duszy pojawia się wątpliwość – takie rany od pocisku się nie zdarzają. Czołgam się do leja, w którym był lejtnant. I co? Na dnie leży kółeczko od granatu z zawleczką. Samookaleczenie. Biorę dowody i wrzucam je do kałuży w sąsiednim leju. Lejtnant to przecież bardzo porządny chłopak, do tego bohater. Dostał order za powstrzymanie natarcia oddziału czołgów na granicy w lipcu 1941. Wytrzymał, podczas gdy wszyscy inni się rozbiegli! To przecież coś znaczy.

Jego obecne załamanie nie jest przypadkowe. W przeddzień spotkał w okopie pijanego majora, który rozkazał mu czołgać się do niemieckiego SO i zarzucić je granatami. Jakiś nieznajomy sierżant próbował się

sprzeciwić, oświadczył, że wypełnia inny rozkaz. Rozwścieczony major, niewiele myśląc, zastrzelił go. Lejtnant zaś podczołgał się pod SO, rzucił granaty, które nawet nie drasnęły betonowych ścian. Cudem wrócił do nas – z rozbieranymi oczami, koszulkę miał całą w słonych plamach od potu. Bezsensowne ryzyko pozbawiło lejtnanta resztek spokoju i doprowadziło do samookaleczenia.

Z naszej dywizji dawno został już tylko numer, kucharze, dowódcy i my – obsługa dział. Nadchodzi pora na nas. Kasza znów jest z odłamkami – kiedy podawacz czołgał się do nas, pocisk przebił termos na jego plecach. Chce się pić i boli brzuch. Nocą dwa razy przebijałem się po wodę do pobliskiego leju. Z rozkoszą piłem gęstą, brązową jak kawa, pachnącą trotylem i czymś jeszcze ciecz. Kiedy rano postanowiłem się napić po raz kolejny, zobaczyłem czarną, poskręcaną rękę sterczącą z leju.

Moja koszulka i spodnie zrobiły się sztywne, jakby były z grubego kartonu; stwardniały od krwi i brudu. Na kolanach i łokciach – dziury na wylot. Hełm wyrzuciłem – mało kto je tu nosi, za to mnóstwo wala się wokoło. Ten przedmiot żołnierskiego ekwipunku wykorzystuje się zupełnie niezgodnie z przeznaczeniem. W hełmy przeważnie się wypróżniamy, potem wyrzucamy zawartość za wał okopu, a fala wybuchu wrzuca wszystko z powrotem, na nasze głowy...

Nieboszczyk śmierdzi nie do wytrzymania. Leżą tu dookoła, starzy i nowi. Jedni wyschli na czarny wiór, głowy mają jak u mumii, z błyszczącymi zębami. Inni spuchli, jakby zaraz mieli wybuchnąć. Zamarli w różnych pozach. Niektórzy niedoświadczeni żołnierze ryli sobie kryjówki w piaszczystych ściankach okopów i przydusiła ich ziemia, która osunęła się po bliskim wybuchu. Teraz leżą zwinięci w kłębek, jakby spali pod grubą warstwą ziemi. Widok przypominający mogiłę w przekroju. W okopie tu i tam sterczą części wdeptanych w glinę ciał. Tu plecy, tam rozplaszczona twarz, dłonie – żółte, pod kolor ziemi. Chodzimy wprost po nich.

20 SIERPNIA

Minął już tydzień, odkąd nie zamykam oczu, a i spać się nie chce. Ostatnie dni to strzelanina z dział, aż bieleje horyzont, czołganie się w tę i z powrotem po linii frontu pod ostrzałem i krew, krew, krew. Ludzi zostało już naprawdę niewielu.

Wieczorem rozkaz: wysunąć działo na szpic wyrwy we froncie, żeby wesprzeć piechotę. Idę na rozpoznanie. Pierwsza linia piechoty siedzi w okopach wokół niewielkiego, płaskiego wzniesienia. Na ten placzyk o szerokości 50 metrów trzeba wciągnąć działo. Świeci ogromny żółty księżyc. Na rudym piasku długie, szpetne cienie uszkodzonych czołgów. Zadziwiająco cicho. Docieram na wzniesienie. Ledwie się podniosłem – z trzech stron chlusnęły karabiny maszynowe i zawyły nad głową kule, zostawiając w powietrzu ślady jak różnokolorowe błyskawice. Nie ma mowy, by pojawił się tu człowiek, a co dopiero mówić o dziale. Wracam, zdaję raport...

Rankiem rozkaz: bez względu na cenę działo musi stanąć w wyznaczonym miejscu. Więc nadszedł czas na nas! Rozkaz trzeba wykonać. Tam, gdzie nawet nocą było niebezpiecznie iść na wprost pochyłonym, stłoczyliśmy się w kupie wyprostowani. Jest nas dwudziestu jeden – aż tylu, ponieważ działo trzeba niemal nieść na rękach, tak bardzo poorana jest ziemia. Do Niemców mamy mniej niż 100 metrów, mam wrażenie, jakby liczyli gwiazdy na naszych furazerkach. Ale dlaczego siedzą cicho? Dziesięć minut temu w tym samym miejscu snajper zdjął piechura, który wysunął się z dołka i teraz leży tu, ziejąc zakrwawionym oczodołem.

Snajper z pewnością nas widzi. Na co czeka? Ani jednego wystrzału, dosłownie jakby Niemców zatkało z powodu naszej bezgranicznej głupoty i braku zdrowego rozsądku. Pewnie patrzą z zaciekawieniem, co będzie dalej. Powoli ciągniemy się naprzód. Oto ona – śmierć. Bawi się z nami w kotka i myszkę. Niechby już... Ranek jest chłodnawy, słońko świeci jasno i życzliwie. Na błękitnym niebie ani jednej chmurki. Przechodzimy przez były pas neutralny i wchodzimy w wyrwę. Ziemia jest tu całkowicie zryta, ani jednego ocalonego skrawka trawy. Został do przejścia tylko krótki odcinek. Cicho. Nagle z tyłu – huk. Uderzenie w plecy wyrzuca mnie w powietrze! Lecę i przez ułamek sekundy myślę: koniec.

Ocknąłem się w głębokim leju. Nigdzie nie widzę działa ani ludzi, tylko w powietrzu kłęby dymu i śmieci. Jakaś siła zrywa mnie na równe nogi, podbiegam do okopu i dalej już biegnę w okopie. Po przebyciu niewielkiej odległości padam bez czucia.

Ocknąłem się od huku i spadających na plecy grud ziemi. To było jak erupcja wulkanu. Dziesiątki pocisków wybuchają w miejscu, gdzie niedawno stało nasze działo. Czołgam się dalej w tył. Lewa ręka krwawi. W okopie

krw, jakaś noga w bucie ze strzępami nogawki. Dalej nieforemny kłębek z płaszczą, kości i mięsa, które w chłodnym powietrzu lekko paruje i wydziela nieopisany zapach jeszcze ciepłej krwi. Po płaszczu poznaję, że to nasz żołnierz, który ciągnął działą. Znow tręc przytomność.

22 SIERPNIA

Ocknąłem się w dole przy innym działie naszej baterii. Przyciągnięto mnie tu wczoraj. Okazało się, że najechaliśmy na minę przeciwpancerną. Z dwudziestu jeden ludzi zostało dwóch – ja i jeszcze jeden lekko ranny. Siedemnastu ludzi nie odnaleziono. Tylko przypadkowo, około 40 metrów od miejsca wybuchu, znalazła się noga z kawałkiem brzucha. Spadła na ziemiankę dowódcy batalionu piechoty.

Czuję się strasznie, głowa mi pęka. Jestem ranny. W dole, w którym leżę, stoi woda, bo wieczorem spadł deszcz. Nie mam siły się podnieść, tylko przewracam się z boku na bok jak foka, rozpryskując wodę. Mam dreszcze. Zraniona ręka puchnie. Nic dziwnego – wszędzie tyle błota...

Co teraz? Uciekać? Dokąd? Jeśli popędzę ze strachu – śmierć za dezercję. Głupio. Zostanę – też czeka mnie śmierć. Innego wyjścia nie ma. Więc nie ma też się nad czym zastanawiać. Przy działie jest nas dwóch. Mam gorączkę, aż majaczę. W takim stanie strzelam bezpośrednim ostrzałem do stanowiska ogniowego przeciwnika – oddajemy 40 strzałów. Lecą drzazgi, dwaj Niemcy wyskakują i uciekają. Namierzyli nas, ledwie zdążyliśmy się ukryć. Walą wokół z dział...

Z okopu na pierwszej linii wracają dwaj ranni piechurzy. Jeden kuśtyka, opierając się na karabinie jak na kuli, drugi ma rękę przewieszoną na brudnej, zakrwawionej onucy. Obaj strasznie klną i nie zwracają uwagi na ostrzał, mówią do nas:

– No, chłopaki, przed wami już nie ma nikogo. Było nas siedmiu, ale dobiła nas artyleria. Teraz wy jesteście na pierwszej linii.

Miła niespodzianka! Jak w dowcipie: dwóch Rosjan – już front...

W leju obok jęczy jakiś ranny w brzuch, który sam się tu skądś podczołgał:

– Wynieście mnie, wykrwawiam się!

Co robić? Sam ledwie się ruszam, lewa ręka zraniona i spuchnięta. Pytam, czy jest opatrzony. Opatrzony.

– Czołgaj się jakoś sam! – krzyczę. – Pomóż mu – mówię do sąsiada.

Milczy. Nie nalegam. To sprawa jego sumienia, bo jeśli pomoże i dobrnie razem z rannym do tyłów, ustrzegłszy się przed odłamkami i kulami, mogą go wziąć za dezertera. Do pomocy rannym są przecież sanitariusze. Tylko gdzie oni są? Ranny jęknął i chyba umarł.

Jest nas dwóch. Chce mi się pić. Czekamy. W naszą stronę czołga się jakiś kapitan z naganem w rękę. Pijany, klnie.

Pyta, czy mamy pociski, uprzedza, że może tu się pojawić zwiad niemiecki. Skąd to wie? Znów klnie. Rozkazuje nie ruszać się stąd w żadnym wypadku, grozi rozstrzelaniem. Biedaczyna, też ma nielekką. Znów jesteśmy sami. Trzeba by pójść na tyły, bo boli ręka, pęka głowa, ale się boję, że nie wystarczy sił i dobiją mnie po drodze.

Okazuje się, że kapitan miał rację – idą Niemcy. Czterdziestu ludzi. Idioci! Idą wyprostowani i się rozglądają! Gdyby się podkradli, wzięliby nas żywcem. Najwidoczniej są pijani. Oni tak samo jak my zalewają patriotyzm... Uciekać? Dokąd? Siedzieć na miejscu? Zabijają! W takim momencie już nie ma ludzkich uczuć. Trzeba strzelać! Kieruję działo na wysokość pasa zbliżających się ludzi. Ten drugi ładuje kartaczami. Strzelam. Niemcy są blisko. Widzę, jak stal tną i rozrywa ludzkie ciała... Co czuję? Nic. Myślę? Nie. W głowie jest pustka.

Nie czuję nawet strachu. Jak automat, a nie żywa istota. Działo odbija i niemal miażdży mi palec na wcześniej ranionej ręce, ale... nie czuję bólu! Na wargach mam krwawą pianę, koszula jest mokra od potu. Wstępuje we mnie nadludzka siła, prawie wyrywam sobie paznokcie, z gardła wydobywa się rżenie... Po osłonie działa smagają kule z automatu. A my cały czas strzelamy i strzelamy. Niemcy polegli... Sąsiad jęknął i się osunął. Kula rozpryskowa weszła mu w jeden bok i wyrwała drugi razem z koszulą. Z całkowitym spokojem myślę: już po mnie! Nie mam siły, padam przy działach. Słońce zachodzi... Z tyłu jakieś krzyki. Słyszę ojczyście, kwiecieście przekleństwa. Biegną nasi, z upiornie wytrzeszczonymi oczami, waląc na wszystkie strony z automatów. Kontratak!

Takich epizodów w czasie wojny zdarzyło się wiele, ale teraz nie chcę już o nich wspominać, a tym bardziej pisać. W 1943 roku było całkiem inaczej. Mieliśmy potrzebę opowiadania o swoich przeżyciach kolegom, ale i oni mieli mnóstwo podobnych przygód. Szybko to wszyscy zrozumieliśmy i przymknęliśmy się. A jeśli ktoś jeszcze próbował zacząć frontową

opowieść, ucinano: „Mów lepiej o babach!”.

Po walkach pod Apraksinem zostałem wywieziony nocą na podwodzie, a później położono mnie na pakę ciężarówki, gdzie były piętrowe nary z desek do transportu rannych usłane słomą i szmatami. Samochód zazwyczaj jechał przeciążony – rannych było wielu. Znalazłem się na dolnych narach i odzyskując przytomność od wstrząsów na wybojach, czułem jakąś dziwną ciecz, która kapiała na mnie z góry. Podczas wyładunku w szpitalu sanitariusze aż jęknęli: byłem cały we krwi! Okazało się, że nie była to moja krew, lecz sąsiada z góry – miał urwaną rękę i źle go opatrzone.

W szpitalu szybko doszedłem do siebie po draśnięciach na ręce i po dyzenterii, którą złapałem, pijąc wodę z leju po bombie. Leżałem później w sali dla inwalidów, gdzie byli głusi, sparaliżowani i niemi. Ci ostatni odzyskiwali dar mowy. Jako pierwsza zazwyczaj wspominana była mama, ale często też...mać!

W połowie września stało się jasne, że zbliża się czas mojego wypisu. Co robić? Znowu czeka mnie piechota. Poradziłem się lekarza, miłego leningradczyka, i postanowiłem uciec ze szpitala i spróbować odnaleźć swój pułk artylerii. Pomysł okazał się trafny. W tajemnicy wyprosiłem u salowej mundur i udałem się do lasów pod Pogostjem. Po dwóch dniach marszu dotarłem do swoich, przywitano mnie tam przyjaźnie. Jednak dowództwo zdecydowało inaczej. Wydano mi dokumenty i dostałem rozkaz zgłoszenia się na stacji Kotowo koło Bołogoje, gdzie znajdował się zapasowy pułk artylerii, przez który rozdzielane były wszystkie uzupełnienia. Jeszcze lepiej! Mogłem przejechać się na tyły koleją, pomieszkać w prawdziwym domu, przypomnieć sobie, jak żyją zwykli ludzie.

Nie dane mi było jednak rozkoszować się odpoczynkiem w pułku zapasowym. Mój krótki pobyt tam zaczął się od zadania o znaczeniu strategicznym. Dowódca rozkazał mi: „Weź trzech żołnierzy i urządzcie wychodek przy stołówce oficerskiej”. Żołnierze okazali się Uzbekami, nie rozumieli ani krzty po rosyjsku. Dowodzić takimi to skądinąd boskie. A najgorsze, że nie pojmowali przeznaczenia naszej budowli. Mimo to po trzech godzinach cud architektury był gotowy. Wykopaliśmy dół, położyliśmy podest z trzema otworami i otoczyliśmy go płótkiem oplecionym gałązkami świerkowymi, który osłaniał ten kącik zadumy. Po czym mogłem naocznie zaprezentować Uzbekom, co zbudowali. W podziękowaniu kierownik stołówki dał nam wielki kocioł z resztkami,

które zostały po śniadaniu oficerskim. Zeżarliśmy je zachwyceni, nie zważając na niedopałki pojawiające się gdzieś w kaszy perłowej.

W pułku zapasowym nie pozwalano żołnierzom się nudzić. Praca, potrzebna i niepotrzebna, użyteczna i bezużyteczna, wypełniała cały dzień. Ledwie skończyliśmy jedno, już kazali nam zaczynać następne. Musiałem pewnego razu uczyć młodzież i objaśniać budowę działa. Bardzo się starałem, ale trafili mi się tępi rekruci. Chłopcy ze wszystkich sił starali się mnie zrozumieć, nawet byli skrepowani tym, że denerwuję się z ich powodu. Pod koniec trzeciej godziny wykładu straciłem cierpliwość, podniosłem głos i przeszedłem na nasz uniwersalny język – wspomniałem ichnią mać. Twarze moich podopiecznych pojaśniały, oczy im zabłyśły, rozdziawili buzie w radosnym uśmiechu. W ciągu pięciu minut objaśniłem wszystko to, nad czym tak długo i bezskutecznie się biedziłem. Okazało się, że drzemie we mnie prawdziwy talent pedagogiczny.

Żołnierzy pułku zapasowego nieustannie dręczono ćwiczeniami, zbiórkami, marszami. W pewien gorący dzień ustawiono nas w czterech szeregach i trzymano tak trzy godziny na spiekocie. Stałem w tylnym rzędzie i miałem rozrywkę, łapiąc niespotykanej wielkości trzmiele – przywiązywałem im do odwłoków długie nitki i potem puszczałem wolno. Jeden wielgachny trzmiel z półmetrową nitką, bucząc jak bombowiec, poleciał prosto w twarz pułkownikowi, który przyjmował apel. Zdezorientowany pułkownik uchylił się ze strachem ku ogólnej radości umęczonych żołnierzy.

W tym czasie wprowadzono nowe formy powitania wojskowego. Przedtem odbywało się to prosto, dowódca mówił: „Dobry, towarzysze!!!”. Oddział odszczekiwał: „Brry!!!”. Teraz trzeba było chórem odpowiadać: „Zdrowia życzymy, towarzyszu starszy lejtnancie gwardii!”. Uprościłem tę skomplikowaną ceremonialną formułkę i razem ze wszystkimi wywrzeszczałem: „Zdroo! Hau! Hau! Hau! Hau! Hau!”. Wyszło całkiem dobrze, ale starszy lejtnant gwardii usłyszał, co krzyknąłem, i wlepił mi dwa zadania poza kolejnością. To pociągnęło za sobą cały ciąg zdarzeń, które przerwały mój pobyt w pułku zapasowym.

W stajni miałem wyczyścić konia. Zajęcie to było dla mnie nowe, niezwykle. Długo polewałem wodą z wiadra głupią kobyłę, tarłem ją szczotką. Niewdzięczna, nastąpiła mi na nogę! Lejtnant nie przyjął mojej roboty, kazał zacząć od nowa, a potem jeszcze i jeszcze raz. Rozwścieczony

skłamałem go, za co w tejże chwili trafiłem do karceru. Następnego dnia z pułku zapasowego odchodziła na front kompania marszowa. Jako krnąbrny osobnik zostałem do niej włączony i szybko znalazłem się ponownie na froncie wołchowskim, prawie w tych samych miejscach co poprzednio – niedaleko Porieczja nad Naziją. Wieś szczała w ogniu wojny.

Pułk, w którym miałem służyć, w pełni odpowiadał moim pragnieniom. Ciężkie haubice. Organizacja jak w poprzednim pułku. Mam służyć na przenośnej radiostacji. Znajoma robota, znów mi się udało!

Na froncie panowała cisza. Kwaterowaliśmy w sztolniach, które Niemcy wydłubali w wapiennych skarpach rzeczki Nazii. Czuliśmy się tu bezpiecznie, ale wiało przez wszystkie szczeliny. Noce były jasne, księżyc oświeślał fantasmagoryczny pejzaż: bryły wapienia, z którego wybuchy zdarły roślinność i glebę, leje po bombach, pogruchotane samochody i działa. Wśród tego chaosu szemrała rzeczka i wymyślali sobie szeptem piechurzy, którzy umacniali pozycje bojowe i jednocześnie rozgrabiali rozbite ziemianki niemieckie. Polowano na zegarki, które można było znaleźć na rękach trupów.

W końcu października przyszedł rozkaz wyjazdu. Pułk skierowano pod Nowogród.

WOJENNY
DZIEŃ
POWSZEDNI

JAK RODZĄ SIĘ BOHATEROWIE

W grudniu 1941 w pewnym oddziale frontu wołchowskiego nie było żołnierza gorszego niż ja. Zawszony, opuchnięty, brudny dystrofik – nie miałem wystarczająco sił, by pracować fizycznie, nie było we mnie ducha i postawy żołnierskiej. Moja godna pożałowania fizjonomia wyrażała jedynie rozpacz. Moi współbracia wojenni albo wzdychali bez słów i z dezaprobatą odwracali się ode mnie, albo dosadnie wyrażali swoje uczucia: „A to ci niedorostek zwałił się nam na kark!”. Do tego wszystkiego nasze wysokie dowództwo zastało mnie przy wspaniałym zajęciu: wykopałem spod śniegu zdechłego wałacha i właśnie wyrąbywałem befsztyki z jego zamarznętego zadu. Zamach ciężką siekierą, uderzenie – uch! – a potem minuta odpoczynku. Buzia otwarta, oczy wybałuszone, z nosa i ust idzie para. Mróz był tęgi. A potem znów: uch!, ach!, uch!, ach! Podnoszę wzrok i widzę, że spogląda na mnie z obrzydzeniem nasz odkarmiony, rumiany komisarz w śnieżnobiałym półkożuszku. Nawet nie zniżył się do rozmowy ze mną, nie krzyczał, tylko poszedł prosto do sztabu i obrugał przez telefon mojego bezpośredniego przełożonego za rozgardiasz w oddziale, za niski poziom moralno-polityczny żołnierzy i tak dalej.

Mój bezpośredni przełożony siedział w tym czasie w SO niedaleko pozycji niemieckich, jakieś 2-3 kilometry od naszej wsi. Miał on własne metody wychowania podwładnych. Winowajców wzywał do siebie – a robił to w nocy, żeby mocniej poczuli swoją winę, przebiegli się na mrozie, często pod ostrzałem – do punktu obserwacyjnego. Obudzono mnie o trzeciej nad ranem i przekazano rozkaz, abym udał się po „rozkazy szczególnie ważne strategicznie” (czyli po burę).

– A jak tam dojść? – spytałem, nie całkiem jeszcze rozbudzony.

– Jakieś trzysta metrów naprzód, tam będzie rozdwojona brzoza z urwanym wierzchołkiem, potem duży lej, skręcisz na lewo, potem prosto i po półgodzinie zobaczysz wzgórze. To nasze stanowisko ogniowe. A najlepiej idź wzdłuż kabla telefonicznego. Nie zabłądzisz. Rozglądaj się uważnie, nie nadziej się na Niemców!

I poszedłem.

Okazało się, że brzoza rosła dużo dalej i jej pień, nie wiadomo dlaczego, rozdzielał się na górze nie na dwa, lecz na trzy duże konary. Lejów było wszędzie mnóstwo, kabel telefoniczny gdzieś zniknął. Krótko mówiąc, od razu zgubiłem wszystkie punkty orientacyjne i zabłądziłem. Postanowiłem jednak iść dalej w nadziei, że odnajdę nasze stanowisko. Noc nie była zbyt ciemna, zza chmur co i rusz wyglądał księżyc. Z rzadka przelatowały z bladym rozbłyskiem niemieckie rakiety świetlne. Szedłem przez rzadkie krzaki, zapadając się prawie po pas w dziewicze zasy, przez otwarte polany, gdzie hulał wiatr, kołysząc sterczącymi ze śniegu wyschniętymi źdźbłami trawy. Za sobą zostawiałem wyraźnie wydeptany ślad. Słysząc było regularny terkot niemieckiego karabinu maszynowego. Kule latały jedna za drugą, kreśląc różnokolorowe smugi, niczym stadka ptaków. Czasem pociski świstały tuż obok, poruszając trawy i z trzaskiem wybuchając jak sztuczne ognie. Byłby to piękny widok, gdyby za moje serce nie chwycił obezwładniający strach. Szedłem już ponad godzinę i nie wiedziałem, gdzie jestem. Niemieckie rakiety i wystrzały zostawiłem z tyłu.

W owym czasie nie było ściśle wyznaczonej linii frontu. Trwała ofensywa, Niemcy trzymali się na umocnionych pozycjach, odcinki między nimi przejmowały patrole albo w ogóle nie były kontrolowane. „Przejdę jeszcze sto metrów – zdecydowałem – i zawrócę. Wolę karę niż niewolę!” Na swojej drodze napotkałem gęste krzaki, ciężko było się przez nie przedzierać, musiałem więc zdjąć z ramienia karabin, żeby nie zaczepiał o gałęzie. Trzymając go bagnetem do przodu, wyszedłem w końcu na wzniesienie, po którym biegła ścieżka.

Wyglądałem strasznie: przepalony płaszcz, brudna uszanka ściśło zawiązana pod brodą, walonki – każdy inny, pocerowane, łata na łacie... Wyglądałem niczym strach na wróble przyprószone śniegiem. I nagle przy świetle rakiety zobaczyłem na ścieżce przed sobą innego stracha, jeszcze bardziej osobliwego. To był Niemiec – w hełmie, wokół którego miał okutaną babską wełnianą chustę. Na plecach niósł termos, w rękach worek

i kilka flag. Na jego szyi wisiał automat, ale żeby go zdjąć, potrzebowaliby sporo czasu. Odegrała się niema scena. Obaj zdrętwieliśmy ze strachu, wybałuszyliśmy oczy i odsunęliśmy się od siebie. Chciałem uciekać i ukryć się. Karabin wysunąłem przed siebie instynktownie, bo nawet nie byłem świadomy, że trzymam w rękach broń. Wtem Fryc rzucił flagi na śnieg i podniósł ręce do góry. Wargi mu zadrżały, zajęczał i z jego oszronionych nozdrzy zaczęła gwałtownie buchać para. Dalej było jak we śnie. Przycisnąłem palec do ust i pokazałem Niemcowi swoje ślady w krzakach: „Idź – powiedziałem – tam, naprzód!”. Niemiec podniósł worek i flagi i pociągając nosem, ruszył przez zasy. Straciłem głowę i nawet nie odebrałem mu automatu.

Sapiąc i potykając się, brnęliśmy półtorej godziny po moich śladach, których, chwała Bogu, nie zasypał śnieg. Już świtało, kiedy dotarliśmy do wsi, gdzie nocował nasz oddział. Wielkie było zdumienie moich towarzyszy z pułku, którzy już dostali rozkaz, by wszcząć poszukiwania. Niemca rozbrojono, zabrano mu termos, a ja tymczasem próbowałem uczciwie wyjaśnić starszemu sierżantowi, co się stało.

– Zabłądziłem...

– Wróć! – powiedział starszy sierżant i obrzucił mnie bystrym spojrzeniem, rozumiejąc sytuację. – Najedz się, odpocznij!

Rozlaliśmy do menażek gorącą, pyszną i aromatyczną niemiecką grochówkę na słoninie, rozdzieliliśmy suchary i wzięliśmy się za jedzenie. Co za rozkosz! Starszy sierżant w tym czasie meldował telefonicznie dowództwu: „Towarzyszu pułkowniku! Nasz oddział nawiązał kontakt z przeciwnikiem. Po wymianie ognia Niemcy się cofnęli. Nasz radiotelegrafista wziął jeńca... Tak jest, jeńca!”. Pułkownik rozkazał natychmiast dostarczyć Fryca do sztabu.

Nalegałem, żeby mojemu nędznemu i zawszonemu przyjacielowi dali miskę gorącej zupy i jest to najprzyjemniejsze wspomnienie, jakie zostało mi w pamięci z tego tragikomicznego epizodu. Fryc, jeśli przeżył niewolę, też powinien zachować dobre uczucia wobec mnie – przecież wtedy wojna dla niego się skończyła.

Okazało się, że zboczyłem na ścieżkę, po której donoszono amunicję i jedzenie do dużej pozycji niemieckiej. Dlaczego Niemiec szedł sam? Dlaczego nie było patroli? Nieprzewidziane są losy ludzkie! Okazało się także, że nasze dowództwo już od paru dni starało się schwytać jeńca, by

„zasięgnąć języka”. Na tyłach wroga profesjonalni zwiadowcy dokonywali bohaterskich czynów, ginęły specjalne oddziały wysyłane w poszukiwaniu „języka”, a jeńca w żaden sposób nie udawało się pojmać. Sam dowódca armii Iwan Iwanowicz Fieduninowski klął za to swoich podwładnych tak, że trzeszczały słuchawki w telefonach. I ni z tego, ni z owego rozstrzygnąłem poważny problem. O moim przewinieniu więcej nie wspomniano. Zostało mi wybaczone.

Właśnie tak rodzą się bohaterowie!

NAJWAŻNIEJSZY EPIZOD Z ŻYCIA PLUTONOWEGO KUKUSZKINA

W połowie sierpnia 1943 stacjonowaliśmy niedaleko stacji Apraksin. Byłem celowniczym przy 45-milimetrowym dziale typu „Żegnaj, Ojczyzno”[27]. Po utracie wszystkich moich towarzyszy i dwóch dział, ranny, odsypiałem w ziemiance u kolegów z pułku. Dopiero co, po silnym przygotowaniu artyleryjskim, resztki piechoty, a także kucharze, sanitariusze, magazynierzy i temu podobne tyłowe draństwo poszło do ataku i zostało na zawsze na pasie neutralnym.

Nastąpiła, jeśli można tak rzec, stagnacja. Niemcy zaczęli trudny do zniesienia ostrzał naszych pozycji. Ziemia drżała. Przez sufit z bali sypał się na nas piasek. Szczególnie obrzydliwe były dwa niemieckie moździerze kalibru 210 milimetrów. Najpierw słychać było daleki wystrzał, przez jakąś minutę pocisk nabierał wysokości z dzikim zawrotem i potem spadał na nas. Ładunek o wadze ponad 100 kilogramów! Po takich pociskach zostawały ogromne leje. Zmieściłyby się cały dom. Ziemia się od nich trzęsła. I tak godzina za godziną. Wsłuchujemy się w swój los: kiedy w końcu trafi w nas?

Paraliżujący strach wystarczająco już dopiekał nam wszystkim i żeby jakoś zająć myśli, postanowiliśmy opowiadać po kolei najważniejsze epizody z naszego życia. Rozpoczął plutonowy Chałudrow, dzielny Jakut, sześciokrotnie ranny i dopiero co nagrodzony za to orderem. Opowiadał, jak się błakał na tyłach niemieckich, tu, pod wsią Gajtołowo, w czasie klęski 2 Armii Uderzeniowej w sierpniu i wrześniu 1942. Straszne opowieści!

Przypomni ł mi si  wtedy diabelski atak niemiecki pod Pogostjem.

Nadeszła kolej plutonowego Kukuszkina, ponurawego, postawnego m ężczyzny oko o trzydziestki. W milczeniu rozpi ł spodnie, wyci gn ł ogromny m ęski organ i spyta  nas: „Widzicie?”. Nast piła cisza. Potem kto  zauwa y ,  e swoje zalety nale ałoby demonstrowa  w innym towarzystwie. „Nie, nie, patrzcie!” – nalega  Kukuszkin. Zobaczyli my bia   szram , przecinaj c  m esk  wspania o  dzielnego plutonowego. Nie spiesz c si , Kukuszkin zapi ł spodnie i opowiedzia  nam, co si  zdarzy o:

„Zim  1942 roku podczas ataku na Siniawino zosta em ranny w r k  i obojczyk. Nogi mia em ca e, wi c powlok em si  do batalionu sanitarnego. Wyrwa em si  spod ostrza u i ju  prawie doszed em do namiot w z czerwonym krzy em, ale zatrzyma em si  za potrzeb . I dopiero wtedy zobaczy em,  e najwa niejszy organ w ciele m ężczyzny od amek rozci ł mi na p  ! Na razie nie lecia a krew – widocznie by em w szoku. Ale wystarczy o o tym pomy le  i zaca  si  krwotok jak struga. Zaciskaj c gar ci  ran , uda o mi si  dobiec do oddzia u sanitarnego, gdzie od razu szcze liwie trafi em na st   operacyjny.

– Paskudna sprawa – powiedzia  chirurg – trzeba b dzie amputowa !

– W  adnym wypadku! Je li mam umrze , to z nim!

Za ada em,  eby operowali bez narkozy. (Jeszcze u pi  i odciachaj !) Bola o tak,  e a  mia em zielone kr gi przed oczami. Potem odes ali mnie samolotem do szpitala na ty ach, do Jaros awia. Ca   drog  m odziutka siostrzyczka  cisaka  r k  nie do ko ca zamkni t  ran .

W Jaros awiu do wiadczony chirurg, starsza dama, pu kownik wojsk medycznych, zrobi a mi operacj  – udan . Potem by o leczenie, lepsze od ywanie, bo nale a o przecie  odbudowa  ubytek krwi. W ko cu wszystko si  zabi ni o. Pewnego razu lekarka wezwala mnie i m wi:

– Plutonowy, jeste cie zdrowi i mo ecie wraca  do oddzia u. Ale wasz przypadek jest rzadki i w celach naukowych chcemy zrobi  eksperyment. Daj  wam tydzie  urlopu i podw jny racj . Spr bujcie pozna  w mie cie dziewczyn  i sprawdzi  si .

– Tak jest! – odpowiedzia em.

Tego samego wieczoru na ta cach zaczepi em  adniutk  grubask  i posz o. Niech  yje czerwona artyleria! Po tygodniu mia em kolejne spotkanie z lekark .

– Wiecie, ja jestem bardzo nie mia ym cz owiekiem. Niby pozna em, ale

się wstydę... Może jeszcze tydzień urlopiku?

– Znakomicie, damy.

Minęło raptem pięć dni. Grubaska pobiła się z rudą, która z zazdrości obiecała zarznąć albo oblać kwasem swoją rywalkę. Wybuchł skandal i legenda o moich przygodach doszła do lekarki. Po tygodniu znalazłem się na froncie wołchowskim.”

Za dwa dni plutonowego Kukuszkina rozerwało na strzępy, kiedy wylecieliśmy w powietrze po najejchaniu na minę przeciwpancerną. Co było prawdą, a co wymysłem w opowieści Kukuszkina, nie wiem, ale bliźnę widziałem na własne oczy.

MIŁOŚĆ W STEPIE POD STALINGRADEM

Z nieżyjącym już Lową Sizierskowem nie byłem na froncie. Opowiadał mi tę historię wiele lat po wojnie. Tyle w niej niewinności, prostoty, że grzechem byłoby jej nie zapisać. Przypomina nowele Boccaccia:

„Jesienią 1942 roku jechaliśmy pod Stalingrad. Eszelon sunął powoli przez step, raz po raz się zatrzymując. Na koniec całkiem ugrzązł na rozbitej stacji. Została z niej kupa kamieni, semafor i kawałek drewnianego płotu. Pył, spiekota, wokół żywego ducha, tylko goły step po horyzont. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawiają się dziewczęta w bluzach. To żołnierki artylerii przeciwlotniczej, które bronią stację przed nalotami i bardzo się nudzą.

Szybko rozlega się ich śmiech. Szczególnie sympatyczna jest jedna czarnulka. Bierzemy się za ręce, biegniemy w stronę resztek płotu (wojna – nie można uronić ani chwili!) i raz-dwa przystępujemy do dzieła... Lecz nagle rozbrzmiewa przeciągły gwizd parowozu i eszelon rusza.

– Lowkaaa! Szybciej!!! – krzyczą koledzy.

Ach, jaka szkoda! Musimy się rozstać! Żołnierski obowiązek przede wszystkim! Biegnę za ostatnim wagonem, podtrzymując ręką rozpięte spodnie. Chłopaki pomagają mi wskoczyć do pociągu nabierającego prędkości.

– Ty dokąd, miły żołnierzyku?! – krzyczy czarnulka. – Nie powiedziałeś mi, jak masz na imię...”

KONIEC MOJEJ KARIERY WOJSKOWEJ

Zaczynałem wojnę jako szeregowiec, potem dostałem trójkąt na naszywce, potem trzy belki, a później nawet jedną szeroką[28]. Otwierały się przede mną wspaniałe perspektywy! Tak można było się dosłużyć stopnia marszałka. Jednakże w naszym życiu o wszystkim decyduje ślepy traf. Zwłaszcza w życiu wojskowym, dlatego nie zostałem marszałkiem.

W pewien mroźny zimowy dzień 1943 roku nasz pułkownik wezwał mnie i powiedział:

– Planowana jest dyslokacja wojsk. Powinniśmy przejechać 40 kilometrów na południe. Oddziałów będzie tam sporo, trzeba będzie kopać ziemianki w zamrzniętej ziemi, sam wiesz – męka. Dlatego weź dwóch żołnierzy, prowiant na tydzień i jedźcie. Zajmijcie jakąś przygotowaną wcześniej dobrą ziemiankę dla sztabu. Jeżeli nie przyjedziemy po upływie tygodnia, wracajcie.

Na mapie pokazał mi lokalizację nowych pozycji. Rozkaz wykonałem precyzyjnie. Spośród mnóstwa pustych kryjówek wybrałem doskonałą, suchą, umocnioną kilkoma warstwami belek ziemiankę. Urządziliśmy w niej piecyk i czekaliśmy. Tydzień zbliżał się ku końcowi. Najechało się wojska i ziemianki były na wagę złota. Próbowano wyrzucić nas brutalnie siłą albo słodkimi prośbami, grożono nam i nasyłano na nas oficerów różnej rangi. Twardo broniliśmy swoich pozycji. W końcu jeden intendent, który zamarał pod świerkiem, zaproponował nam w zamian za ziemiankę dwa pęta wędzonej kiełbasy, litr wódki i bochenek chleba. Kusząca propozycja! Ale obowiązek przede wszystkim, więc nie ulegliśmy pokusie. Niemniej powiedziałem intendenta:

– Dziś mija tydzień i jeśli jutro nasi nie przyjadą – ziemianka będzie

wasza.

Nasi nie przyjechali, więc następnego dnia wieczorem siedzieliśmy przy ognisku, piliśmy wódkę, zakąszaliśmy kielbasą i przygotowywaliśmy się do powrotu. Już po zmroku nieoczekiwanie pojawił się na drodze samochód z pułkownikiem i oficerami naszego sztabu.

– Gdzie ziemianka?!!

– ...

– Cooo?! Pijani! Wasza mać! Rozkaz niewykonany!!!

I udowodnij teraz, że nie jesteś wielbłądem!

Pułkownik wpadł we wściekłość, bo musiał marznąć całą noc w namiocie. Ja zaś następnego dnia usłyszałem o sobie: „Za niewykonanie rozkazu zdegradować do stopnia szeregowca. Wysłać na pierwszą linię”. To ostatnie zdanie, co prawda, było zbędne, bo i tak przecież cały czas byłem na pierwszej linii frontu. Natomiast moja kariera wojskowa runęła. I chociaż pułkownik, kiedy się uspokoił, nadał mi na nowo stopień plutonowego, to już nie było to samo. Wiele razy w ciągu następnych miesięcy, kiedy tylko mnie spotkał, śmiał się ze mnie: „No jak, przepiłeś ziemiankę...”.

JA I WKP(B)

Było nas sześćdziesięciu siedmiu. Kompania. Rankiem sztrumowaliśmy wzniesienie. Było niewielkie, ale widocznie miało znaczenie strategiczne, ponieważ i nasze dowództwo, i niemieckie starało się je zdobyć od wielu miesięcy. Ciągłe ostrzały i bombardowania zryły całą roślinność i nawet 1,5 do 2 metrów gleby na szczycie. Po wojnie w tym miejscu długo jeszcze nic nie chciało rosnąć i przez parę lat czuć było trupi smród. Ziemia mieszała się z odłamkami metalu, popsutą bronią, łuskami, strzępkami porwanych ubrań, ludzkimi kośćmi...

Nie wiem, jak nam się to udało, ale w środku dnia znaleźliśmy się w zawalonych trupami dołach na grzbiecie wzniesienia. Wieczorem przyszła zmiana i kompanię odesłano na tyły. Teraz było nas dwudziestu sześciu. Po kolacji, przysypiając ze zmęczenia, słuchaliśmy pułkownika, który przyjechał specjalnie do nas z Zarządu Propagandy Politycznej. Rozsiewając wokół aromat koniaku, zwrócił się od nas:

– Bohaterrrowie! Zdobyliście w końcu to wzniesienie! Za to weźmiemy was w szeregi partii bez stażu kandydackiego!!! Bohaterrrowie! Hurrra!!!

A potem zaczęto nas zapisywać do WKP(b)[29].

– Ja nie chcę... – rzekłem bojaźliwie.

– Jak to nie chcesz? Przecież zapiszemy cię od razu, bez stażu kandydackiego.

– Nie potrafię...

– Nie potrafisz!? Przecież my zapiszemy cię bez stażu do WKP(b)?!

– Nie dam rady...

– Jak to nie dasz rady? Przecież zapiszemy cię bez stażu...

Na twarzy politruka zagościło szczere zdumienie, nie mógł mnie

zrozumieć. Za to zrozumiał wszystko świetnie wszędobylski lejtnant ze Smiersza:

– A kto tu nie chce?! Nazwisko? Imię? Rok urodzenia? – wyciągnął z torby wielki notes i coś w nim zapisał.

Twarz miał kamienną, spojrzenie zdecydowane.

– Wyjaśnimy to jutro rano! – oświadczył.

Wkrótce wszyscy zasnęli. Ja zaś przewracałem się z boku na bok i nie mogłem zmrużyć oka, mimo że byłem zmęczony: „Nie dla mnie wszędzie jutro słońeczko! Zostanę szpiegiem japońskim albo agentem gestapo! Żegnaj, młode życie”. Ale człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi: nad ranem Niemcy odbili wzniesienie, a w dzień znów my tam poleźliśmy. Dotarliśmy jednak tylko do połowy zbocza. Następnej nocy kompanię cofnięto. Zostało nas sześciu. Reszta leżała martwa na wzniesieniu, a z nimi lejtnant ze Smiersza, wraz ze swoim notesem. Teraz on leży tam, a ja, choć sponiewierany, jestem wciąż żywy. I bezpartyjny. Bóg jest miłosierny.

STACJA POLANA

W sierpniu 1942 podczas operacji siniawińskiej poszła w bój między innymi pewna dywizja strzelecka. Walki były zacięte i wkrótce prawie wszyscy żołnierze zostali zabici lub ranni. Z ogromnym wysiłkiem, w każdej chwili ryzykując życiem, medycy, najczęściej młode dziewczyny, wyciągali rannych spod ognia, wlekli ich na własnych plecach pod ostrzałem, żeby dostarczyć do *miedsanbatu*. Batalion zorganizowano koło stacji Polana, kilka kilometrów od linii frontu, jednak nie przygotowano niczego na przyjęcie rannych. Nie rozstawiono nawet używanych zazwyczaj namiotów. Oto co opowiedziała o tym, co tu zobaczyła, jedna z sióstr:

„Padając ze zmęczenia po długotrwałym czołganiu się na pierwszej linii, wyniosłam kolejnego rannego z pola bitwy i z trudem dociągnęłam go do *miedsanbatu*. Tu, na otwartej polanie, na noszach albo wprost na ziemi leżeli rzędami ranni. Sanitariusze okryli ich białymi prześcieradłami. Nie widziałam lekarzy, nikt nie zajmował się operacjami czy opatrywaniem rannych. Niespodziewanie wypadł z chmur niemiecki myśliwiec, lotem koszącym przeleciał nisko nad polaną, a pilot metodycznie strzelał z automatu do leżących na ziemi, bezradnych ludzi. Zdążyłam zauważyć, że automat miał sowiecki, z talerzem[30]!

Wstrząśnięta, pobiegłam do maleńkiego domku na skraju polany, gdzie znalazłam naczelnika *miedsanbatu* i komisarza – w trupa pijanych. Przed nimi stało wiadro z porto, które było przeznaczone dla rannych. W porywie oburzenia przewróciłam wiadro, zrobiłam awanturę dowódcy *miedsanbatu*. Jednak to pijane zwierzę nie było w stanie niczego pojąć.

Przed wieczorem spadł duży deszcz, na polanie zebrały się głębokie kałuże, w których topili się ranni. Po miesiącu dowódca *miedsanbatu* został

odznaczony na wniosek komisarza «za wzorową pracę i opiekę nad rannymi».”

(Zanotowane podczas konferencji wojskowo-historycznej poświęconej operacji siniawińskiej, Mga, 1 października 1982.)

SPOJRZENIE Z GÓRY

*Nie ma rzeczy straszniejszej od wygranej bitwy z wyjątkiem bitwy przegranej.
Wellington po bitwie pod Waterloo*

Z okna mojego mieszkania w nowej dzielnicy Leningradu patrzę na szeroką panoramę budowy. Na miejscu pustki powstaje całe miasto. W kałużach leżą potłuczone cegły, pogieęte rury i betonowe bloki. Na dziurawej, błotnistej drodze utknęła ciężarówka. W ognisku palą się nowe deski. Robotnicy często robią przerwę na papierosa, a niektórzy stoją w ogromnej kolejce pod budką z piwem. Źle zorganizowana robota... A skoro źle, to być może należy wstrzymać budowę?

Oczywiście nikomu nie przyjdzie do głowy taka myśl. A czy wtedy, pod Pogostjem, walcząc słabo i tracąc dziewięciu z dziesięciu towarzyszy, dopuszczaliśmy możliwość porażki? Wówczas nie zastanawialiśmy się nad niczym, paraliżował nas strach i marzyliśmy o jednym – by przeżyć. Dopiero teraz myślimy i przeżywamy... Jak wspaniale zostało to opisane w książkach i gazetach! Owiane romantyzmem i różową mgłą.

To już było – wystarczy wspomnieć chociażby opisy wypraw Suworowa[31]. Takie w nich wszystko piękne, a przecież wielki, zwycięski wódz tracił wielokrotnie więcej ludzi niż jego przeciwnicy. A wielka kampania 1812 roku? To też było drogo okupione zwycięstwo. Początkowo porażka za porażką. Trzeba było stracić pół Rosji i Moskwę, żebyśmy w końcu zrozumieli powagę sytuacji, zorganizowali się i rozbili przeciwnika. O tym zapomniano, topiąc prawdę w zaściankowym patriotyzmie. Wychodzi

na to, że historia nie uczy niczego. Każde pokolenie zaczyna od początku, powtarza błędy przodków. Tradycje narodowe okazują się silniejsze od rozumu, woli i dobrych rad nielicznych świątłych umysłów.

Ile kosztowało Rosję zwycięstwo 1945 roku? Według oficjalnych danych – 20 milionów istnień ludzkich, według wrogów – 40, a nawet więcej. Tego nie można sobie nawet wyobrazić. Jeśliby położyć ich ramię w ramię obok siebie, leżeliby od Moskwy do Władywostoku! Miliony i dziesiątki milionów brzmi wystarczająco abstrakcyjnie, ale kiedy widzisz sto lub tysiąc trupów, pociętych, wdeptanych w błoto – to robi wrażenie. Teraz w prasie i radiu odmieniamy na wszelkie sposoby te 20 milionów, jakbyśmy byli z nich nawet dumni, zarzucając zachodnim sojusznikom, że ponieśli mniejsze straty. Lecz kiedy mowa o konkretnych zdarzeniach – o Pogostju, Siniawinie i tysiącach innych miejsc na frontach – milkniemy. Fakty przerażają, bowiem zaczynając rozmowę o nich, trzeba by wskazywać konkretnych winnych, a oni jeszcze żyją.

Na temat ogólnych statystyk nie mogę się wypowiadać – 20 czy 40 milionów, a być może i więcej? Jestem pewien tylko tego, co widziałem. Moja „ojczysta” 311 Dywizja Strzelecka przepuściła przez swoje szeregi przez lata wojny około 200 tysięcy ludzi. (Według ostatniego dowódcy jednostek logistycznych Nierietina.) To oznacza 60 tysięcy poległych! Takich dywizji mieliśmy ponad 400. Prosty rachunek... Ranni po wyleczeniu przeważnie znów trafiali na front. Wszystko zaczynało się dla nich od początku. Koniec końców, przepuszczeni dwa czy trzy razy przez wojenny kołowrót, ginęli. Tak wyczyszczono do cna kilka roczników najzdrowszych, najaktywniejszych mężczyzn, przede wszystkim Rosjan. A zwyciężeni? Niemcy stracili w sumie 7 milionów, a z nich jedynie część, choć największą, na froncie wschodnim. Tak więc stosunek zabitych: jeden do dziesięciu lub nawet więcej – na korzyść przegranych. Ten rachunek prześladowe mnie ciągle jak najgorszy koszmar.

Czyżby nie dało się inaczej? Przecież tyle środków przeznaczano na armię przed wojną. Teraz nawet nie ukrywa się faktu, że na początku wojny nasze siły były wystarczające, by pokonać wroga. Czołgów mieliśmy nawet więcej niż Niemcy. Nie wszystkie co prawda nowe, lecz by się obronić, mieliśmy ich aż nadto. Samolotów też było niemało, ale pozwoliliśmy na zniszczenie pierwszego dnia wojny 2 tysięcy maszyn na lotniskach, na ziemi! Jednym słowem, jak zawsze bałagan i niedbalstwo.

Po upływie wielu lat oceniam, że inaczej być nie mogło, ponieważ ta wojna różniła się od wszystkich naszych poprzednich wojen nie sposobem jej prowadzenia, a jedynie rozmachem. Uwidoczniła się nasza cecha narodowa: wykonywać wszystko maksymalnie źle przy maksymalnej utracie sił i środków. Czasem w pamiętnikach generałów czytamy: „Jeśli zrobiono by tak, a nie tak, jeśli posłuchano by mnie, wszystko poszłoby inaczej...”. Co by było gdyby! Czasem winią Stalina albo innych ludzi. Oczywiście, Stalin – największe zło, ale przecież nie pojawił się w próżni. Jego postać doskonale wpisuje się w rosyjską historię, w której było mnóstwo wielkich reformatorów: Iwan IV, Piotr I, Mikołaj I, Aleksander z Arakczejewem[32] i wielu innych. Wszystkie te wzory próbujemy doścignąć, ulepszać metody, sobie wyrrywamy flaki, bliźniemu rzucamy się do gardła, a w przerwach drzemiemy na zapiecku.

Przypominam sobie inny widok, który oglądałem również z wysokości siódmego piętra. Pewnego razu latem 1943 roku siedzieliśmy wśród gęstych gałęzi starego świerku, na drewnianym podeście zamocowanym prawie na czubku drzewa. Wdrapaliśmy się na górę po poprzeczkach przybitych na pniu jak po drabinie. Był to punkt obserwacyjny pułku artylerii, około 1,5 kilometra od pierwszej linii, z którego widać było szeroką panoramę okolicy. Nad nami rozpościerało się błękitne niebo, świeciło słońce. Drzewo kołysało się z lekka, gałęzie skrzypiały i rozsiewały żywiczny aromat.

Przy lornecie nożycowej stał nasz dowódca – postawny, przystojny, młody pułkownik, świeżo ogolony, pachnący wodą kolońską, w wyprasowanej bluzie. Spał przecież w wygodnym krytym samochodzie z piecykiem, a nie w norze. We włosach nie miał ziemi i nie gryzły go wszy. Na śniadanie zjadł nie cienką zupkę, a dobrze podsmażone ziemniaczki z tuszonką amerykańską. Był wykształconym artylerzystą, ukończył akademię, znał swój fach. W 1943 roku takich było bardzo niewiele, ponieważ większość z nich władza rozstrzelała w latach 1939-40, pozostali zginęli w czterdziestym pierwszym, a na stanowiskach dowódczych znaleźli się ludzie przypadkowi.

Pułkownik uważnie obserwował coś przez lornetę, pocierał czystą dłonią swój silny, opalony kark i bez przerwy głośno i upojnie przeklinał: „Co oni robią, gadziny! Ach! Co robią, bydlaki!”. Co oni robili, było widać i bez lornety. Jakieś 2 kilometry przed nami, za strumykiem, rozciągało się duże wzniesienie terenu, na którym kiedyś była wieś. Niemcy zamienili ją w punkt

oporu. Obsypali domy ziemią, postawili nad nimi betonowe czapy, wykopali cały labirynt okopów i okręcili je kilometrami drutu kolczastego.

Już trzeci dzień piechota szturmowała wieś. Najpierw ruszyła jedna dywizja – 6 tysięcy ludzi. Po dwóch godzinach zostały już tylko 2 tysiące. Na następny dzień ci, co pozostali przy życiu, z kolejną dywizją powtórzyli atak – z takim samym skutkiem. Dziś poprowadzili w bój trzecią dywizję, piechota znów poległa. Na stoku wzgórza widzieliśmy wyraźnie leżące pokotem trupy. „Co oni robią, sk...y!” – powtarzał pułkownik, a na wzniesieniu szalał ogień. Niemieckie pozycje pokrywały się ogromnymi językami ognia, kłębami dymu, gradem wybuchów. Walila nasza artyleria, katusze, moździerze, ale niemieckie karabiny maszynowe działały bez uszczerbku i kosily atakujące pułki. „Dokąd idą, gadziny! Trzeba oskrzydlić! Nie wolno leżeć na karabiny maszynowe, po co wpędzać ludzi do grobu!” – jęczał pułkownik. Ale „gadziny” dostały wyraźny rozkaz i go wypełniały.

Normalna rzecz. Czyż nie tak podejmują decyzje zza biurka w gabinetach, gdzie posiać kukurydzę, a gdzie owies? W rezultacie – ani owsa, ani kukurydzy i jeść nie ma co. Nikt już nie sieje i nie zbiera, i nie hoduje krów. W fabrykach też bałagan. A co najstraszniejsze – wytępiono dobrych gospodarzy i uczciwych, doświadczonych kierowników. Zrujnować to, co powstawało stuleciami, łatwo. Popróbuj teraz zorganizować gospodarkę na nowo! Swołocz, która dochrapała się stanowisk, będzie się sprzeciwiać. Poczuvszy niebezpieczeństwo, zjednoczy się i zdecydowanie będzie bronić swojego kawałka tortu.

Na wojnie płacono za to życiem żołnierzy. Jedni padli – przypędzą następnych. Czasem żołnierze ginęli, zanim zdążyli się zapoznać z kolegami z oddziału. Ludzi jest dużo. Łapią ich na tyłach – na polach, w zakładach, ubierają w płaszcze, dają karabin i: „Naprzód!”. Wystraszeni, zdemoralizowani, padają jak muchy.

W tymże 1943 roku pod Woronowem widziałem piechura – rekruta około czterdziestki, który czołgał się wzdłuż pierwszej linii, nie podnosząc głowy, wyraźnie zgubił kierunek. Krzyknąłem do niego: „Żołnierzu, ty dokąd?”, a on na to: „Wujaszku, gdzie kuchnia drugiego batalionu?”. (Krzyknął tak do mnie, 20-letniego chłopaka!) Było mu już wszystko jedno, jaka tam walka... Był głodny i przestraszony. Wszyscy przywykli: żołnierze – do umierania, dowództwo – do uśmiercania.

W dywizjach piechoty już w latach 1941-42 powstał trzon

zaopatrzeniowców, medyków, kontrwywiadowców, sztabowców i tym podobnych ludzi, którzy wypracowali mechanizm uzupełnień i ich wysyłki na śmierć. Swego rodzaju morderczy młyn. Ten trzon umacniał się w swoich założeniach, przyzwyczajał do pełnionej przez siebie strasznej roli, a i ludzie dobierali się tam odpowiedni – tacy, którzy mogli udźwignąć tego rodzaju zadanie. Dowództwo również było mało myślące: albo tępaki, albo męty zdolne jedynie do okrucieństwa. „Naprzód!” – i tyle. Dowódca mojego pułku piechoty w 311 Dywizji awansował na to stanowisko, jak mówiono, z funkcji dowódcy oddziału łaziebno-pralniczego. Okazał się niezwykle uzdolniony w bezmyślnym prowadzeniu ludzi naprzód. Mnóstwo razy uśmiercał swoje oddziały, a w przerwach pił wódkę i tańczył *cyganoczkę*[33]. Zaś dowódca pułku niemieckiego, który walczył przeciwko nam pod Woronowem, dowodził batalionem już w latach 1914-18, był zawodowcem, poznał wszelkie niuanse rzemiosła wojennego i, rzecz jasna, potrafił dbać o swoich ludzi i powstrzymywać nasze atakujące hordy...

Wielki Stalin, nieobarczony ani sumieniem, ani moralnością, ani przekonaniem religijnym stworzył wielką partię, która zdeprawowała cały kraj i zdusiła wolną myśl. Stąd też nasz stosunek do człowieka. Pewnego razu podsłuchiłem rozmowę komisarza z dowódcą batalionu strzeleckiego, który w tym czasie toczył walkę. Ta rozmowa wyrażała istotę rzeczy: „Powalczymy jeszcze dzionek, dwa, dobijemy resztę i pojedziemy na tyły na przegrupowanie. Wtedy dopiero się zabawimy!”.

Zresztą, wojna zawsze była podłością, a armia – instrumentem zabójstwa. Nie ma wojen sprawiedliwych, wszystkie one są – mimo różnych uzasadnień – nieludzkie. Żołnierze zaś zawsze byli nawozem. Zwłaszcza w naszym wielkim mocarstwie i szczególnie w czasach socjalizmu.

Kolejny epizod z czasu wojny. Pewnemu dowódcy korpusu na froncie leningradzkim powiedziano: „Generale, nie należy atakować tego wzniesienia, możemy jedynie stracić mnóstwo ludzi i przegramy”. On odpowiedział: „Myślałby kto – ludzie! Ludzie to pył. Naprzód!”. Ten generał żył długo i umarł we własnym łóżku. W jednostce podległej generałowi walczył pułkownik, który dowodził brygadą czołgów. Wsławił się tym, że szedł do ataków na czele oddziału. Podczas walk w okolicy Włosowa utraciono z nim łączność. Jego czołgu szukano wiele godzin i w końcu znaleziono – opalony, rdzawy. Kiedy z trudem otwarto właz, ze środka buchnął smród spalonego mięsa. Czyż los tych dwóch dowódców nie jest

symboliczny? Czyż nie ucieleśniają oni odwiecznej walki dobra ze złem, sumienia z niegodziwością, humanizmu z okrucieństwem? Czas ich zrównał. W Petersburgu jest ulica generała i obok niej – ulica pułkownika czołgisty.

– Co robią te gadziny! Ach, co robią, bydlaki! – cały czas powtarzał nasz pułkownik.

Siedzieliśmy obok niego, patrzyliśmy z góry na rozgrywającą się przed nami zbrodnię. Nagle telefonista przywołał pułkownika. Ten wziął słuchawkę, po chwili odwrócił się do nas i powiedział:

– Zwiadowców i telefonistów dosięgło ciężkim pociskiem na przedpolu wsi. Zbierajcie się, pójdziecie ich zmienić.

Pokazał palcem tam, na wzniesienie, na istne piekło ognia i dymu.

– Taaa jest! – odpowiedzieliśmy.

WSPOMNIENIA MARYNARZA 4 BRYGADY PIECHOTY MORSKIEJ Ł.M. MARKOWA, CZYLI TYPOWA OPERACJA NASZYCH WOJSK W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ

Wspomnienia... Kto je pisze? Czy ci, którzy naprawdę walczyli – lotnicy, czołgiści, a przede wszystkim piechurzy – mogą napisać wspomnienia? Ranny – zabity, ranny – zabity, ranny – zabity i po wszystkim! Inaczej bywało rzadko. Wspomnienia piszą ci, którzy jedynie otarli się o wojnę w jakimś drugim eszelonie czy sztabie.[34] Albo sprzedajne pismaki wyrażające oficjalny punkt widzenia, zgodnie z którym my zwyciężaliśmy, a źli faszyci padali tysiącami powaleni naszym celnym ogniem. Co widział „uczciwy pisarz” Simonow[35]? Przepłynął się łodzią podwodną, poszedł do ataku raz z piechotą, raz ze zwiadowcami, popatrzył na przygotowanie artyleryjskie – i już „wszystko zobaczył”, i „wszystkiego doświadczył”! Pisał wzniośle, a wszystko to upiększone łgarstwo. A Szołochowowska powieść *Oni walczyli za ojczyznę* – zwyczajna agitka! O drobniejszych kundlach nie wypada nawet mówić.

Wspomnienia... Najciekawsze słyszałem zimą 1944 roku w szpitalu pod Warszawą. Do naszej sali przyniesiono z operacyjnej Wit’kę Wasiljewa, znanego awanturnika, pijanicę, rozpustnika, który wojował przy dowództwie i głównie zajmował się rabunkiem lub podejrzanymi machinacjami z ludnością cywilną. Za swoje sztuki Wit’ka Wasiljew trafił w końcu do kompanii karnej, brał udział w prawdziwej walce i „odkupił winę własną

krwią”. Oto zapis jego wspomnień:

„Popędzono nas na pierwszą linię. Wysunąłem banię z okopu i jak mnie j...ło.”

Opowieść była przerywana sprośnymi czastuszkami i pijackim wymyślaniem pod adresem siostry, która zrobiła Wit’ce zastrzyk przeciwężcowy.

A oto inne wspomnienia, które zaczerpnąłem z oficjalnego zbioru:

„Ranek 14 listopada 1941 był bezwietrzny, ale mroźny... Trudny przerzut i wkrótce znajdujemy się na pierwszej linii, nad pokrytą lodem Newą.

Podczas marszu zaprzyjaźniłem się z chłopakiem z Odessy, Nikołajem. Pod Peterhofem został ranny i po wyjściu ze szpitala od razu trafił do nas. Noc z 18 na 19 listopada spędziliśmy z Nikołajem w jakiejś norze. Leżeliśmy, przytuliwszy się do siebie, i próbowaliśmy usnąć. Mróz przenikał nas do szpiku kości, przekręcaliśmy się co jakiś czas, żeby nie odmrozić sobie boków.

Wczesnym rankiem zerwał nas alarm. Było jeszcze całkiem ciemno. Nad rzeką, jak jasne żyrandole, wisały na niewielkich spadochronach niemieckie rakiety świetlne. Doświadczeni marynarze pozbyli się wszelkich zbędnych przedmiotów: złożyli na stos menażki, zdjęli maski przeciwgazowe i plecaki, z których wyjęli jedynie czapki bez daszków i ręczniki. Czapki założyli zamiast uszanek, ręczniki wzięli na wypadek zranienia. Ja i Kola poszliśmy za przykładem doświadczonych kolegów.

Wyczekawszy moment, kiedy pogasły niemieckie rakiety, rzuciliśmy się naprzód po lodzie. Poruszaliśmy się biegiem, ale niezauważeni pokonaliśmy jedynie 200 metrów. Z brzegu, na którym był wróg, wzniosły się czerwone rakiety, a za nimi – dziesiątki świetlnych. Zrobiło się jasno jak w dzień i natychmiast zaterkotały faszystowskie karabiny maszynowe. Kola biegł obok mnie. Nagle potknął się i upadł na twarz. Odwróciłem go. Oczy miał otwarte, a z czoła nad nasadą nosa ciekła mu strużka krwi. Zmarł. Ułożywszy przyjaciela między sterczącą krą, ucałowałem go i przykryłem mu twarz czapką. Potem puściłem się naprzód. Biegłem tak szybko, że wyrwałem się z drugiego plutonu i dogoniłem pierwszy. Wokół padali żołnierze porażeni gradem ołowiu. Rozlegały się jęki i krzyki. Kule odbijały się rykoszetem od lodu. Zostało nas trzydziestu, kiedy Niemcy puścili w ruch moździerze. Zwaliło mnie z nóg i ogłuchłem. Jak się później okazało, pękły mi bębniaki w uszach.

Leżałem za zwałami kry. Zostałem trafiony w prawą nogę. Ścisnąłem ją poniżej kolana ręcznikiem i zabandażowałem ranę. Zostało nas ośmiu ze 182 ludzi. Czterech było rannych. Do brzegu jeszcze daleko. Przeszliśmy nieco ponad połowę drogi...”[36]

Właściwie to samo, co u Wit’ki Wasiljewa, tylko nieco bardziej szczegółowo. Która opowieść ciekawsza?

Kiedy skończyła się II wojna światowa, ci, co przeżyli, od razu wpadli w inną rzeczywistość: trzeba było odbudowywać zniszczony kraj, urządzać życie na nowo, zapewnić sobie kawałek chleba i wychować dzieci. Do wojny nie chciało się wracać, myśli o niej były nieprzyjemne. O traumatycznych doświadczeniach pomagały zapomnieć wódka i katorżnicza praca. Minęły dziesięciolecia, dzieci dorosły, weterani przeszli na emeryturę i mieli dużo czasu wolnego. Lata zatarły trud przeżytych chwil i zaczęły się wspominki. Koledzy z pułku odnajdywali swoich towarzyszy, powstały rady weteranów różnych oddziałów. Wielu byłych frontowców wzięło się za pisanie wspomnień.

Ja też do nich dołączyłem. Pewnego razu późną jesienią 1975 roku spędzałem samotnie urlop w nadbałtyckim kurorcie. Wył wiatr, morze szumiało, dach smagały strugi deszczu, mokre gałęzie stukały w okno. Z powalającą siłą ogarnęły mnie wspomnienia wojenne, tak trudne do zniesienia, że musiałem je z siebie wyrzucić. Wziąłem do ręki pióro i w ciągu tygodnia zrodził się ten spontaniczny zapis.

NOWOGRÓD

Niemcy przerwali ofensywę na Leningrad we wrześniu 1941. W listopadzie, co prawda, próbowali jeszcze zamknąć pierścień blokady, łącząc się z Finami, ale bezskutecznie. Wyniszczone pod Tichwinem niemieckie wojska wycofały się na pozycje wyjściowe i od tej pory jedynie odpierały ataki. Za to prawie cały czas atakowaliśmy my – w nadziei na przerwanie blokady Leningradu. Krwawe walki rozgrywały się to tu, to tam, ale bez rezultatu. Decydująca ofensywa została wyznaczona na styczeń 1944. Atak zaplanowany był z dwóch stron: od strony Leningradu i od Nowogrodu, by później połączyć siły i rozbić armię niemiecką. Udało się jedynie odrzucić Niemców do Narwy i Pskowa i solidnie ich poszarpać. Rozgromić się jednak nie udało.

Nacieraliśmy na Nowogród Wielki z pozycji wyjściowych koło Miasnego Boru, gdzie w 1942 roku poniosła klęskę 2 Armia Uderzeniowa. Poszło nam nieźle, choć straty mieliśmy duże. Pamiętam wielką stertę ciał w zakrwawionych płaszczach maskujących leżącą w wyrwie niemieckich umocnień. Wjechaliśmy w tę wyrwę po ubitej drodze, po której dopiero co przeszły czołgi. Rozprasowały paru nieboszczyków na placek. Staruszkowie z oddziału zbierającego ciała małymi łomami odłupywali od ziemi zamrożone głowy, które przypominały płaskie dyski o średnicy niemal metra.

Niemcy nie zdążyli zabrać ciężkiej artylerii, część ich sił tkwiła okrążona w punktach oporu. Jedno zgrupowanie próbowało się przebić i dostać do swoich. Było to pod Niekochowem. Nocą wsiedli na pojazdy i rzucili się w przód, zalewając teren gradem kul, które zostawiały za sobą kolorowe smugi. Wspaniały widok! My już na nich czekaliśmy. W zasadzce w lesie stały nasze czołgi. Piechota przygotowała karabiny maszynowe, a my przez

radiostację przekazaliśmy rozkaz o otwarciu ognia z dział. Rozbiliśmy ich zupełnie. Drogę zawałyły płonące ciężarówki i ciągniki, wszędzie walały się trupy – tym razem niemieckie, ale nie tylko. W oddziale byli również Belgowie, Holendrzy i różni inni faszyci, którzy na ochotnika przyjechali na front wschodni. Kilka godzin nasi żołnierze przetrząsali ich dobytek. Czego tu nie było, jak u handlarzy starzyzną! Jakieś szmatki, bielizna damska, naczynia, dywany, a nawet fajansowa muszla klozetowa. W kieszeniach – fotografie, listy, prezerwatywy, kolekcje pocztówek pornograficznych. Wielu żołnierzy z orderami na mundurach, większość miała Tarczę Krym – odznaczenie dawane za udział w zajęciu Krymu. Teraz wydaje mi się to dziwne, ale pamiętam świetnie swoje odczucia: widok polany usłanej trupami wrogów sprawił mi ogromną przyjemność.

Najcięższe boje toczyły się o stację Podbieriezje i inne niemieckie umocnienia w tym rejonie. W pozostałych miejscach szło szybciej. Pod samym Nowogrodem zatrzymało nas zaciekle broniące się ubezpieczenie. Nie mieliśmy żadnej możliwości posunąć się choćby o krok naprzód. Wystarczyło się wychylić, a już walił karabin maszynowy albo dział. Niemcy puścili w ruch nawet szybkostrzelne zenitówki.

Postanowiliśmy rozpocząć atak rankiem i legliśmy do snu, gdzie kto mógł. O czwartej rano rozległy się krzyki: „Ej, wy, bracia Słowianie! Przegapicie Królestwo Niebieskie! Wstawajcie! Niemiec uciekł!”. Okazało się, że Niemcy cichaczem wsiedli do swoich pojazdów i odjechali. Nowogród stał przed nami otworem. Mieliśmy do niego 3, może 4 kilometry.

Niedawno w jakimś dziele historycznym przeczytałem opis ofensywy na Nowogród i poruszające zdania o tym, jak jakiś plutonowy (wymieniony z nazwiska) zatknął sztandar zwycięstwa na murach prastarego grodu. Nic takiego nie miało miejsca! Zacięte boje toczyły się jedynie na przedpolach. Do miasta nasza armia wkroczyła bez jednego wystrzału. My, czyli dziesięciu ludzi ze zwiadu, trzech artylerzystów i dwóch łącznościowców, jako pierwsi weszliśmy od południowego wschodu.

Dzień był ładny, słoneczny. Po bokach pustej szosy czerniały otwory strzelnicze betonowych stanowisk ogniowych, więc można było spodziewać się serii z karabinów maszynowych. Ale Niemcy odeszli. Chwała Bogu, szosa nie była tu też zaminowana, choć w innych miejscach min było pełno. Wśród rupieci walających się na drodze zdarzały się jednak niespodzianki. Moją uwagę zwróciło jaskrawe blaszane pudełko, w jakim przechowuje się

kawę. Pod przykrywką zobaczyłem guziczek na sznureczku. Jeśli bym pociągnął za ten guziczek, pułapka by wybuchła. W ten sposób niektórzy żołnierze tracili oczy, odnosili ciężkie rany. Domyśliłem się, co to jest, i odrzuciłem daleko groźną zabawkę, a potem przestrzeliłem ją z automatu.

W jednym z domów na przedmieściach zwiadowcy znaleźli pięciu śpiących Niemców – nie zauważyli odejścia swojego oddziału. Dwóch wykonczono na miejscu, a pozostałych odesłano do sztabu.

Byliśmy coraz bliżej centrum miasta. Zaminowywaliśmy tory kolejowe, na których stały platformy z porzuconymi pociskami do ciężkich dział. Stosy ogromnych „prosiaków” leżały też na nasypie. Pod samym miastem napotkaliśmy rosyjskiego żołnierza. Szedł nam na spotkanie, bez broni i pasa, pijany, wesoły. „Nie ma w mieście Niemców!” – to jego słowa. Skąd się wziął? Uciekł z niewoli? Było to nam obojętne, niech zajmie się nim Smiersz.

Nowogród ukazał mi się w ten słoneczny, zimowy dzień w nieoczekiwanej postaci. Większość nowszych budynków została zburzona. Zachowały się głównie stare cerkwie, mury – jednym słowem te dominanty, które określały wygląd średniowiecznego miasta. Obraz jedyny w swoim rodzaju. (Dziś znów wszystko jest odbudowane i stare miasto rozpląnęło się wśród nowych budynków jak spod sztancy, bez wyrazu...) Kopuły soboru św. Zofii były obdarte, w oknach ani jednej szyby. Wszędzie chaos i spustoszenie przykryte białym śniegiem.

Doszliśmy do placu, na którym stał czarny, granitowy postument po pomniku Lenina. Do niego przytulił się rozbity niemiecki samochód – furgon z żywnością. Niemcy rzucili wszystko w pośpiechu, a my, oczywiście, zaczęliśmy nabijać worki koncentratem grochowym i innymi smakołykami. Kiedy skończyliśmy, spostrzegliśmy, że na placu są już nasze oddziały, przyjechał czołg, katiusza. Pojawił się komisarz polityczny. Wdrapał się na podwyższenie i zaczął przemawiać. Żołnierze puścili serie z automatów, błysnęły pociski z katiuszy.

Tak świętowano zdobycie Nowogrodu. Żadnego zatknięcia sztandaru nie widziałem. Miasto było puste, ciche. W jego zimnych murach nie było widać mieszkańców.

Udało nam się ogrzać dopiero na północnym przedmieściu, w budynku szkoły, w którym najwyraźniej jeszcze kilka godzin przed naszym przyjściem stacjonowali Niemcy. Rozpaliłem w przerobionej na piec metalowej beczce

po benzynie i zacząłem smażyć ziemniaki na rybim tłuszczu, który znalazłem w szafce. Ale nie udało się nam pojeść należycie. Dostaliśmy rozkaz, by jechać dalej i gonić Niemców.

Pod miastem zobaczyliśmy olbrzymi niemiecki cmentarz wojskowy, kilka tysięcy mogił. Pośrodku stał ogromny czarny krzyż, a wokół – w ścisłym szyku, z matematyczną dokładnością – małe krzyżyki na mogiłach. Bardzo schludnie i porządnie! Później mówiono mi, że Niemcy chowali wszystkich zabitych obowiązkowo w trumnach, a jeśli ich brakowało, wykorzystywali specjalne papierowe worki nakładane od nóg i głowy. Lecz kilku setek nieboszczyków, których znaleźliśmy na drodze za miastem, zakopać nie zdążyli. Były to resztki garnizonu nowogrodzkiego, które wpadły w nasze okrajenie.

Następne dni upłynęły nam w ruchu. Rzucano nas na najtrudniejsze odcinki, żeby zabezpieczyć wyrwę we froncie. Pamiętam szosę łuską[37] obsadzoną ogromnymi topolami. Niektóre zostały zwalone na drogę, żeby utrudnić nam przejazd. Pozostali Niemcy nie zdążyli wysadzić, choć były przygotowane: w nadrańbanych pniach leżały dwustugramowe żółte kostki trotylu, przypominające mydło. Wykorzystaliśmy trotyl, aby się ogrzać. Podpalony tli się powoli i wydzielą smrodliwy dym.

Podczas nocnego szturmowania jednej wsi, ratując się przed ogniem karabinów maszynowych, upadłem w bagno, zamoczyłem się i przeziębilem. Wieczorem dostałem silnej gorączki, ale nie było warunków na chorowanie. Nocowaliśmy na odkrytej leśnej polanie, szalała zamieć. Żeby nie rozchorować się jeszcze bardziej, tańczyłem między zaspami *jig*[38]. Nad ranem gorączka spadła, choroba ustąpiła. Najwidoczniej organizm zmobilizował wszystkie siły i poradził sobie z przeziębieniem.

W lutym atakowaliśmy dużą wieś o dziwacznej nazwie Miedwied’[39]. Niemcy trzymali się jej zębami i pazurami: ubezpieczali tu swoje główne siły cofające się spod Leningradu i Ługi. Pod Miedwiediem przeleżało się wiele krwi. Tutaj po raz pierwszy strąciłem samolot. Nie sam, oczywiście, razem z innymi. Zaczęły na nas pikować „łapciarze”, zagoniły nas do rowu. Leżąc na plecach, zaczęliśmy strzelać ze wszystkich rodzajów broni – karabinów, pistoletów maszynowych, a nawet z automatów. Gdy jeden z samolotów wychodził z pikowania, wsadziliśmy w jego żółty brzuch solidną porcję metalu. Pojawił się dym, samolot runął na najbliższe pole i wybuchł. Pilot zdążył wyskoczyć i opadł na spadochronie. Po otrząśnięciu się ze strachu,

zaczęliśmy go łapać, nie zważając na silny ostrzał. Okazało się, że to oblatany wojak z orderami za naloty na Francję, Anglię i Holandię. Dano mu zapalić, ale z trudem trzymał skręta w usmolonych, drżących rękach. Przybiegli żołnierze z artylerii przeciwlotniczej, z obsługi zenitówki, i poprosili, by oddać im strąconego Niemca: dostaną za to order i awanse. Nie oddaliśmy. Piechota zabrała go na tyły. Nasz dowódca zameldował gdzie trzeba o zestrzelonym samolocie. Zapewne to samo zrobili piechurzy i z pewnością – artyleria przeciwlotnicza. Potem dowództwo armii podwoi liczbę, a do sztabu generalnego dojdzie jeszcze wyższa. Taka też była zwyczajowa praktyka wielkiej wojny ojczyźnianej.

Na początku lutego, chyba czwartego, odłamek pocisku zranił mnie w plecy. Było to w Mieźniku, w ostatnim domu na skraju wioski, zwróconym w stronę Miedwiedia. Tu, ze sterty siana, która służyła nam jako punkt obserwacyjny, widziałem, jak palił się czołg ze znanym poetą wojennym Siergiejem Orłowem. Walka nie rozpoczęła się na dobre, czołgi zdążyły się ledwie wysunąć i od razu zostały podpalone. Ciężko rannego Orłowa udało się uratować.

Raniony odłamkiem, napiłem się wódeczki, zjadłem obiad z towarzyszami i udałem się do oddziału sanitarnego, który znajdował się w sąsiedniej wsi, a właściwie w lasku obok. Tam pokłóciłem się z lekarką, która boleśnie dłubała w ranie, ale nie znalazła odłamka. (Dopiero w latach pięćdziesiątych przypadkowo zobaczył go rentgenolog w mięśni lewego ramienia.)

W namiocie wśród lekko rannych spotkałem wielu znajomych, którzy gościnnie postawili przede mną wiadro gotowanych kartofli. To dopiero życie! Ciepło, sucho, jest co pojeść, wyspałem się do woli. Miesiąc w szpitalu minął szybko i choć rana jeszcze się nie zagoiła, wypisano mnie. Miedwied' w końcu zdobyto, wojsko ruszało dalej, szpital też się przenosił.

Trudno było pójść prosto ze szpitala w bój. Nasi akurat szturmowali wieś o nazwie Iwańkowo. Trzymał silny mróz, więc poganiani przez zimno zdobyliśmy ją w nadziei, że się ogrzejemy tam. Oczywiście domy już dawno nie istniały, ale niemieckie ziemianki okazały się solidne. Na niektórych stanowiskach ogniowych były stalowe czapy. Nocą Niemcy kontratakowali i wyrzucili nas ze wsi. Uciekaliśmy razem z piechotą pod silnym ogniem ile sił w nogach! Rankiem w pułku piechoty zorganizowano egzekucję. Kilku ludzi obwinianych za tę porażkę rozstrzelał pluton egzekucyjny.

Iwańkowo leżało chyba na niemieckiej linii obrony „Pantera” i do walki

o ten punkt zarówno Niemcy, jak i nasi przywiązywali duże znaczenie. Nie udało się nam przerwać tej linii z marszu, walki się przeciągnęły. W końcu marca braliśmy udział w innej nieudanej próbie przerwania „Pantery” kilka kilometrów na południe od Pskowa. Striemutka drogo nas kosztowała.

STRIEMUTKA

*W lisich norach nie ma ateistów.
Generał Eisenhower*

Czasem w mojej głowie pojawiają się nagle pojedyncze wyraźne sceny, przerywając chaotyczny potok wspomnień, jak gdyby pamięć zatrzymywała wściekle pędzący film na jednym kadrze. Wówczas wszystko zamiera i z fotograficzną dokładnością odtwarzam każdy detal.

Widzę ponury pejzaż, rozświetlany promieniami zachodzącego słońca. Ośnieżona równina w zakolu rzeki. Wszędzie leje i okopy, walają się nieuprzątnięte trupy. Pośrodku stoi olbrzymi rozbity czołg „Pantera” – ogromny, nadpalony zwierz, pokryty sadzą i plamami farby maskującej. Wrył się działem – niczym długachnym nosem – w ziemię i zastygł. Z odkrytych włazów zwisają, prawie dotykając rękami ziemi, dwa trupy. Jeden ma zwęgloną twarz i jasne włosy, które rozwiewa wiatr, drugi jest cały pocięty odłamkami.

Był marzec 1944. Zbliżaliśmy się do Pskowa, a Niemcy się cofali, mocno nas kłając. W przeddzień kontratakowali, zostali zatrzymani, przebiła się jedynie „Pantera”. Przepełzła przez rzeczkę i dopiero tu ją capnęliśmy. Obok żelaznej maszyny widać niewysoką ośnieżoną górkę. Tu zakopano Iwana, który unieszkodliwił „Panterę” wiązką granatów przeciwpancernych.

Wspominając tamto zdarzenie, teraz się wzdragam, ale wtedy, w czterdziestym czwartym, to był chleb powszedni. Nie roztrząsaliśmy okropności wojny, tylko dbaliśmy o to, by bezpiecznie i ciepło się urządzić. Rozgrzebaliśmy śnieg przy „Panterze”, żeby choć z jednej strony osłonić się

jej stalowym bokiem przed prawdopodobnym ostrzałem. Nie dało się tu zrobić okopu, łączka okazała się bagnista. Schron był nieduży – ściany ze śniegu i brezentowa peleryna zamiast dachu. Chronił jedynie przed wiatrem. Do spania podłożyliśmy sobie drewniane pokrywy ze skrzynek po amunicji. Potem wszyscy legliśmy pokotem na jednym boku i spaliśmy, przekręcając się na komendę. Pośrodku pykała nasza radość – piecyk zrobiony z wiadra. Rozpalony do czerwoności, nie tyle nas ogrzewał, co podtrzymywał nasze morale. Co prawda, można było podsunąć do niego nogi w mokrych walonkach, ale wtedy w naszym schronie zaczynało cuchnąć przypaloną padliną. Trudno o coś bardziej swojskiego! Żołnierze leżeli słodko w ciszy i cieple. Tylko czasami ktoś szturchał sąsiada, który dopiero co usnął, i kiedy obudzony z trudem oprzytomniał, słyszał: „Pietia, idź się wysikać!”. Taki złośliwy żart żołnierski, po którym ciężko było ponownie zasnąć, dlatego długo jeszcze słychać było wściekłe przekleństwa poszkodowanego.

Tej nocy nie mogłem spać. W przeddzień dwaj nasi telefoniści zostali ranni, trzeba było zająć ich miejsce przy aparacie. Bracia zwiadowcy szybko się uspokoili, wokół zapadła cisza, strzelanina prawie umilkła. Słyszałem jedynie kroki wartownika wokół naszego „domu”. Przez telefon przekazywano do sztabu wszelkie nudne meldunki, a stamtąd przychodziły dyspozycje. Przed trzecią rozmowy ucichły, dowództwo usnęło.

Wtedy zaczął się długo wyczekiwany conocny koncert Moni Glejzera. Monia był telefonistą sztabu dywizji. Malutki, zwinny, wesoły, z ogromnym orlim nosem i brązowymi, wyłupiastymi oczami. Wyróżniał się zdolnościami muzycznymi, śpiewał dźwięcznym głosem, świetnie naśladował zwierzęta (potrafił ryczeć jak osioł, szczeekał jak pies, gdakał, piał) i imitował głosy dowódców. Pochodził z Odessy, gdzie grał w orkiestrze dętej, specjalizującej się w muzyce pogrzebowej. „Codziennie graliśmy u dwóch-trzech nieboszczyków, zarabialiśmy wystarczająco, zawsze było za co wypić, zakąsić i pójść do dziewczyny” – opowiadał Monia.

Żywemu i ruchliwemu Moni trudno było wysiedzieć po cztery-pięć godzin przy aparacie. Żeby się rozerwać, ku powszechnej radości zaczynał śpiewać do słuchawki. Koncert transmitowany był szeroko, wszystkimi liniami. Repertuar Moni był bogaty: od klasycznych arii operowych i operetkowych po odeskie błatne kuplety. Czasami Monia ścisnął palcami swój długi nos i udawał saksofon: „Pij, pij, pij! To ostatnia niedziela, jutro się rozstaniemy...[40]”. Dowództwo patrzyło na sztuki Moni pobłażliwie,

bowiem jego koncerty ratowały telefonistów przed zaśnięciem w najtrudniejszych godzinach przez świtem.

Tej nocy Monia rozpoczął arią Violetty z *Traviaty*: „Żeeegnajcie przeeeszłości urocz e marzeeenia!” – ciągnął błogo, a potem nagle ogłuszająco, na cały głos: „Nalej no kieliszek, Roza! Ja z mroza! Pij, pij, pim, paaam! Z odeskiej komórki uciekły dwa urki! Miau! Miau!”.

„Monia, wróć!” – rozległ się surowy bas dowódcy dywizjonu. Zaczęto podawać dyspozycje dotyczące naszej dalszej ofensywy. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem dziwną nazwę: Striemutka. Była to stacja na trasie kolejowej między Ostrowem a Pskowem, niedaleko tego ostatniego. Dostaliśmy rozkaz zaatakować ją, przeciąć tory kolejowe i przerwać niemiecką linię obrony.

Przygotowania do natarcia były drobiazgow e, przemyślane. Dowództwo uzgadniało działania rodzajów wojsk, czołgiści umawiali się z piechotą, piechota z lotnictwem. Dowieziono górę pocisków i innego ekwipunku. Wszystko odbyło się zgodnie z regułami sztuki wojennej, środki również mieliśmy wystarczające. Najpierw był zwiad – batalion karny obwąchał Niemców na północ od Striemutki, a my siedzieliśmy na pasie neutralnym i namierzaliśmy cele. Potem nasze ciężkie działa strzelały do niemieckich stanowisk ogniowych, ale bezskutecznie. Ich betonowe lub stalowe pokrywy wytrzymywały uderzenia dwupudowych pocisków. Tu potrzebna była artyleria o szczególnej sile.

Następnego dnia zaczęło się główne natarcie nieco na południe. Piechocie rozkazano usiąść na czołgach, a ci, którzy się nie zmieścili, mieli zdjąć płaszcze i półkożuszki, żeby podczas biegu nie pozostawać w tyle za pojazdami pancernymi. My również mieliśmy biec z oddziałami pierwszej linii. Postanowiłem nie zdejmować mojego znakomitego półkożuszka. Przypomniało mi się, jak latem 1943 roku w Pogostju zostawiliśmy przed atakiem swoje manatki, a kiedy wróciliśmy, zamiast mojego nowego płaszcza znalazłem brudne łachmany. Jakieś bydlę zdążyło go podmienić. Człowiek miewa taką podłą naturę! Śmierć zagląda mu w oczy, a tu jeszcze musi coś, choćby niewielkiego, skubnąć bliźniemu. Latem bez płaszcza można się obejść, ale zimą, kiedy jest solidny mróz, strata ciepłego półkożuszka byłaby fatalna. Znalazłem kawałek jakiejś blachy – najprawdopodobniej resztki dachu ze zburzonego domu – zagiąłem ją z jednej strony, przywiązałem do niej gruby sznur i zaczepiłem go o czołg.

Prowizoryczne sanie były gotowe. Zmieściliśmy się na nich z całym dobytkiem, bronią i ciężkimi radiostacjami. I w półkożuszkach, oczywiście.

Przygotowanie artyleryjskie było potężne. Zmiotło pierwszą linię oddziałów niemieckich. Czołgi i piechota przeprawiły się przez niewielką rzeczkę Mnoga, wdarły się na pozycje niemieckie, a potem raz-dwa przeskoczyły parę kilometrów i zajęły Striemutkę. W ślad za czołgiem pędziliśmy na naszych saniach jak na trojce, tylko wiatr świstał nam w uszach.

W centrum wsi znajdował się piętrowy budynek szkolny, w którym stacjonował sztab pułku niemieckiego. Pojawiliśmy się w momencie, kiedy pułkownik wychodził z budynku. Zakładał właśnie rękawiczki i miał zamiar wsiadać do samochodu, żeby odjechać nim na tyły. Przewidywał zapewne, że wszystko pójdzie zgodnie z utartą procedurą: pierwsza linia oddziałów odrzuci Rosjan, zatrzyma ich na długi czas i można będzie spokojnie się cofnąć o wiele później. Tym razem zdarzyło się inaczej – byliśmy jak na zawołanie. Piechota wykończyła pułkownika, a nasze dowództwo zabrało samochód, zdaje się, marki Opel Admiral. Zwycięstwo okazało się niespodziewane i błyskawiczne. Widziałem w Striemutce umocnienia zniszczone celnym ogniem naszej artylerii – kłody, ziemię i ciała żołnierzy porzucane przez wybuchy.

Wszystko szło wyśmienicie. Zostawiliśmy czołg i poszliśmy w ślad za atakującymi. Zmierzchało. Przed torami kolejowymi widniała polana porośnięta krzakami. Z rzadka strzelały działa i moździerze, ale na nasypie nie widać było żadnych pozycji wroga. W każdym razie, na naszym odcinku. Dziwne. Niemcy mogliby zasiąść tam na dobre, jak w Pogostju. Szliśmy po odbitych głęboko w śniegu śladach gąsienic. Gdzieś leżały puste łuski po pociskach wyrzucone z wieżyczek czołgów. W leju leżał martwy nasz żołnierz, brzuch miał rozpruty i otwarty jak skrzynia bez wieka. Można było obejrzeć jego wnętrzności, jak na modelu anatomicznym: jelita, wątrobę, żołądek. Niedaleko nasypu zobaczyliśmy poparzonego dowódcę czołgu, z którym rozstaliśmy się niedawno. Jego czołg dopiero co został spalony, cała załoga zginęła. Drżącą ręką wziął od nas papierosa, nerwowo się zaciągnął, pomachał nam na pożegnanie i odszedł na tyły.

Na torowisku było spokojnie, szyny całe. Nie widać ani naszych, ani Niemców. Przy torach stał jakiś budynek, poszliśmy tam w nadziei, że będziemy mogli się ogrzać, a na strychu urządzimy punkt obserwacyjny.

Jednak Niemcy spostrzegli dym z komina i ostrzelali naszą kryjówkę. Zapaliła się i znów musieliśmy uciekać na mróz.

Zmęczeni i mokrzy rozpaliliśmy ognisko. Zdjąłem walonki i zacząłem suszyć nad ogniem onuce. Wokół nas zatrzymywali się żołnierze z uzupełnień, którzy szli na pierwszą linię. Z przejściem dopytywali, jak jest na froncie i czy tam zabijają wszystkich. Łatwo odróżnić rekrutów od starych żołnierzy. Krzatali się, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, czuli przedsmak spotkania z frontem. Starzy żołnierze, gdy tylko znalazła się wolna chwila, siadali, stawiali automat przy nogach i odpoczywali, rozluźniając każdą komórkę ciała. Potrafili jednak zebrać się w mgnieniu oka, szybko ocenić sytuację i, jeśli trzeba, przystąpić do walki. Człowiek ze słabym refleksem miał małe szanse przeżycia na wojnie. Doświadczeni żołnierze mogli nie spać całymi tygodniami, ale jeśli tylko była możliwość, to odsypiali po wiele dób – jakby na zapas. Na froncie ludzie wyrabiali w sobie reakcje obronne, które pomagały przeżyć. Na przykład ja, choć nigdy nie miałem dobrego węchu, na zwiadzie w lasach pod Leningradem czułem zapach niemieckiego tytoniu z odległości 50-70 metrów.

Nagle nieopodal ogniska wybuchł niemiecki pocisk, zawyły odłamki. Jeden z nich, duży i ciężki, z furczeniem przeleciał mi po plecach, wyrwał cały tył półkożuszka i z sykiem upadł na śnieg. Zmęczony i oziębiały, suszyłem nadal onuce i nawet nikły grymas nie pojawił się na mojej twarzy. Później pomacałem się po krzyżu i dopiero kiedy zrozumiałem, że od teraz będę marznąć, namiętnie wspomniałem Niemca i jego matkę. Rekruci byli oszołomieni, wystraszeni – dla nich to zdarzenie było przerażające.

Tymczasem w działaniach wojennych nastąpiła przerwa nocna. Niemcy włączyli głośniki i w ciemnościach nocy głośno rozbrzmiała ognista melodia *Rio Rity* – modnego przed wojną fokstrota. Drzemaliśmy, gdzie kto mógł. Mróz tężał. Zszedłem do leja, ale ostry wiatr cały czas odwiedzał poły poszarpanego ubrania, odsłaniając mi plecy.

Następnego dnia nacieraliśmy ciągle zwycięsko. Przecieliśmy szosę Psków-Ostrów i szliśmy dalej, nie zważając na straty. Coraz wyraźniej widzieliśmy, że Niemcy stopniowo otrząsają się z zaskoczenia, podrzucają świeże siły. Ostrzał z ich strony nasilił się. W końcu przewiało mnie porządnie i u schyłku dnia poczułem, że bierze mnie choroba. Trząsałem się z gorączki, dzwoniłem zębami. Dowódca, widząc mój stan, kazał mi wrócić na tyły i położyć się w namiocie przy działach. Musiałem przejść 8-10

kilometrów. Trasę z grubsza znałem, szedłem drogą najeżoną wrakami samochodów i czołgów.

Wkrótce zrobiło się całkiem ciemno. Gdzieś w oddali słychać było strzelaninę. Na horyzoncie świeciła luna od rakiet świetlnych. Byłem zupełnie sam pod niebem usianym jasnymi gwiazdami. Wokół rozciągała się była niemiecka linia obrony. Czerniały pagórki stanowisk ogniowych, sterczały lufy dział, straszyły rozbite czołgi, samochody. Zasięki uwite z drutu kolczastego fantastycznymi spiralami podchodziły pod samą drogę. Gdzieniegdzie powiewały porwane łachy, wisiały trupy. Ciemność zacierała kształty przedmiotów, nikły detale – zrobiło się strasznie. Czujnie wsłuchiwałem się w ciszę i, odbezpieczywszy broń, byłem gotowy na wszelkie niespodzianki.

Pojawił się księżyc. Oświecił zaśnieżone królestwo śmierci. Cały czas trawiła mnie gorączka i nadawała otaczającemu mnie krajobrazowi złowieszcze zabarwienie majaka. Wlokłem się całą noc – potykałem się o nieboszczyków, wpadałem w leje, pokonywałem swoją słabość, upadałem, podnosiłem się. Wydawało mi się czasem, że w mroku i ciszy latają nad udręczoną ziemią blade mgiełki, które przyjmują kształty ludzi bądź dziwacznych zwierząt. Były to halucynacje z powodu gorączki – temperatura wzrosła do co najmniej 40 stopni, a może i więcej. Kręciło mi się w głowie, często traciłem przytomność i gubiłem orientację w terenie. Miałem jedynie świadomość konieczności, by iść dalej i w żadnym wypadku się nie zatrzymywać.

Kiedy zaczęło świtać, na drodze pojawiły się jadące z naprzeciwnika ciągniki z działami. Szczęśliwy traf! To jechała nasza bateria. Jeślibym się z nią rozminął, zabłądziłbym i Bóg wie, czym by się to skończyło. Posadzono mnie na przyczepie, przykryto brezentem, a kiedy dojechaliśmy na nowe miejsce postoju, położyłem się w szałasie przy piecyku. Działa strzelały, a ja wyganiałem swoje choróbsko, leżąc prawie na rozpalonym piecu. Po jednym dniu przeziębienie ustąpiło.

Wróciłem do sił, wyszedłem rankiem na słońce i nim zdążyłem się obejrzeć, padłem na ziemię. Instynkt podpowiedział mi, że zbliża się niebezpieczeństwo – ze straszliwym furczeniem spadł niedaleko mnie wielgachny pocisk, odbił się od ziemi i wybuchł. Dwaj artylerzyści pozbawieni refleksu, jaki wypracowuje się na pierwszej linii, zginęli. Tak zaczął się dzień 7 kwietnia 1944 – w którym skończyłem 21 lat.

Nazajutrz ponownie byłem w Striemutce. Siedzieliśmy w wielkim, na wpół rozwalonym niemieckim SO. Spod bali zawalonego stropu sterczała ręka i czuby dwóch butów. Nie było żadnej możliwości, by wyciągnąć biednego Hansa, przycisnęło go solidnie. Mieszkaliśmy więc w ciekawym sąsiedztwie. Przy stanowisku, w rowie, leżało sześciu kolejnych „przyjaciół” w zielonych płaszczach. Resztki SO wkrótce runęły podczas ostrzału i przycisnęły Miskę Biespałowa, który kurował się z ran przez dwa miesiące, a potem utykał.

Ofensywa trwała. Armia poszła klinem naprzód, dotarła prawie do rzeki Wielika, ale Niemcy wzmocnili swoją obronę. Wcisnęliśmy się w sam czubek naszego klina, w dopiero co zdobytą wieś Olenino. Tu rozpętało się prawdziwe piekło. Niemieckie działa bezustannie łupały z trzech stron – od frontu i ze skrzydeł. Nieprzerwanie pikowały na nas bombowce. W fundamentach zburzonych domów wybuchła amunicja – spłonął nasz magazyn. Ze strasznym wyciem przelatywały pociski – to strzelał „Tygrys”, najnowszy czołg niemiecki. Jego siedmiometrowe działo wyrzucało amunicję ze straszliwą siłą. Wokół wszystko wybuchalo, rwało się, waliło, huczało. Ekspłodowała jakaś ciężarówka, która nie wiadomo po co zajechała do Olenina. Ludzie wokół ginęli. Pociski, wbrew teorii prawdopodobieństwa, często spadały w to samo miejsce.

Wydłubaliśmy dołki w kamienistej drodze biegnącej niczym garb przez wieś i utknęliśmy w nich. Nie można się było wychylić nawet na chwilę: gdy tylko podnieśliśmy do góry lornetę, odłamki urwały obie lunety. Wokół spalenizna, pył, w powietrze wylatują kupy piachu. Automaty i karabiny zabrudziły się, odmówiły posłuszeństwa, stały się bezużyteczne. Kontrataki niemieckie musieliśmy odpierać jedynie granatami, których na szczęście mieliśmy pod dostatkiem. Walczyliśmy saperkami, nożami, łomami. Bardzo pomogła nam artyleria, wezwano ją przez radiostację, która na szczęście ocalała. Wszystkie kable telefoniczne porwało na kawałki.

To piekło było porównywalne jedynie do walk pod Siniawinem, Gajtołowem, Tortołowem i Woronowem w 1943 roku, ale tam wszystko trwało dłużej. Pod Striemutką walki szybko wygasły. Widocznie dowództwo zrozumiało, że siły są wyrównane i nie ma sensu dalej przelewać krwi, a przede wszystkim – zaczęły się roztopy. Przyszła wiosna, śnieg się rozpuścił, ziemia zamieniła się w błoto, drogi rozmiękły, szwankował transport. Niemcy mieli pod bokiem tory kolejowe i dowożono im obficie

amunicję. My zaś nieśliśmy wszystko w rękach, ponieważ samochody grzęzły w błocie. Szeregi objuczonych ludzi ciągnęły się na długości 20 kilometrów, grzęznąc po kolana, zupełnie jak w Pogostju wiosną 1942 roku. Jeden dźwiga dwie miny na pasku przewieszonym przez ramię, inny worek z sucharami. Trzeci brnie po kałużach ze skrzynką pocisków albo granatów. Nocą kukuruźniki[41] zrzucały dobytek wojskowy na spadochronach. Prawie niemożliwe było wyniesienie rannych, więc umierali masowo w błocie. Kontynuowanie walki w takich warunkach byłoby głupotą. Operację pod Striemutką wstrzymano.

W czasie jednej z ostatnich potyczek mieliśmy przebiec przez wielkie zaorane pole. Rozmokła ziemia przylepiała się do butów i na każdym wisiała kilkukilogramowa gruda. Czyszczenie ich nie miało sensu, ponieważ błoto lgnęło na nowo, w jeszcze większych ilościach. Staraliśmy się poruszać jak najszybciej, ponieważ ten nieosłonięty teren był ostrzeliwany przez Niemców. Jednak zamiast biec, ciągnęliśmy się w żółwym tempie, które pozbawiało nas resztek sił. Dysząc, rżąc, wybałuszając oczy, próbowaliśmy przeskoczyć niebezpieczny odcinek. Wokół zaczęły wybuchać pociski z ciężkich moździerzy, więc musieliśmy zanurzyć się w zimnym, rzadkim błocie. Nalało się za kołnierz, za mankiety bluzy, do nosa i uszu. Okropność! Jakoś przeczołgaliśmy się przez to pole i tylko Agłulla Chikmatullin, nasz dobry kolega, został tam na zawsze.

Na drugim końcu pola sterczały z błota resztki naszego szturmowca – Iła zestrzelonego poprzedniego dnia przez Niemców. Wszędzie wokół były porzucane kawałki siniego mięsa. To zwłoki „stalinowskiego sokoła”, jak nazywano w tym czasie naszych dzielnych lotników. Ataki szturmowców, które obserwowaliśmy z ziemi, były porywającym widowiskiem. Zazwyczaj Iły przelatywały dziewiątkami. Niemiecka linia zaczynała cała drżeć od wystrzałów. Pistolety maszynowe, zenitówki wszelkich kalibrów, karabiny ziały morzem ognia. Niebo przecinały różnokolorowe smugi pocisków. Czerwone, niebieskie, zielone, białe jak mgła. Samoloty osnuwały się kłębamii dymu, ale leciały niewzruszenie, jakby gardziły śmiercią. Nad naszymi głowami zrzucały bomby, które z początku fikały koziołki, a potem wyrównywały lot i, nabierając prędkości, kierowały się na Niemców. Potem szturmowce wypuszczały rakiety, które z dołu wyglądały jak ołówki. Ze świstem, zostawiając z tyłu świetlisty ślad, mknęły do celu.

Zazwyczaj taki lot kończył się zniszczeniem jednej, dwóch, a nawet trzech

maszyn, które albo wybuchały w powietrzu, albo spadały na ziemię, ciągnąc za sobą smugę dymu. Piloci często ratowali się na spadochronach, chociaż Niemcy mieli podły zwyczaj zabijania ich w powietrzu, przed wylądowaniem. O ile wiem, nasi nie stosowali podobnej nikczemności wobec wroga... Na froncie ginęli wszyscy, najliczniej piechurzy i czołgiści, ale ich śmierć nie była tak widowiskowa, jak śmierć lotników, którą oglądaliśmy dziesiątki razy.

W Striemutce straciłem wielu kolegów. Wielu opatrywałem rany i odsyłałem na tyły. Stopniowo walki ucichały. Urządziliśmy się w ziemiance na brzegu rzeczki, w której pływały trupy. Wokół wznoszono umocnienia. Ryto okopy, zakopywano w ziemi ogromne zbiorniki z paliwem – stacjonarne miotacze ognia w miejscach zagrożonych atakiem czołgów. Ziemia zaczęła wysychać, zazieleniła się trawka. Lejtnant Pszenicznikow zaczął przyprowadzać do siebie baby, a my mogliśmy spokojnie gotować dwa razy dziennie kaszę i piec placuszki z mąki żytniej zabranej ze zdobytego Olenina. Mąkę mieszało się z wodą i solą, a potem przylepiało do rozpalonego boku piecyka. Ciasto się przypalało, placek ze źle zmielonej mąki kłuł w język i podniebienie, drapał w gardło, ale byliśmy zadowoleni.

Ostrzały były teraz rzadsze, koncentrowały się głównie na torach kolejowych biegnących nieopodal. Każde trafienie było celne, ponieważ w suchym nasypie nabudowano mnóstwo ziemianek i kryjówek, jedna przy drugiej. Widzieliśmy, jak podczas wybuchu lecą w powietrze belki, deski, jakieś szmaty i, być może, ludzie. Niemcy przylatywali małymi samolotami, kiedy było już ciemno, naśladując naszą metodę wykorzystania szkoleniowych U-2 do działań nocnych. Taki samolot wyłączał silnik i cicho szybował z wysokości, wypatrując na ziemi świateł ognisk, palących się papierosów lub iskieł lecących z kominów piecyków. Na te cele spadały bomby.

Nasza ziemianka stała blisko ścieżki biegnącej na pierwszą linię. Pewnego razu nocą usłyszałem przez sen, jak dwaj piechurzy zatrzymali się obok, żeby zapalić. Bez pośpiechu krzesali iskry krzesiwem, zaciągali się dwa razy i nagle na niebie zawyło. Po chwili zadudniły wokół wybuchy. Niemiec zrzucił kasetę nafaszerowaną drobnymi granatami, nazywaną przez żołnierzy „fru-fru”. Kasetą otworzyła się w powietrzu i dziesiątki granatów jak groch zasypały okolicę. Przebrzmiały wybuchy, osypały się grudki ziemi, na niebie zawarczał silnik samolotu. I wtedy usłyszałem:

- Waśka, żyjesz?
- Żyję, twoja mać.
- No, to idziemy dalej.

Słysząc było oddalające się kroki i wszystko ucichło.

Powoli wracaliśmy do sił, wymyśliśmy się w odbitej Niemcom łaźni nad jeziorem, dostaliśmy letnie mundury. Operacja w Striemutce dobiegła końca. W ciągu kilku dni obejrzałem na własne oczy skalę zniszczeń po walkach, jakie się tu odbyły. Wyruszyłem na tyły w jakichś sprawach. Około 5 kilometrów od frontu natknąłem się na dużą leśną polanę, całą zastawioną sprzętem. Tu z pierwszej linii ściągano specjalnymi ciągnikami rozbite czołgi, działa, transportery opancerzone. Wśród nich były też maszyny niemieckie. Robiono to albo po to, by je wyremontować, albo przetopić – stal w czasie wojny była surowcem szczególnie deficytowym.

Widok robił wrażenie. Gruby metal pancerzy czołgowych był przeszyty pociskami przeciwpancernymi. Warstwy stali rozerwane, skręcone w spiralę lub powyginane na podobieństwo postrzępionych płatków kwiatów. Niektóre czołgi rdzawe – spłonęły, na niektórych widać brunatną, zaschniętą krew, a na innych leżały jeszcze okaleczone zwłoki czołgistów.

Cała ta potworna wystawa nie współgrała z ciszą zieleniejącego lasu. Świeciło słońce, powietrze pachniało, a ja, wzdrygając się, myślałem o tym, że w każdym z tych czołgów, przy każdym rozbitym dziale zginęli ludzie. I wiedziałem, że ten pomnik śmierci zniknie szybko, przetopiony na kolejne czołgi i działa. Przyjdą następni ludzie i znów pošlą ich w straszliwe tryby wojny, które pracują nieprzerwanie i wciąż żądają coraz to nowych ofiar.

WIEŚ POGOSTISZCZE, SASZKA PAŁASZKIN, IWAN IWANOWICZ WARIENNIKOW, SIERIOŻKA ORŁOW I INNI

Pięknie jest na Pskowszczyźnie latem! Pola zielenieją, w sadach skrywają się ocalałe dziewczyny, gdzieś strzelają w niebo dzwonnice na wpół zburzonych cerkwi. Dużo słońca, powietrza. Swoboda. A niebo takie błękitne! Na duszy lekko, jakby wojna nie istniała. Tak było pod stacją Szwanibachowo, dokąd przyjechaliśmy w lipcu po klęsce pod Striemutką.

Ciemną nocą wspięliśmy się na porośniętą trawą pagórek w pobliżu pierwszej linii, wykopaliśmy dół na wierzchołku i tuż przed świtem zdążyliśmy urządzić schron z wierzchu obłożony darnią. Kiedy wzeszło słońce, wzniesienie wyglądało jak dotąd, jedynie w stronę Niemców wyglądał ledwie zauważalny otwór strzelniczy. Mieliśmy nowy punkt, z którego prowadziliśmy obserwację. Przed nami znajdował się rząd naszych okopów, niewielki wąwóz z bagnistą rzeczką, a za nim na wzgórzach, we wsi – pozycje niemieckie. Właściwie wieś nie istniała. Gdzieś zachowały się jedynie fundamenty domów, a bale poszły na urządzenie schronów. Był to silny punkt oporu niemieckiej linii „Pantera”. Mieliśmy go zdobyć, tym samym przerwać linię wroga i otworzyć drogę dla nowego natarcia. A być może planowane było po prostu rozpoznanie bojem. Nie wiem.

Wieś za rzeczką nazywała się... Pogostiszcze! Ależ mamy szczęście! Jeszcze nie zapomnieliśmy Pogostja, a teraz Pogostiszcze. Czy ta zbieżność nazw nie okaże się fatalna? Czy nie szykuje się tam, przed nami, cmentarz^[42] dla nas? Na razie jest spokojnie. Strzelamy od czasu do czasu my, strzelają od czasu do czasu Niemcy. Przez lornetę ich sylwetki wydają

się malutkie jak ołowiane żołnierzyki. Coś tam kopią, gdzieś się spieszą, noszą jakieś ciężary. Nieco dalej – rozebrani do pasa szukają wszy i kąpią się w wielkim leju. Przyjechał motocykl, po chwili samochód. I – bach! Obok wybucha nasz pocisk. Dokazujemy! To nie czterdziesty pierwszy! Teraz mamy pełno amunicji, a i strzelać się nauczyliśmy. Rozkoszujemy się spokojem i żarciem do syta, bo dostajemy produkty, suchy prowiant i obiady gotujemy sami. Dostajemy całe racje, jakie nam się należą.

Nocami pojawiają się nowe oddziały. W lasku rozlokowały się czołgi, obok nas wyprowadzono naprzód działa do strzelania ogniem bezpośrednim. W dolince ustawiono skrzynie z „Iwanami” – ogromnymi głowiastymi rakietami, które są wystrzeliwane prosto z wyrzutni skrzyniowych i mają ogromne pole rażenia. Wybuch ich okrągłej głowicy ważącej 100 kilogramów wyrywa lej o średnicy 10 metrów.

Pewnego razu przy lornecie dyżurował Saszka Pałaszkin. Z wyglądu miał najwyżej 14-15 lat, ale zdążył już przeżyć to i owo, uważany był za doświadczonego zwiadowcę. Na jego bluzie połyskiwały trzy medale. Świetny był z niego chłopak, wesoły, bystry, inteligentny. O czwartej rano, kiedy zaświtało, Saszka dzikim rykiem zerwał na nogi całą naszą słodko śpiącą kompanię. Myśleliśmy, że do ziemianki zakradli się Niemcy, i chwyciliśmy za automaty. Zachwycony Saszka śmiał się i zapraszał nas do lornety. Okazało się, że wieczorem u podnóża naszego wzgórza zatrzymał się oddział sanitarny. Teraz sanitariuszki, niczego nie podejrzewając, poszły w krzaczki. Saszka pokazywał je w dwunastokrotnym powiększeniu.

Sądząc po wszelkich oznakach, natarcie powinno rozpocząć się lada chwila. Do szturm miał iść karny batalion, w skrócie KB lub „kurs bajanistów[43]”, jak żartobliwie nazywali go żołnierze. Tym razem w batalionie nie było zawodowych przestępców, dezertów i żołnierzy po samookaleczeniach, lecz zdegradowani intendenci przyłapani na kradzieży, żołnierze z batalionów gospodarczych i inna tyłowa swołocz. Dostali po 10-15 lat więzienia, które teraz zamieniono im na batalion karny. Jak bezwstydnie musieli kraść, skoro ich przyłapano! Były to dziadki po 30-40 lat, a czasem i więcej. Dobrze utrzymane, tłuste mordy, podwójne podbródki i wielkie brzuchy. Paradowali w modnych, uszytych na miarę płaszczach, efektownych furażerkach. Tylko zamiast butów z cholewami mieli na nogach zwykłe żołnierskie buty z onucami. Interesujące widowisko!

I oto rozkaz: rano – atakujemy. Nasz lejtnant ma towarzyszyć

zwiadowcom i radiostacji przy dowództwie batalionu i korygować ogień dział. Skoro świt byliśmy u „bajanistów”. Nakarmiono ich, dano im wódki i oświadczono, że jeśli zajmą trzy linie niemieckich okopów, zostaną z nich zdjęte wyroki. Po takiej obietnicy „bajaniści” rwali się do walki niczym charty za zwierzyną.

Rozszalała się artyleria. Wspaniała, ciężka – strzelało wiele dział do dobrze rozpoznanych celów. Pocisków było dużo, walili długo. Nad pozycjami niemieckimi podniosły się kłęby dymu, ognia i pyłu. Jeszcze trwał ostrzał, kiedy „bajaniści” wyskoczyli z kryjówek i w parę minut pokonali 200 metrów pasa neutralnego. Przeprawili się przez rzeczkę i już są w pierwszym okopie. Obrona niemiecka w większości pokonana. Strzelają jedynie pojedyncze karabiny maszynowe. Widocznie Niemcy nie spodziewali się ataku, a i nie aż tak wiele wojska mieli na pierwszej linii.

Za pierwszą tyralierą ruszyliśmy my. Zbłąkane kule nie miały się nas, ognia artyleryjskiego na razie nie było. Rzeczka okazała się płytka, ale grząska. Na jej drugim brzegu leżeli nieboszczycy – rezultat nieudanego natarcia w lutym. Czarne trupy w zgniłych półkożuszkach, zbutwiałe futerko zapadło się między żebra wypełnione rojem robaków. Smród straszliwy. Dalej rozbity do szczętu nasz czołg, widocznie najechał na fugasa i wyleciał w powietrze. Ale nie ma chwili do stracenia, biegniemy dalej po drodze wyznaczonej przez saperów. Tu min nie ma, a dasz krok w bok – i po tobie! Oto i pierwszy okop. Rozbite stanowiska, martwi Niemcy. Naszych nie widać, zarzucają już granatami drugą linię okopów. Idziemy ich śladem i nagle straszne wycie, zgrzyt, świst. Rzucam się w lej i zastygam. Ziemia drży, od huków głucho – jakby mi ktoś zatkał uszy watą. Coś uderzyło mnie mocno w nogę powyżej kolana. Urwało! – pomyślałem. Oglądam się – noga cała, ale ogromna bryła ziemi leży przy mnie. Co to było? Okazało się, że „bajaniści” obalili po ćwiartce wódki, pospieszyli się i wyrwali naprzód za wcześniej. Bez problemu zdobyli dwie linie okopów i tu zastał ich końcowy akord naszego przygotowania artyleryjskiego – salwa „Iwanów”, wyrzutni rakietowych. Zaszło małe „nieporozumienie”, tak często towarzyszące naszym działaniom. My wykpiiliśmy się lekkim strachem, ale „bajanistom” dostało się mocniej. W rezultacie batalion stracił morale i nie doszedł do trzeciej linii okopów. Niemcy tymczasem zdążyli ochłonać i zaczęli kontratak. Wywiązała się walka.

Spenetrowaliśmy pierwszą linię i znaleźliśmy sobie schron – piękną,

głęboko schowaną w ziemi i pokrytą pięcioma warstwami bali niemiecką ziemiankę. Takiej nawet ciężki pocisk nie przebije! Były tam porządne nary dla czterech ludzi, piecyk, ściany wyłożone deskami. Na stole leżała zapomniana mapa z niezwykle szczegółowym oznaczeniem lokalizacji naszych wojsk. Mimo wszystko umiały Fryce wojować!

Rozłożyliśmy się wygodnie, ale gdzie tam! Do ziemianki wpadł tęgi, płowowłosy żołnierz, przypominający wyglądem Nikitę Siergiejewicza [Chruszczowa]. Spadziste ramiona, rozrośnięty kark. W rękach automat.

– No, chłopaki, spadać stąd! – oznajmił zdecydowanie. – Tu będzie punkt dowodzenia pułkownika Orłowa, wasza mać!

Były z nas stare wygi, też złapaliśmy za automaty i ostro odszczeknęliśmy. Zjawił się sam pułkownik Orłow, z budionnowskimi wąsami, z orderami. Był zdecydowany wyrzucić nas do okopów, ale znaleźliśmy przekonujący argument:

– Towarzyszu pułkowniku, przecież tam rozbiją nam radiostację!

To go przekonało. Poszliśmy na kompromis. Ja i mój zmiennik Iwan Iwanowicz Wariennikow rozłożyliśmy się pod narami, na nich ulokowali się pułkownik Orłow i jego kolega, dowódca innego pułku, a nasz lejtnant, zwiadowcy i sługusy pułkowe na pozostałych narach.

Leżałem cicho jak mysz pod miotłą i wachałem zjadliwie cuchnące buty pułkownika, które postawił tuż przed moim nosem. Pułkownik z rzadka charkał głośno, gasił papierosy o obcas i niedopałki rzucał mi na głowę. Ale i tak była to niewysoka cena za ciepło i bezpieczeństwo.

Pułkownicy prowadzili ponurą rozmowę. Jeden z nich na czas nie przerzucił swoich dział przez rzeczkę do Pogostiszcza. Zaczął się ostrzał, lunął deszcz, rzeczką wylała i chociaż specjalnie zatopiono w niej ciągnik, żeby zrobić prowizoryczny most, nie udało się. Zadanie nie zostało wykonane, pułkownik trwożliwie oczekiwał degradacji, a być może jeszcze surowszej kary – bo przecież niemieckiej obrony nie przerwano i teraz będą szukać winnych, żeby ich przykładnie ukarać.

Pułkownicy pili wódkę, smacznie jedli. Orłow pocieszał kolegę. Płowowłosy chłopak, który okazał się sługusem pułkownika i jego kuzynem, Sierioga Orłow, zobaczył, że nie przeszkadzamy i stał się wobec nas bardzo życzliwy. Dali nam, pod nary, resztki konserw rybnych, po piętce chleba i po kawałku słoniny. To rozumiem! Całe wieki mogą leżeć pod tyłkiem pułkownika. Spaliśmy słodko, nie zważając na silny ostrzał i uderzenia

drobnych pocisków w nasz schron. Na zewnątrz byłoby inaczej – artylerzyści pułkownika Orłowa, którzy tam zostali, nie nadążali grzebać swoich towarzyszy.

Następnego ranka Niemcy po silnym ostrzale poszli na Pogostiszczę ze wsparciem pięciu czołgów. Niedoświadczona piechota z uzupełnień, która zastąpiła „bajanistów”, pobięła do ataku. Podczas gdy Sieriożka Orłow przekleństwami i kolbami karabinów cucił piechurów, my położyliśmy się za zdobycznym karabinem maszynowym i zaczęliśmy odstraszać nacierających Hansów. Jeden czołg unieszkodliwiła ciężka artyleria, która strzelała z tyłu. Drugi spalili puszkarze pułkownika Orłowa. Trzeci zatrzymał Saszka Pałaszkin, zwinnie rzucając z lisiej nory granat przeciwpancerny. Pozostałe się cofnęły. Podobny młyn był na drugi i na trzeci dzień. Po tygodniu Niemcy zrozumieli, że nie odbiją Pogostiszczę, a nasi nie atakowali.

Walki ucichły. Konflikt, jak to mówią, został zażegnany. Ale my straciliśmy Saszkę Pałaszkiną. Przebiegaliśmy raz otwartą przestrzenią z okopu do okopu. Jeden wyskoczył, przeleciał ogromnymi skokami niebezpieczny pas i jak kamień wpadł do kryjówki. Drugi, trzeci. Wyskoczył Saszka. W tym momencie wybuchł mu pod nogami pocisk. Garść odłamków powaliła chłopaczka, jak śrut ptaka w locie. Pochowano go w Pogostiszczu.

Wkrótce przerzucono nas pod Ostrów. Tam zaczęło się generalne natarcie. Pamiętam zdobyte miasto – całe w zieleni drzew. Ażurowe kratownice wysadzonego mostu, na wpół zatopione w rzece. Po ulicy prowadzą dużą grupę jeńców. Niektórzy, ku wielkiej radości naszych żołnierzy, są bez spodni.

Pamiętam dużą, niezbyt zniszczoną, ale wyludnioną wieś z wysoką wieżą silosu. Nazywała się Grabule. Zwiadowca Wańka Bozin, były przestępca, prostak i cwaniak, szybko przemianował ją na Grab-Bierz, bowiem w tamtejszych piwnicach i spiżarniach było sporo żarcia.

Pamiętam Puszkinskie Góry w pełnej krasie, bez domów, bez drogowskazów – wszystko spłonęło. Lecz lasy, jeziora i pola dużo bardziej działały na wyobraźnię niż obecne cukierkowe budynki muzealne. Zdążyliśmy tak szybko przepędzić Niemców, że cerkiewka z mogiłą Puszkina ocalała, choć była zaminowana od góry do dołu. Po co było Frycom ją wysadzać?

Potem rzucono nas w kierunku Pieczor i oznajmiono, że jeśli nasz pułk jako pierwszy otworzy ogień na miasto Izborsk, zostanie nagrodzony.

„Szybciej, szybciej!” – ponagla dowództwo. Wsiadamy do szybkiego transportera i mknijemy naprzód. Już widać stare mury miasta, ale Niemców – ani widu, ani słychu. Wyskakujemy z maszyny, biegniemy, automaty gotowe do strzału – nie ma Niemców! W mieście pusto. Ludność schowała się w kamiennych wieżach. Nagle z daleka, na tyłach, rozlegają się strzały armatnie. Jeden, drugi, trzeci, czwarty. Strzela cały dywizjon – ogniem ciągłym. Pociski z wyciem zbliżają się do nas i zaczynają wybuchać w wąwozie przy szosie. Jakiś idiota chciał zarobić order, ale, chwała Bogu, strzela gdzie popadnie, bez przygotowania i starannego namierzenia celu, czyli jak zwykle... To ratuje nas i wszystkich ludzi, którzy znajdowali się w Izborsku. Wściekle rugamy fujary przez radiostację.

Nasz ostrzał ucicha, ale zaczyna się nowy, tym razem niemiecki. Sporadyczny i niepokojący. To jednak nam nie przeszkadza. Można się nawet rozejrzeć. Wbiegam do pustego domu – wszystko leży na swoim miejscu. Na półce widzę paczkę z makaronem. To moje trofeum! Wkładam zdobycz do worka i idę dalej. (Dziesięć lat po wojnie pojechałem do Izborska, żeby odwiedzić znajome miejsca. Dom stał. Jego gospodynią okazała się sympatyczna, inteligentna popadla, z którą przyjemnie pogawędziliśmy, powspominaliśmy wojnę i inne wydarzenia. Jej mąż zginął w łagrach syberyjskich, a ona postanowiła dożyć swoich dni w Izborsku.)

Przeszliśmy przez miasto i wyszliśmy na grodzisko Truwora, spojrzeliśmy ze wzgórza od strony cerkwi Nikoły i zaparło nam dech w piersiach! Przed nami rozpościerał się jakby cały świat. Po zgniłych bagnach Pogostja, po trzyletnim czołganiu się w błocie okopów, tu otworzyła się przed nami taka przestrzeń, że oniemieliśmy z wrażenia.

Zeszliśmy ze wzgórza, przeszliśmy przez wieś Mały. Dalej droga wiodła do Estonii, do najpiękniejszej jej części.

Na naszej drodze znalazły się miasteczka Elva, Antsla, Võru – jedno bardziej malownicze od drugiego.

Drogi... Rozbite czołgi i działa na poboczach. Dziewczyny kierujące ruchem, machające chorągiewkami. Gęsty pył w powietrzu, wpadający do oczu, uszu, zatykający nos. Twarze robią się szare i żołnierze wyglądają, jakby wyciągnięto ich spod ziemi, przysypanych po wybuchu pocisku. Jazda dniem i nocą, przerywana jedynie sporadycznie. To najechaliśmy na minę, ale straciliśmy tylko samochód i najedliśmy się strachu. To szofer usnął za kierownicą i wpadliśmy do rowu. To w przyczepie mknącego po szosie

samochodu z amunicją zwiadowca, chcąc zapalić, razem z kapciuchem wyrwał zawleczkę granatu, który trzymał w tej samej kieszeni. Usłyszeliśmy charakterystyczny trzask zapalnika, rzuciliśmy się na boki i w tym samym momencie jęknęło. Granat ranił pięciu ludzi, w tym winowajcę zdarzenia – wyrwał mu całe biodro. Na szczęście nie wybuchły pociski, inaczej byłby wielki fajerwerk!

Ktoś gdzieś jedzie, tam i siam kręcą się w obłokach kurzu samochody i wozy, z łoskotem przetaczają się ciągniki i czołgi. Na poboczu drogi wieszają niemieckiego starostę – umęczonego, łysego chłopinę w porwanej sukmanie. Spokojnie poddaje się swojemu losowi. Obok stoi kapitan z prokuratury z wyrokiem w ręce, dwóch-trzech wykonawców ze Smiersza i dwóch-trzech gapiów. Pozostali obojętnie przechodzą obok, śmierć już wszystkim się sprzykrzyła. Okazuje się, że nawet karę śmierci wykonano byle jak: przegniły sznurek nie wytrzymał, starosta się urwał. Teraz chcą wszystko zaczynać od nowa. Znaleźli nowy sznur, przerzucili pętlę przez gałąź i ciągną: „Raz, dwa, hop!”. Prostacko, zwyczajnie i ze znudzeniem. Dziesięć metrów dalej zaś rozgrywa się bardziej interesująca scenka: żołnierze podszczypują dziewczyny kierujące ruchem, które skończyły służbę. Śmiech, radosne piski, krzyki.

Pewnego razu na ruchliwym przecięciu trzech dróg zawalonym samochodami, wozami, działami i pieszymi, naszą uwagę przyciągnęła powszechna wesołość. Na środku skrzyżowania leżał na brzuchu trup wielkiego Niemca. Spodnie miał spuszczone, a z zadka sterczała czerwona chorągiewka, która radośnie powiewała na wietrze.

Walki, bombardowania, płonące nocą budynki – wszystko to teraz tworzy nieprzerwany kalejdoskop zdarzeń. Przypomina się szosa tartuska biegnąca wzdłuż pagórków i lasów, dostatnie gospodarstwa i wille Estończyków. Na tej szosie zostałem ranny po raz czwarty. Wraca w pamięci syte życie, które po raz pierwszy w czasie wojny zaczęło się tu, w Estonii, wraz z pojawieniem się „podręcznego prowiantu” – kur, świń, mleka krowiego, owoców.

Przypominają mi się dwie zażarte walki, które tutaj stoczyliśmy. Nad rzeką Emajögi, pod Tartu, Niemcy napadli na nas niespodziewanie i zmusili do ucieczki dosłownie bez spodni. Przepłynęliśmy rzekę, porzuciwszy na tamtym brzegu działa. Sprawa śmierdziała trybunałem wojennym i kompanią karną. Nie zwlekając, powzięliśmy rozpaczliwy kontratak i odbiliśmy swoje

armaty prawie nienaruszone. Pomogli nam towarzysze z pułku – z bliska rozstrzelali z ciężkich dział oddział niemiecki, który nas wcześniej przegnał. Wszystko skończyło się dobrze.

Innym razem szef sztabu brygady, zapewne po pijanemu lub z głupoty, zajechał furgonetką sztabową wprost na pozycje niemieckie. Trzeba było łapać automaty i granaty i odbijać go. Sprawiliśmy się w ciągu 10-15 minut, ale wydostaliśmy jedynie trupa, którego pochowaliśmy z honorami.

Pamiętam przepiękne Tartu, które długi czas było podzielone między Niemców a nas i niemiłosiernie niszczone z obu stron. Dość długo można było w mieście pojeść i popić, ale potem zapasy się wyczerpały. Spryciarze zaczęli szukać spirytusu i znajdowali go w preparatach doświadczalnych na uniwersytecie, były nim zalane szczury, gady, solitery.

We wrześniu odbyliśmy marsz na Rygę, do której weszliśmy jako jedni z pierwszych. Na przydworcowym placu wisiał ogromny napis: „Herman Göring Werke” (Zakłady Hermana Göringa). Miejskowa ludność przywitała nas życzliwie i razem z nami rozbijała sklepy winiarskie. Spod Rygi nasza droga prowadziła na Litwę, gdzie w końcu wbiliśmy się w zgrupowanie niemieckie, które broniło się w rejonie Lipawy. Był to trzon Grupy Armii „Północ”, która doszła do Leningradu i trzymała go w blokadzie, a teraz została odrzucona spod miasta. Zgrupowanie obroniło swoje pozycje i walczyło tu do końca wojny, do kapitulacji.

Nas zaś w grudniu 1944 przerzucono pod Warszawę. Działo się to w chaosie. Armia jechała w dziesiątkach eszelonów. Czołgiści, piechurzy, artylerzyści. Po drodze żołnierze wymieniali u miejscowej ludności rupiecie na samogon i pijane eszelony z pieśnią na ustach, okrzykami, czasem strzelaniną, przetaczały się przez terytorium Polski na zachód. Na jednej stacji dowództwo próbowało zakazać sprzedaży samogonu. Podjechali czołgiści, obrócili wieżyczkę czołgu i grzmotnęli pociskiem podkalibrowym w dom komendanta. Mówiono, że uciekł jak go Pan Bóg stworzył. Po tym wszystko szło po staremu.

Witaliśmy Nowy Rok w wagonie towarowym na stacji Lida. Starszy lejtnant Kosinow z ponurą miną tłukł pięścią w swój zegarek, a pozostali tańczyli wokół rozpalonego piecyka i śpiewali piosenki, fałszując po pijanemu.

W czasie tego przejazdu ponownie spotkałem Sieriożkę Orłowa. Jechał w wagonie sanitarnym, gdzie, jak mówił, jego „wujaszek leczył stare rany”.

Siostry opowiedziały mi w sekrecie, że u „wujaszka” odezwał się zadawniony tryper, złapany jeszcze w sławetnych czasach wojny domowej. Sieriożka był pijany, na rękach miał zamszowe rękawiczki. Serdecznie ugościł nas wódką, słoniną, kielbasą. Skąd miał tyle dobra? Okazało się, że podczas ruszania pociągu na platformy wagonów jeszcze wskakiwali pasażerowie z bagażami. Sieriożka wypatrzył jakiegoś bogatszego gościa z dużymi walizami, dał mu mocnego kopniaka w tyłek, wypchnął z wagonu, a jego graty puścił w obrót na najbliższej stacji. To ci dopiero Sieriożka!

(Trzeci i ostatni raz spotkaliśmy się w latach pięćdziesiątych w Moskwie, w zatłoczonym wagonie metra. Zobaczyłem znajomą postać podobną do Nikity Siergiejewicza, ale teraz nie miał na sobie munduru, lecz piękny płaszcz i szarą czapkę frotté.

– Sieriożka?

– Tak, a ty?

Wyjaśniłem.

– Nie znam, nie pamiętam. Wielu was było. Gdzie pracujesz? W handlu? Tak? Może gdzieś wyskoczmy?

Nie wyskoczyliśmy, widzieliśmy się wtedy po raz ostatni. Szkoda, że nie zapytałem o jego wujka...)

Cały czas, poczynając od Striemutki aż do Tartu, moim nieodłącznym towarzyszem był Iwan Iwanowicz Wariennikow. Ja byłem dowódcą radiostacji, on – moim pomocnikiem. Ja dźwigałem jedną skrzynię, on – drugą. Iwan Iwanowicz, wedle mojego ówczesnego wyobrażenia, był stary. Po trzydziestce. Wysoki, wąski w ramionach, ale z mocno wypiętą do przodu klatką piersiową jak u koguta, z szerokimi biodrami. Nosił buty w rozmiarze 46, stawiał je czubami na zewnątrz. Głowa zwężała mu się do góry i była porośnięta gęstymi czarnymi włosami, zakrywającymi niskie, wypukłe czoło. W oczy rzucały się wydatne łuki brwiowe, kości policzkowe jak u pitekantropa i ogromny kaczycy nos.

Z szerokich nozdrzy wyrastały mu włosy. Miał też zarośnięte piersi i plecy.

Iwan Iwanowicz przed wojną był pomocnikiem bufetowego na jakiejś maleńkiej stacyjce kolejowej na Zauralu. Podczas wojny najpierw został pisarzem na tyłach, ale w 1943 wysłano go na front. Nie znosił broni, nie chciał się nauczyć obsługi radiostacji, chociaż było to łatwiejsze niż parzenie herbaty. Jednym słowem, był „wewnętrznym pacyfistą”, nie z przekonania,

a instynktownie – nie znosił niczego, co było związane z wojną. Zawsze jednak zachowywał zimną krew, kulom się nie kłaniał, nie trząsł jak my wszyscy w czasie ostrzałów. O ile mi wiadomo, udało mu się przeżyć wojnę, wykpił się paroma zadrapaniami.

Iwana Iwanowicza trzeba było ratować przed gniewem dowódcy, zmuszając do kopania ziemianek, pilnować jego broni – sam miał to w nosie. W spokojnym czasie między walkami słodkim głosem robił żołnierzom wykłady o technikach miłosnych. Uszy czerwieniały mi po same koniuszki, dlatego próbowałem się wyłączać, by niczego nie słyszeć. Wystąpieniom Iwana Iwanowicza towarzyszyły głośnie okrzyki: „No!”, „No co ty?!”, „No masz, twoja mać!”. Iwan Iwanowicz posiadał i inne umiejętności. Mówiono, że za pół bochenka chleba mógł zgasić płomień lampki, głośno wypuszczając w jego stronę gazy. Na takim przedstawieniu zbierało się wielu widzów i komentatorów, ale mnie osobiście nie udało się tego zobaczyć.

Żyliśmy razem, dzieliliśmy się wszystkim, ale ani sympatii, ani zrozumienia między nami nie było. Myślę, że Iwan Iwanowicz był zadowolony, że zostałem ranny, a i ja odetchnąłem z ulgą, kiedy pozbyłem się jego towarzystwa. Niedługo przed naszym rozstaniem zdarzyło się coś, co zaciążyło na wzajemnych relacjach w ostatnich dniach naszej koegzystencji. Mianowicie Iwan Iwanowicz dostał rację żywnościową dla nas dwóch na tydzień: chleb, cukier, konserwy. Miał cały worek jedzenia, którego strzegł jak oka w głowie, bo lubił pojeść. Nocą worek służył mu za poduszkę. Położyliśmy się spać w dwóch dołkach przy ścieżce prowadzącej na pierwszą linię. Rankiem worka pod głową mojego kolegi nie było. Piechurzy, którzy nocą przechodzili obok nas, najspokojniej wyciągnęli nasze zapasy spod bohatersko śpiącego Iwana Iwanowicza. Słyszał z mocnego snu i chrapania przypominającego odległą kanonadę. Biedny Wariennikow był wstrząśnięty tym zdarzeniem, łatwiej byłoby mu znieść klęskę naszego pułku. Nie powiedziałem w związku z tą stratą ani słowa, ale poczułem, że przez to stałem się jeszcze bardziej uciążliwy dla Iwana Iwanowicza. Tym bardziej że żołnierze długo bawili się jego kosztem.

Dowodził nami lejtnant Pszenicznikow. Zastąpił lejtnanta Popowa, któremu urwało głowę pod Striemutką. Pszenicznikow był przystojny, pełen uroku osobistego, piękny jak Apollo, ale nikczemny, pozbawiony zasad i zepsuty do szpiku kości. Jego główną namiętnością były kobiety. Miał je w myśli, w mowie i uczynkach. W wolnych chwilach opowiadał o swoich

romansach w czasie pokoju, wzbogacając opowieści pikantnymi szczegółami. Jego stanowisko – inspektor oddziału rejonowego kuratorium – pozwalało mu, jak mówił, zastraszać młode nauczycielki i w ten sposób osiągać swój cel.

Ciągle miał gdzieś ukochane. Pod wsią Bolszaja Goruszka, w czasie straszego ostrzału, kiedy obok ziemianki rozerwało kilku ludzi, on spokojnie zabawiał się z dziewczyną. Pod Striemutką znów przyprowadził skądś milutką plutonową. Przed wejściem postawił straż – mnie i flegmatycznego plutonowego Zajcewa, odważnego wojaka i dumnego człowieka. Zajcew obraził się i zaczął strzelać w powietrze z automatu, żeby zepsuć Pszenicznikowowi przyjemność.

Ale wyszło inaczej. Lejtnant wyszedł z ziemianki dopiero rano i zapytał: „Z jakiego powodu była salwa?”. Kleił się do każdej napotkanej dziewczyny. Lubił śpiewać przy akompaniamencie gitary słodkim, beczącym głosem piosenki z repertuaru Leszczenki: „Gdzie jest, gdzie moja Tatiana....”.

W Niemczech nie służyłem już pod jego dowództwem, ale żołnierze opowiadali mi o sukcesach teraz już starszego lejtnanta. Gdzieś w zatłoczonym miejscu zaczynał sprawdzanie dokumentów u cywilów. Ładniejsze Niemki zabierał na „dodatkową kontrolę”, którą przeprowadzał w ustronnym miejscu.

Ostatni raz widzieliśmy się z Pszenicznikowem w szpitalu. Przechodząc obok oddziału wenerycznego, usłyszałem brzdąkanie na gitarze i znajome: „Gdzie jest, gdzie moja Tatiana, moja miłość i dawne marzenia....”. „O, mój radiotelegrafista!” – poznał mnie. Odłamek niemieckiego pocisku trafił go pod Danzigiem.

SEN

*Śniło mi się, że jestem
motylem i latam, a kiedy
się obudziłem, nie wiedziałem,
czy jestem człowiekiem,
czy motylem, któremu się śni,
że jest człowiekiem...
Starożytny filozof chiński*

Ten sen przyśnił mi się w 1944 roku. Wywarł na mnie tak silne wrażenie, że zapisałem go od razu po wojnie, w 1945 roku.

W lipcu 1944 Niemcy porzucili swoje pozycje obronne na południe od Pskowa, a my ruszyliśmy w ślad za nimi. Cztery dni i trzy noce trwała nieprzerwana ofensywa: krótkie walki następowały zaraz po marszach i ani nie spaliśmy, ani nie odpoczywaliśmy. Pod koniec czwartego dnia ogłoszono odpoczynek z noclegiem. Po długim napięciu, po huku i wścieklej jeździe nastąpiła nagle cisza. Rozejrzeliśmy się wokół i ogarnęło nas wrażenie niezwykłości otaczającego nas krajobrazu, jakie zawsze pojawia się u żołnierzy, którzy spędzili wiele dni na pierwszej linii. Odkrywaliśmy ten świat na nowo, zadziwieni jego kolorami, zapachami, tym, że w ogóle istnieje.

Wszedłem na niewielkie wzniesienie, z którego rozpościerała się szeroka panorama. Było tu wszystko: domy, drzewa, zielone łąki i daleki horyzont. Nie widziałem lejów, zardzewiałego metalu ani drutu kolczastego. Stałem na otwartej przestrzeni w pozycji wyprostowanej – było to dla mnie niezwykle. Panowała cisza, trochę niepokojąca i przytłaczająca. Miałem odruch, by

pochylić się ku ziemi, zlać z otoczeniem – nawyki frontowe były jednak silne. Z takimi doznaniem zacząłem szykować się do noclegu. Długie życie na wojnie nauczyło mnie, że w każdych okolicznościach trzeba szukać dobrze ukrytego, bezpiecznego miejsca do spania – inaczej (znałem to z doświadczenia) sen będzie niespokojny i nie przyniesie odpoczynku.

Zazwyczaj wykopywaliśmy w pośpiechu małe dołki w ziemi, w których można było ułożyć się do snu, wyginając w chiński paragraf. Tym razem cudowne miejsce na nocleg znalazłem tuż obok. Na samym szczycie wzniesienia znajdował się wykopany przez kogoś świeży dół, głęboki na około półtora metra, szeroki na metr i długością akurat na mój wzrost. Mogłem nawet swobodnie wyprostować nogi. Czego chcieć więcej? Uradowany wskoczyłem do dołka i, owinąwszy się peleryną, ułożyłem się do snu. Było tu sucho, wygodnie, gliniasta ziemia pachniała przyjemnie i poczułem się jak u siebie. Zasypiając, widziałem wielką rudą mrówkę, która patrzyła na mnie metalicznym okiem.

Spałem długo, cały wieczór i noc, obudziłem się dopiero następnego ranka, z ciężką głową wypełnioną wspomnieniami dziwnego snu. Wydawał mi się tak wyraźny, niezwykły, że nawet nie otwierając oczu, zacząłem go rekonstruować w pamięci.

Śniło mi się, że do dołu, w którym leżę, podeszli jacyś ludzie, obok położyli coś ciężkiego, osypując na mnie grudki ziemi. Potem ktoś krzyknął z góry:

– Ej, ty, gdzie wlałeś? Wstawaj!

Wierciłem się, coś burczałem i nie chciałem się przebudzić. Ponowne żądanie, żebym wyszedł z dołu, zabrzmiało władczo. W tonie, którym zostało wypowiedziane, wyłowiłem nutki budzące strach i przeczucie czegoś ważnego – tragicznego zdarzenia. Dalej śniło mi się, że na wpół obudzony wyszedłem z dołu i odszedłem na bok.

– Gdzie się pchasz, bydlaku? – usłyszałem głos.

– Ech, bracia Słowianie, nawet tutaj wlał – odpowiedział drugi.

Przedemną na pelerynie leżał zabity żołnierz. Jego twarz była osmalona, przy boku położono oderwaną rękę. Nieboszczyk nie wywołał we mnie żadnych emocji, na tyle zwyczajny i codzienny był to widok. W stanie ośpienia sennego, które mnie nie opuszczało, byłem wstrząśnięty czym innym. Flaga, która okrywała nieboszczyka, i słupek nagrobny leżący obok raziły w oczy swoim wściekle czerwonym kolorem, jaki można zobaczyć

jedynie w koszmarnym śnie lub w malignie. Ich jaskrawe powierzchnie, oświetlone zachodzącym słońcem, hipnotyzowały i przerażały. Było w tym coś szaleńczego, jakby się cieszyły – nie bacząc na nic i bez powodu – jakąś diabelską radością. Ogłupiały, stałem tak kilka chwil i patrzyłem, a zebrani patrzyli na mnie. Na koniec zobaczyłem u jednego z nich dystynkcje pułkownika i mechanicznie zasalutowałem mu, podnosząc rękę do pilotki... Niezły byłem! Płaszcz bez paska i patek, cały w glinie, w lewej ręce brudna menażka i worek z sucharami. Nieogolony, spuchnięty, z czerwonymi pręgami i plamami od podłożonego pod głowę na noc pniaka. Pułkownik chrząknął i odwrócił się.

– Uciekaj stąd! – zaczęto na mnie krzyczeć.

Odszedłem na bok, położyłem się w krzakach i usnąłem, zawinąwszy się z głową w płaszcz. Sen ciągnął się dalej i jak to często bywa, czułem się jednocześnie jego uczestnikiem i obserwatorem. Śniło mi się, że wcale nie leżę w krzakach, a na brzegu dołu, na pelerynie, i to ja jestem tym zabitym. Rozbrzmiewał nade mną niski głos, nazywając mnie z jakiegoś powodu Piotrem Ignatjewiczem Tarasowem. Opowiadał, że uczciwie wypełniłem swój obowiązek i przyjąłem śmierć jak przystoi człowiekowi rosyjskiemu. Potem ludzie całowali mnie w czarne czoło, zakryto mi twarz ścinkiem materiału i opuszczono do dołu. Trzy razy gruchnęła salwa, jakby ktoś rwał wielki kawał brezentu, i wszystko się skończyło.

Leżałem, nie czując ani strachu, ani współczucia dla siebie – raczej spokój. Wtedy dotarło do mnie, że już od dawna jestem gotowy na taki koniec, że już od dawna żyję w przeświadczeniu, że on nastąpi. Zrozumiałem, że strach, który wciskał mnie w ziemię i zmuszał do rwania jej paznokciami i szeptania spontanicznych modlitw, był zwierzęcy, a całą swoją człowieczą duszą byłem już po drugiej stronie. Pojąłem, że mój maleńki i słaby duch już dawno umarł. Odszedł wraz z tymi, którzy już nigdy nie wrócą.

Dotarło do mnie, że jeśli przetrwam tę wojnę, niczego to nie zmieni. Na zawsze zostanie przepaść między mną a nurtem życia, wszystko straci sens, przygniecione ciężarem przeszłości. Zrozumiałem wreszcie, że moje miejsce jest tu, w tym dole, obok innych dołów, w których leżą podobni do mnie. Po czym zagłębiłem się w błogi niebyt, przerwany dopiero poranną pobudką.

Kiedy skończyłem odtwarzać swój sen, zorientowałem się nagle, że leżę w krzakach, a nie tam, gdzie położyłem się wczoraj wieczorem. Zerwałem się na równe nogi i zobaczyłem świeżą mogiłę. Wieńczył ją jaskrawoczerwony

nagrobek. Podeszedłem bliżej i zauważyłem u dołu nagrobka blaszaną tabliczkę. Na niej napis:

„Lejtnant gwardii P.I. Tarasow. 1923-1944”.

SZPITAL

Szosa była szeroka i równa. To wznosiła się, to opadała w doliny, mijając malownicze zagrody, niewielkie zagajniki i jeziora. Ale najczęściej biegła przez las. Wschodzące słońce ukośnymi promieniami ozłacało pnie sosen, nocna mgła rozpływała się w zimnym powietrzu poranka. Rozległ się śpiew ptaków. W tym spokojnym królestwie, nienaruszonym żadnymi oznakami wojny, skradaliśmy się bezszelestnie w dół szosy. Dziesięciu zwiadowców z dywizji piechoty w kombinezonach maskujących i nas pięciu – lejtnant, dwóch artylerzystów i dwóch radiotelegrafistów. Niemcy cofnęli się, trzeba było ich dogonić i ustalić, gdzie znajdują się nowe pozycje wroga. Zadanie nie należało do przyjemnych – nie wiedzieliśmy, czy nie zaczną do nas strzelać z karabinu maszynowego albo nie walną z czołgu ukrytego w zasadzce. Istniało też inne niebezpieczeństwo.

Mogliśmy wdepnąć na zaminowany odcinek i pójść w diabły w kawałkach.

Szliśmy więc ostrożnie, przysłuchując się każdemu szelestowi i trzymając automaty gotowe do strzału. Zwiadowcy na przodzie – gęsiego, krok w krok, a my za nimi. Postanowiliśmy iść przydrożnym rowem, który był naszą jedyną kryjówką, a i wejście na minę było tu mniej prawdopodobne. Jednak nie tylko my byliśmy tacy mądrzy. Jak się okazało, ktoś już wtedy siedł przed nami. Natknęliśmy się na pięć poskręcanych ciał żołnierzy, a z przodu leżał szósty z naganem w ręce – młodszy lejtnant, widocznie dowódca, który prowadził swój pluton na zwiad. Trupy były zimne, z nocy. Półtorej setki metrów dalej w kałuży krwi na dnie rowu walały się łuski. Tu była zasadzka niemiecka. Kaemista z bliska wykończył naszych, ale sam został ranny i zabrali go towarzysze.

Poszliśmy dalej ze zdwojoną ostrożnością. Wzdłuż szosy leżały stosy

skrzyń, przykryte brezentem bochenki chleba, paczki koncentratu grochowego. Część obłana benzyną, reszta całkiem dobra. Niemcy porzucili tu w pośpiechu swoje zapasy. Ileż skarbów! Chciałoby się wszystko wziąć, wszystko by się przydało, ale przecież na plecach mam już ponad 30 kilogramów: radiostację, jedzenie, automat, naboje, granaty i inne rzeczy. Wsuwam do kieszeni dwie paczki zupy grochowej w proszku – cudowna rzecz! Idziemy dalej.

Słońce już wysoko na niebie, w zagajniku robimy postój. Zwiadowcy siadają w kółku, przerzucają się żartami. Wśród nich jest jedna dziewczyna, bardzo ładna. Zwracają się do niej słowami, z których można wywnioskować, że w tym maleńkim oddziale życie toczy się zgodnie z zasadami dziewiczego komunizmu. Wszystko jest wspólne i piękna Kat'ka oraz pozostawiona na tyłach Nataszka obdarzają zwiadowców swoją miłością. Postój jest krótki, idziemy dalej. Szosa znów zanurza się w przepiękny, sosnowy las. Sucha ziemia pokryta jest białym, chrzęszczącym mchem. Grzyby powinniśmy tu zbierać, a nie wojować!

Pierwsza mina wybuchła w oddali, druga i trzecia – bliżej, a czwarta – tuż przy nas. I chociaż wszyscy leżeliśmy plackiem na ziemi, trzech z nas zahaczyło. Jeden zwiadowca zabity na miejscu, drugi jeszcze rzeził, a mnie dosłownie jakby ktoś biczem smagnął po plecach: „Kurka wodna! Znów mnie raniło!”. Czuję, że niezbyt mocno, nie tracę przytomności. Panie Boże mój, ależ mi się szczęści! Kości nie są połamane, głowa i brzuch całe. Do tego drasnęło mnie nie na tyłach niemieckich, skąd trzeba by było z trudem się wydostawać, nie w ciężkiej walce, z której nie zawsze uda się wyczołgać pod ostrzałem, nie wśród trupów, brudnej ziemi i smrodu, a w prawie rajskim ogrodzie. Odchodzimy 50 metrów, chowamy się za stos przygotowanych przez kogoś drew. Zdejmuję koszulę. Żołnierz zakłada mi opatrunek, ale milczy. Po jego minie widzę, że plecy rozwaliło mi zdrowo.

– Możesz iść? – pyta plutonowy.

– Mogę.

– No, ruszaj do tyłu!

Zostawiam broń i cały dobytek. Okrywam się tylko peleryną – niezastąpionym wyposażeniem żołnierza. Ona ochroni i w deszcz, i w zamieć, i osłoni przed słońcem, i posłuży jako pościel albo namiot. I pochowają cię w niej, kiedy przyjdzie twój czas.

Odchodzę w tył, a plutonowy, kanalia, już bębni przez radiostację:

„Wpadliśmy pod ostrzał moździerzy, ranny radiotelegrafista. Zatrzymujemy się. Zwiad piechoty idzie dalej”. Wie, gadzina, że przed nimi są niemieckie karabiny maszynowe i wykorzystuje sytuację, żeby nie podkładać pod nie własnej głowy. Pieszy zwiad zostawił zabitych i ruszył już dalej.

No i jestem sam na szosie, którą łagodnie opromienia słońce. Wszystko przepływa teraz w odwrotnej kolejności: lasy, gospodarstwa, jeziora. A oto i niemieckie zapasy. Trzeba by wziąć coś do żarcia – nie wiadomo, co mnie czeka dalej. Ale nie udało się! Przy zapasach stoi wartownik i odpędza mnie karabinem. „No co ty, gadzino – mówię – gdzie byłeś, kiedy o te zapasy walczyliśmy? Nie trącaj mnie bronią! Żołnierza karabinem straszyć to to samo, co dziewczynę tym organem!” – przypominam sobie jedno z popularnych powiedzonek naszego starszego sierżanta. Wartownik jest nieubłagany, postawiono go tu na służbie. Nie będę się przecież z nim bił... Idę dalej.

Teraz pełno wokół naszych oddziałów. Jakieś kuchnie, warsztaty, samochody. Na polance dwóch dobrze odżywionych zuchów gra w siatkówkę. Zwinnie podają sobie piłkę. Czyści, rumiani, gładko wygoleni. I bluzy mają bez jednej plamki. Jakby wojny nie było.

Porażająca jest różnica między pierwszą linią, gdzie leje się krew, stale towarzyszy ci cierpienie i śmierć, nie możesz podnieść głowy spod gradu kul i odłamków, gdzie panuje głód i strach, praca ponad siły, upał latem, mróz zimą, gdzie nie daje się po prostu żyć – a tyłami. Tu jest inny świat. Tu są sztaby, ciężki sprzęt, magazyny, *miedsanbaty*. Niekiedy dolatują tutaj pociski albo samolot zrzuci bombę. Zabici i ranni są rzadkością. To nie wojna, a kurort! Ci, którzy walczą na pierwszej linii – to nie są żołnierze. To skazańcy. Jedynym ratunkiem dla nich jest odniesienie ran. Ci, co są na tyłach, zostaną pośród żywych, jeśli nie przerzucą ich na pierwszą linię, kiedy wyczerpią się szeregi nacierających.

Przeżyją, wrócą do domów i z czasem staną się podwaliną organizacji weteranów. Wyhodują brzuchy, dorobią się łysiny, udekorują pierś pamiątkowymi medalami, orderami i będą opowiadać, jak bohatersko walczyli, jak rozgromili Hitlera. Nawet sami w to uwierzą! Pogrzebią szlachetną pamięć o tych, którzy naprawdę walczyli i zginęli. Wojnę, o której sami wiedzą niewiele, przedstawią w romantycznej aureoli. To, że wojna oznacza strach, śmierć, głód, nikczemność – odejdzie na drugi plan. Zaś prawdziwi żołnierze frontowi, których można policzyć na palcach jednej ręki,

nawet ci oszalali, kalecy, będą trzymać buzię na kłódkę. Dowódcy, którzy również w większości przeżyją, pograżą się w kłótniach: ten walczył dobrze, ten słabo, a gdyby posłuchano mnie! Najpodlejszą rolę zaś odegrają dziennikarze. Na wojnie zbierali swój kapitał na trupach, żywili się padliną. Siedzieli na tyłach, za nic nie odpowiadali i tworzyli swoją perfumowaną propagandę. Po wojnie zaczęli wydawać książki, w których wszystko przekręcali i usprawiedliwiali, zapominając o podłości, która była podstawą życia frontowego. Wszystko, co niewygodne, zatuszowali i zalakierowali.

Na tyłach znacznie prościej jest się wyróżnić. Umiera się gdzieś na pierwszej linii, a relacje pisze się tu. Z jakiego powodu, na przykład, nasz pisarz sztabowy Pifonow czy Fiłonow (nie pamiętam dokładnie nazwiska) dostał Order Wojny Ojczyźnianej? Podczas walk nawet nie wytknął nosa z ziemianki. Bomba niemiecka dosięgła go dopiero podczas przejazdu na nowe pozycje. Niech Bóg będzie mu sędzią... A kierownik magazynu żywnościowego brygady (nie znam jego nazwiska) za jakie czyny dostał dwa Ordery Czerwonej Gwiazdy? Przecież całą wojnę przesiedział między chlebem, słoniną i konserwami. Teraz zapewne jest wielkim weteranem! A Wit'ka Wasiljew – niewydarzony aktor, po wojnie wyrzucony z teatru za alkoholizm – został kierownikiem sklepu z warzywami (trzeba przecież za coś pić!), dostał dwa ordery za dwa złote zegarki, które podarował dowódcy brygady. Teraz po kątach rozpowiada o swoich wyczynach.

Wyczerpany i słaby, dochodzę w końcu do sztabu naszej brygady. Powinien być tu gdzieś lekarz. Na razie widzę jedynie dowódcę brygady. Bawi się ze swoją żoną w berka, biegają wokół samochodu i śmieją się. Żona przyjechała do niego na front w odwiedzinach z córką. Dlaczego by nie, skoro życie na tyłach wygląda jak sanatorium? Pojawia się też córka. Ubrana po wojskowemu.

Znajduję w końcu naszych medyków. Zdejmują mi bandaż, doktor kiwa głową i orzeka:

– Rana jest poważna. Potrzebna jest operacja i leczenie szpitalne. Można by cię wysłać do naszej kompanii sanitarnej, ale została w tyle i nie wiadomo, gdzie jest teraz. Pojedziesz do szpitala!

...mać! Z godziny na godzinę gorzej! Pojadę do szpitala, a potem znów trafię do piechoty! Nie chcę zdychać. Rzucam się do dowódcy brygady:

– Zostawcie w naszym oddziale!

Jest zadowolony. Co za patriotyzm! Jacy bohaterowie są w brygadzie,

którą dowodzi! Jednak lekarz nalega, wsadzają mnie na ciężarówkę, która mknie do szpitala, 50 kilometrów od frontu. Jadę z obawą o swój los i jednocześnie zaczynam marzyć o przyjęciu, jakie mnie czeka: oddadzą mnie w ręce dobrego lekarza, zrobią operację, umyją, nakarmią i zasną, i będę spać trzy doby, a potem zobaczymy.

Szpital znajdował się na skraju lasu w kilku ogromnych namiotach. Wzięto ode mnie dokumenty, wskazano oddział operacyjny i powiedziano:

– Czekaj tu. Najpierw opatrują ciężko rannych, potem resztę.

Ciężko ranni leżeli na noszach, niektórzy milczeli, niektórzy jęczeli i przeklinali. Było ich sporo. Obok siedzieli w różnych pozycjach żołnierze z lżejszymi ranami. Przy niewielkim dymiącym ognisku trzech popalało papierosy – jeden z obandażowanym okiem, drugi ranny w nogę, trzeci z ręką na temblaku.

– Ej, Słowianin! Chodź do nas! Do ognia! – zawołali mnie.

Przysiadłem się.

– Co – powiedział jednooki – myślałeś pewnie, że zbiegnie się do ciebie od razu cały personel i będzie cię opatrywał, tańczył wokół ciebie? Figa z makiem! Mnie wczoraj wybiło oko, czekam i czekam! Żreć nawet nie dadzą! Masz, zapal!

No to wpadłem jak śliwka w kompot. Nie ma rady – siedzę, czekam. Żreć się chce. Na szczęście przypomniały mi się paczki z zupą grochową, które miałem w kieszeni. Znajdujemy pustą puszkę po konserwie, gotujemy purée i zajadamy ze smakiem.

Od razu zrobiło się przyjemniej. Popłynęła nieśpieszna żołnierska rozmowa przy ognisku. Każdy z nas mówił o sobie, ale stopniowo wyłowilem lejtmotywy naszej rozmowy, w których przewijały się trzy najważniejsze problemy życia wojennego: śmierć, jedzenie i seks.

Jednooki:

„Ja, chłopaki, już drugi raz jestem w tym szpitalu. Och, a jakie tu baby! Zwłaszcza jedna siostrzyczka, Zamokszyna. Cud miód, trzydzieści pięć lat. Ogień! Witamina! Zapoznaliśmy się w kącie namiotu za zasłonką. Patrzę – siedzi, zwija bandaż, kolanka rozsunała, po migdałki widać! I na beli z watą zaczął się nasz romans. Tyle że krótki. Moja przyjaciółka zaczęła głośno pojękiwać i popiskiwać. Nakrył nas naczelny lekarz i wrzeszczy: «Znów, Zamokszyna, rozrabiacie! Dziesięć dni aresztu! A ciebie, gołąbeczku (to do mnie), niezwłocznie wypisuję ze szpitala!»”

Kulawy:

„Wygarnęli my, wiecie, z kurnika trzy kury i indyka, ugotowali w wiadrze i zeżarli. Pomyśleć, we dwóch! A rosół – jak bursztyn, gęsty, pachnący – już nie wchodzi! Musieliśmy wylać! Sto lat pamiętać będę!”

Jednooki:

„Ale do swojego oddziału nie od razu poszedłem, puściłem oko do Zamokszyny: «Chodź – mówię – w krzaczki!». Urządziliśmy się tam nieźle i znów nieszczęście! W najlepszym momencie sanitariusz (jest tu taki szczur tyłowy, obibok jeden, jego mać, kark spasiony), nie poszedł parę metrów dalej do dołu, tylko wyrzucił w krzaki, nam prawie na głowy, odpadki z sali operacyjnej – a tam jelita, pokrwawione bandaże, tampony. Zamokszyna przewraca oczami, nic nie widzi, ryczy, drapie. A mnie opadły wszelkie chęci – pod samym nosem leży obcięta noga, całkiem świeża, jeszcze sączy się z niej krew. No i wyszedłem ze szpitala z rozstrojem nerwowym.”

Kulawy:

„Przyszli my zaś na chutor – gospodarza nie ma. Przetrząsnęli my cały dom – pusto. Dębowe drzwi do składziku zamknięte, to my – młoty w ręce i łup, łup! Ale okrutnie są mocne. Jak raz usłyszał hałas szef sztabu i leci:

– A wy co, archarowcy^[44], tak tu walicie?!

– Melduję, towarzyszu pułkowniku, że chcemy sprawdzić, czy tam szpiegów nie ma!

– Ach tak, no to dalej!

Rąbnęli my jeszcze parę raz, drzwi wyleciały, a w składziku – szynki, kiełbasy, grzybki marynowane! Oż ty! Aśmy się nażarli! Sto lat pamiętać będę!”

Bezręki:

„Pod Woronowem piechota, najwięcej smoleńskiej, oddała się w niewolę. Nie chcieli umierać – myśleli, że Niemcy puszcza ich do domu. A Niemcy ich, gołębeczków, trzystu ludzi, wykończyli z karabinów maszynowych – żeby nie mieć z nimi kłopotu czy jak. Ogromny dół pełen nieboszczyków. Drugi taki wypadek zdarzył się w małej wsi Ołomna nad Wołchowem, okupowanej przez Niemców w czterdziestym pierwszym. Wyszli z lasu nasi, też trzystu ludzi. Uzbrojeni, ubrani, obuci, najedzeni. Dopiero co z tyłów – uzupełnienie. Niemcy narobili w spodnie, bo w garnizonie we wsi było wszystkiego trzydziestu ludzi. Ale okazuje się, że Iwany przyszły oddać się w niewolę! Wtedy Oberleutnant, komendant garnizonu, rozkazał wszystkim

złożyć broń na kupę, zdjąć półkożuszki i walonki. Potem odważnych wojaków odprowadzono na skraj lasu i zastrzelono. «Komu tacy potrzebni – powiedział Oberleutnant – swoich zdradzili, to i nas mogliby zdradzić...»

Jednooki (rozmarzony):

„Co, chłopaki, żeby tak wrócić cało, och, dopiero bym pożył! We wsi z chłopów zostaliśmy ja i beznogi Kuzia harmonista! Z Kuzią po wojnie obrabialiby my wszystkie baby! Żyć nie umierać! Dziś idziesz do jednej, a ona ci daje placka, pół litra, i oczywiście jutro – do następnej. Przyjaciela Kuzię wozilibym na wózku, resztę niech sam załatwia. Oprócz nóg wszystko ma całe, a ogier z niego, że ho, ho! Pracowałyby i na harmoszcze pogrywał. I tak odnowiliby my męskie pogłowie, narodziłyby ojczyźnie nowych żołnierzy!”

Kulawy:

„Posłuchajcie no, co mi z domu piszą. Mojego sąsiada, Proszkę, postawnego przystojniaka, popędzili na wojnę na samym początku. W pierwszej walce dostał. W szpitalu amputowali mu obie ręce do ramion i nogi do pachwin. Został samowarek. Pewnikiem zgniłby w jakimś domu dla inwalidów, jak inni biedacy, gdyby nie Maria – młoda wdowa z naszej wioski. Swoim babskim rozumem pojęła, że wojna pewno będzie długa, chłopów nie zostanie wielu i będzie kukać samotnie do końca swoich dni.

Zabrała Proszkę ze szpitala. Przywiozła do domu, wbiła gwoździe w ścianę i zawiesiła na nich worek z Proszką. Wisi tam nakarmiony, umyty, uczesany, nawet ogolony. Maria wynosi go na spacer, a kiedy przychodzi wieczór, wyciąga go z worka i kładzie do swojego łóżka. Wszystko u nich idzie, jak trzeba. Już jeden strzał buja się w kołysce, drugi – w planach. I kołchoz Maszce pomaga, daje jej wszelkie ulgi: poważna sprawa taki inwalida w domu, z orderem na worku. Maria promienieje, jest zadowolona. Zawszeć to chłop pod ręką – nie pójdzie do innej, nie zapije. Przy świętach sama mu stawia butelkę na poprawę humoru. Mówią, że Proszka odżył, wisi na swoim haku, śpiewa piosenki i pogwizduje... Tak, tak, braciszkanie.”

Bezręki:

„A jeńców często cięli bagnetami, bili drutem kolczastym, kłuli gwoździami, palili albo gołych na mrozie oblewali wodą. Cywilów też, i kobiety, dzieci... Nie jacyś tam esesmani, a zwyczajni żołnierze. Wszyscy tak robili.”

Kulawy:

„Patrzmy, przyjechał jakiś oddział, ładują worki i skrzynie. No i, trza powiedzieć, dwa worki zwinęliśmy. W jednym – kiełbasa, w drugim – stare buty. A oddział – okazało się – specjalny! No to żeśmy narobili w spodnie ze strachu. Jasne, że buty odnieśliśmy z powrotem na miejsce. Ale kiełbasę zeżarliśmy. Co zrobić?”

Bezręki:

„Idę jakoś wiosną czterdziestego drugiego w oblężonym Leningradzie, ledwie powłóczę nogami. Nagle mija mnie ciężarówka. Ostro zakręciła, zapiszczała, a z paki się posypało. Patrzę – zamrożnięte trupy. Leży na pace stos ciał, a po rogach postawione dwa dla podpórki. «Stój – krzyczę do kierowcy – gadzino! Zbieraj!» A on odpowiada: «Nie mam czasu, idź do dupy!»”

Jednooki:

„Wziął ja butelkę białego i pół butelki czerwonego i poszedłem do Fieńki. Zachodzę, siedzą z koleżanką, jak je Pan Bóg stworzył, nachlały się wińska do nieprzytomności. Nie spudłowałem...”

Kulawy:

„A pod Pogostjem w zaspie siedział jeden, ręce rozłożył, w rękach bandaż trzepotał się na wietrze. Chciał, widocznie, przewiązać ranę, a go dobiło. I tak zamarł.”

Bezręki (przerywając innym i nie słuchając nikogo): „Jakoś tak w styczniu czterdziestego drugiego, pod Miasnym Borem, przypędzili z Syberii uzupełnienia: batalion narciarzy, pięciuset chłopaków po 17-18 lat. Rośli, silni, wysportowani komsomolcy – krew z mlekiem. Wszyscy w nowych półkożuszkach, walonkach, z automatami w rękach. Rwą się do walki. A na drodze akurat stanął im niemiecki punkt oporu – wioseczka na wzniesieniu, jak pępek stercząca wśród gołych pól. W fundamentach domów stanowiska ogniowe, karabiny maszynowe, moździerze, dwa rzędy okopów. Zaś wokół wioseczki 700 metrów otwartego, ośnieżonego pola. Pokonanie tego odcinka jest niemożliwe, Niemcy wszystko ostrzeliwują. Natarcie się zatrzymało.

I oto pijany generał, bez rozpoznania, bez planu, wydaje rozkaz narciarzom: «Naprzód!! Zdobyć wieś!». Batalion pędem, z rozbiegu, z okrzykiem: «Hurraaaaa!!!» wyskoczył na pole przed wsią. Ślizgali się na nartach jakieś 200 metrów, jakby siłą bezwładu, a po 10 minutach na śniegu zostały jedynie trupy. Batalion uległ zagładzie. Jeszcze ruszali się jacyś ranni, ale Niemcy dobijali ich ze swoich kryjówek. Ci, którzy przestali się ruszać,

wkrótce zamarzli. Nikomu nie udało się wyczołgać. Sanitariusze, którzy odważyli się pójść po nich na pole, też zginęli.

Historia na tym się nie skończyła. Kiedy tydzień później zdobyliśmy wioskę, zachodząc ją od tyłu, w łaźni znaleźliśmy ogromny stos odrąbanych nóg. Nikt niczego nie mógł zrozumieć. Miejskowa babka wyjaśniła, że Niemcy, naród bardzo oszczędny i starowny, nie mogli znieść takiej niegospodarności – na polu marnowały się nowe walonki i półkożuszki. Oficer rozkazał żołnierzom pozbierać ten cenny dobytek, tym bardziej że z zimowym umundurowaniem było u Niemców nie najlepiej. Jednak z zeszywniałych na mrozie trupów nie dało się zdjąć walonek. Wtedy jakiś niemiecki spryciarz zaproponował, żeby odrąbać zabitym Iwanom nogi i rozmrozić je w łaźni. Wożono ten niezwykle ładunek na wozie jak drwa na opał...”

Kulawy:

„Ech, chłopaki! Dobrze byłoby koninki ugotować!” Bezręki:

„Czy pamiętacie, jak w sierpniu czterdziestego pierwszego pod stacją Głazewo pułk cofnął się bez rozkazu? Przyjechali jacyś ciężarówką, postawili dowódcę pułku, szefa sztabu i innych dowódców pod murem cerkwi (wtedy jeszcze była cała), rozstrzelali i odjechali. Raz-dwa i gotowe.” Nagle głośno zajęczał ranny w głowę plutonowy. Dotąd jedynie charczał i puszczał bąble ustami. Lekarze zostawili go, by umierał, a zajęli się tymi, których dało się jeszcze ratować. Bezręki, odwróciwszy się w stronę noszy, powiedział: „Przecież ja go znam! To nasz zwiadowca – zuch chłopak! U nich tam wszyscy ryzykanci. W zeszłym tygodniu szli ścieżką na zadanie, a tu wierzchem na ogierze wyskakuje im naprzeciw kapitan – dowódca magazynu aprowizacyjnego. Zasiedział się na tyłach, krew w nim się burzy, a i spirytusik wrze: «Precz z drogi!». Prawie dosięgnął plutonowego nahajką po mordzie. Reakcja zwiadowców była błyskawiczna. Rozległ się świst, krótka seria i droga opustoszała. Chłopaki jak fatamorgana rozplynęli się w krzakach. Szukaj wiatru w polu. A kapitan, parszywa gnida, siedział na swoim ogierze z przestrzeloną dłonią”.

W tym czasie pod namioty szpitalne zajechała amfibia gąsienicowa pełna rannych. Przecież oni są z naszej brygady! Amfibia też. Kiedy wynoszono rannych na noszach, podbiegłem do znajomego kierowcy i wrzasnąłem:

– Słuchaj, no! Zabierz mnie stąd! Ja tu zginę!

On na to:

– Wsiadaj do kabiny.

Moja błyskawiczna reakcja, wiem to teraz, była jedyną słuszną decyzją – uratowała mi życie. Po godzinie byliśmy na pozycjach naszej brygady. Lekarz długo kłął i przygotowywał się do operacji.

– No cóż, sam się o to prosiłeś! Nie mam nowokainy, będziesz cierpieć.

Usiadłem pod świerkiem, dali mi wódki i lekarz nożyczkami, bez narkozy, raz, dwa, trzy, cztery – rozciął mi plecy. Zapewne w ten sposób leczono już w Legionach Juliusza Cezara. Czy można sobie wyobrazić, jak to jest? Nie można! I nie daj Bóg tego doświadczyć... Po kilku chwilach z bólu prawie straciłem przytomność. Ranę rozcięto, spod łopatki wyjęto odłamek wielkości monety trzykoplejkowej, cały w kaczym puchu i strzępach szmat. (Pod bluzą nosiłem „dla ogrzania” zdobyczną kamizelkę puchową.) Potem lekarz wyczyścił i posmarował ranę jakimś paskudztwem, znów bolało.

– Prawie zahaczyło o kość łopatkową. Jeszcze pół centymetra i miałbyś przebity kręgosłup, byłoby po tobie. Jesteś w czepku urodzony!

Potem opatrzyli ranę, dali jeszcze wódeczki i spokojnie mnie puścili: „Odpoczywaj!”. Kucharz odpalił mi menażkę kapuśniaku na mięsie, ale zjadłem go bez apetytu. Położyłem się w dołku, owinałem peleryną i przespałem jak zabity piętnaście godzin. Następnego dnia moje samopoczucie było doskonałe. Miałem tylko jedną myśl: gdzie by tu zdobyć coś do jedzenia. Problem rozwiązał się szybko. Koledzy przynosili mi chleb, miód, konserwy, świeżą marchewkę z pola. Zaczął się mną opiekować listonosz pułkowy Pietrow – około dwudziestoletni chłopaczek o twarzy staruszka. Miał wybite wszystkie zęby (w bójce?) i usta mu się zapadły, jak u stuletniego dziadka. Troszczył się o mnie troskliwie, kopał na noc dół dla nas dwóch i spaliśmy, wzajemnie się ogrzewając.

Listonosz, który wydawał mi się taki miły, w końcu wojny okazał się maruderem i gwałcicielem. Gdy byliśmy już na terenie Niemiec, opowiedział mi, jako stary przyjaciel, ile złotych zegarków i bransoletek udało mu się zrabować i ile Niemek zmarnował. Właśnie od niego usłyszałem pierwszą z serii niekończących się opowieści na temat „nasi za granicą”. Ta historia początkowo wydała mi się dziwnym wymysłem, potem mnie oburzyła i dlatego na zawsze wryła się w moją pamięć:

„Przychodzę do baterii, a tam brać artyleryjska przygotowuje ucztę. Od działa nie wolno im odejść, więc wprost na łożu działa lepią kołduny ze zdobyczej mąki. Przy drugim dziale zabawiają się po kolei z Niemką, którą

skądś tu przyciągnęli. Starszy sierżant rozgania ich kijem:

– Przestańcie, stare durnie! Co wy, zarazę chcecie wnuczkom zawieźć?!

Zabiera Niemkę, odchodzą, a po dwudziestu minutach wszystko zaczyna się od początku.”

Kolejna opowieść Pietrowa:

„Przechodzę obok gromady Niemców, wypatruję jakiejś ładniejszej babeczki i nagle widzę: stoi *Frau* z córką około 14 lat. Ładniutka, a na piersi napis: «*Syphilis*», przeznaczony dla nas, żebyśmy nie ruszali. Ach, ty, gadzino, myślę. Biorę dziewczynkę za rękę, mamuśce automatem w ryj, i w krzaki. Sprawdzimy ten twój syfilis! Dziewczątka okazało się apetyczne.”

Nie odczuwałem szczególnych niewygód z powodu mojej rany. Nocami spałem, dniami włóczyłem się po okolicy, rozwalałem zapuszczone ule, zbierałem porzeczki, rwałem marchewkę, obijałem się przy kuchni. Żeby tak udało się przehuścić całą wojnę!

W kuchni dowodził chudy chłopaczek, plutonowy Dzema, który umiejętnie okradał żołnierski kocioł. Mieszkał w ciężarówce z żywnością, spał na workach z kaszą albo na skrzynkach z konserwami. Pewnego ranka grzałem się na słońcu, osłonięty od wiatru za furgonem aprowizacyjnym. Nagle rozległ się straszny huk, posypały się konary drzew. Przez wyrwane odłamkiem drzwi furgonu wypadł na ziemię martwy Dzema. Obok skręcał się w konwulsjach zakrwawiony drugi żołnierz. Duży odłamek rozerwał mu nogę przy biodrze, krew lała się strumieniem i widać było, jak uchodzi z niego życie: twarz zrobiła się szaropopielata, wargi posiniały, wzrok zmętniał. Przybiegł skądś szybko instruktor sanitarny i zaczął wprawnie zakładać opaskę, żeby zatrzymać krwotok. Wybuch był jakiś podejrzany. Rozejrzałem się wokół i zauważyłem w odległości 100 metrów od nas 7 6-milimetrowe działo, wokół którego krzątała się obsługa, przygotowując się do oddania strzału. Biegnę tam jak błyskawica, łapię za kłapy młodziutkiego, sztykownego młodszego lejtnanta (na pewno dopiero co skończył szkołę) i drę się:

– Co robisz, bydlaku? Gdzie strzelasz?!

Lejtnant odszczekuje zdumiony:

– Jak ze mną rozmawiacie?! Pójdziecie pod trybunał!!!

– Patrz, k...!!! – wrzeszczę, że zgrzytem otwieram rygiel działa i pokazuję palcem w lufę.

W otworze lufy, jak w lunecie, widać gałęzie drzewa rozpościerające się

nad naszą kuchnią.

– Gdzie cię, ofermo, uczyli strzelać? Najpierw powinienes oczyścić sektor ostrzału! To podstawa! Toż ty, gadzino, właśnie zabiłeś dwóch ludzi!

Lejtnant blednie, żołnierze stoją z opuszczonymi głowami. Pocisk się rozerwał, nie dolatując do celu, zaczepił o gałąź.

Nie wiem, czym się to skończyło. Zapewne sprawę zatuszowano, żeby nie było skandalu. Dzemę pochowaliśmy, a po pięciu miesiącach okropnie brzydka kucharka, dziobata Mordwinka z krzywym nosem, urodziła bliźnięta, które Dzema zdążył upichcić jej przed śmiercią. Poród odbył się na froncie, bo kucharka postanowiła ukrywać swój stan do ostatniej chwili.

Przy kuchni przeżyłem około dziesięciu dni. Walki się nasiliły. Pociski coraz częściej dosięgały tyłów, a nocami samoloty zarzucały podczas nalotów wszystko wokół gradem drobnych bomb. Podczas kolejnej zmiany opatrunku lekarz mi powiedział:

– Wystarczy, gołabeczku, tego wałęsania się, jeszcze cię tu dobiją. Powinienes leczyć się długo, może dwa miesiące, a może i trzy. Idź do naszej kompanii sanitarnej, przyjechała wczoraj.

Więc poszedłem.

STARSZY SZEREGOWIEC GWARDII KUKUSZKIN, CZYLI JAK PO RAZ OSTATNI WALCZYŁEM O NAJWYŻSZE IDEAŁY

Ludzie, którzy naprawdę walczyli na wojnie, bezwarunkowo powinni albo zginąć, albo trafić do szpitala. Nie wiercie tym, którzy mówią, że przeszli całą wojnę bez jednej rany. To znaczy, że albo wałęsali się na tyłach, albo sterczeli przy sztabie.

Mnie ratowało od śmierci nie tylko szczęście, ale – głównie – odniesione rany. W krytycznych momentach pomagały mi uciec spod kul. Ranienie – byle nie w brzuch i nie w głowę, bo równało się to śmierci – było szczęśliwą okolicznością! Idziesz na tyły, tam cię myją, przebierają, kładą na czystym prześcieradle, karmią, poją. Ładniutkie siostrzyczki troszczą się o ciebie. Ty śpisz, odpoczywasz, zapominasz o śmierci. O zranieniu żołnierze marzyli jak o urlopie. O lekkim. Najskrytszym marzeniem była nie bardzo poważna rana, ale taka, żeby stanowiła wystarczający powód do demobilizacji. Na przykład, jeśli oderwałoby lewą dłoń (prawa jest bardziej potrzebna) albo stopę! Lecz to przytrafiało się niewielu. Moje rany na szczęście były niezbyt ciężkie i dzięki nim, używając trafnego określenia wojskowego, przekolebałem się w szpitalu dziewięć miesięcy z czterech lat służby. Czyli jedna piąta wojny mnie ominęła. U innych ten okres był jeszcze dłuższy.

Szczególnie skutecznie przypieczętował mnie tenże odłamek, który przeszył mi plecy pod łopatką tuż przy kręgosłupie: „Pół centymetra do śmierci” – jak powiedział lekarz. Zgodnie z diagnozą medyków powinienem był wyzdrowieć w ciągu czterech miesięcy. Mój organizm poradził sobie

o wiele szybciej – po dwóch miesiącach wszystko zagoiło się „jak na psie”, jak mówili ranni koledzy. Byłem zdrowym chłopakiem, wałęsałem się po kompanii sanitarnej, więc pomagałem lekarzom w czasie napływu rannych, wypełniałem druczki, opatrywałem lżejsze rany. Personel medyczny był zadowolony, ponieważ wszyscy mieli roboty aż nadto, pracowali bez przerwy tygodniami. Mnie przypisano do tak zwanego OR – oddziału rekonwalescentów.

Był to osobliwy pododdział. Od siedemdziesięciu do stu krzepkich obiboków z gojącymi się ranami. Niektórzy nosili ręce na opaskach, inni chodzili o kulach, jeszcze inni z plastrem na piersi, plecach lub zadku, byli tu też chorzy na furunkulozę^[45] czy poparzeni – z czarną głową, w strupach, z białymi oczami i zębami. Ten ostatni kontyngent składał się w większości z wielbicieli rozpalania piecyków prochem artyleryjskim. Odrobinka pali się powoli, ale wystarczy nieostroźnie zapalić trochę więcej – i powala cię wybuch, przed którym nie ma szans uciec.

Wśród rannych była przede wszystkim młodzież – zwiadowcy, łącznościowcy, radiotelegrafiści – z pierwszej linii, z samego dna piekła. Chłopcy obcy, widzieli niejedno. Kilometrami czołgali się na brzuchu pod Pogostjem i Siniawinem, dobrze wiedzieli, co to śmierć i z pogardą odnosili się do „szczurów tyłowych” – szczególnie do personelu szpitalnego. Bardzo trudno było sobie z nimi poradzić. Na przykład pewien plutonowy gwardii, brzęknąwszy tuzinem medali na piersi, posłał do diabła bardzo dobrego człowieka – dowódcę kompanii sanitarnej kapitana Michaiła Ajzykowicza Goldfelda. I dodał: „Kładę na niego lachę!”. (Kapitan próbował zlecić plutonowemu jakąś robotę gospodarską, bo brakowało rąk do pracy.)

Innym razem nieopatrznie przydzielono do czarującej dentystki, lejtnanta Lidii Nikołajewny, młodego i dzielnego zwiadowcę, kawalera Orderu Sławy drugiej klasy – w charakterze ordynansa. Kiedy Lidia Nikołajewna, miło się uśmiechając, poprosiła go o wyczyszczenie butów, on odpowiedział jej basem: „I co jeszcze?”. Po czym dodał, żeby kopnęła się do swojego generała majora, który nagroził ją orderem i medalem za „usługi dla ludności”. „Niech on czyści” – rzucił nasz bohater. Rzeczywiście Lidia Nikołajewna, mówiąc językiem cywilnym, miała romans z generałem majorem. A mówiąc po wojskowemu, była PŻP dowódcy. Ma się rozumieć, na tym kontakty nowego ordynansa i Lidii Nikołajewny się zakończyły, i on, niedoleczony, pojechał na pierwszą linię do swoich, do zwiadu.

Takich wypadków było mnóstwo. Mądry doktor Goldfeld znalazł na nie radę. Na dowódcę oddziału rekonwalescentów wybrano spośród jego składu jakiegoś starszego sierżanta, za którego pośrednictwem przekazywano rozkazy. Swojego słuchali i jakoś szło. Ale w końcu starszy sierżant wyzdrowiał i odjechał na front. Na jego miejsce dowództwo znalazło nowego kandydata – mnie. Moje leczenie miało być długotrwałe, poza tym według dowództwa byłem człowiekiem raczej przyzwoitym.

Dla oddziału byłem swój. Z większością znałem się jeszcze z lat 1941-42. Z wieloma związany byłem, można tak powiedzieć, więzami krwi: podczas walk ratowaliśmy się wzajemnie, dzieliliśmy się ostatnim sucharem. Oczywiście stałem za nimi murem, a oni nigdy mnie nie zawiedli. Starłem się prowadzić sprawy mądrze. Na przykład dowódca rozkazuje wystawić nocą sześć posterunków dla ochrony namiotów kompanii sanitarnej. Odpowiadam: „Tak jest!”, kreślę wspaniały plan ochrony i obrony obiektów z oznaczeniem sześciu posterunków, sektorów ostrzału i innymi wytycznymi. Plan zostaje zatwierdzony, podpisany. Potem idę do chłopaków, mówię:

– Trzeba by po kolei pokomarzyć przed namiotami, a nuż nagle Fryce nas odwiedzą...

Wszyscy rozumieją, że taka jest konieczność. Wieczorem któryś bierze automat pod pachę i wychodzi na zewnątrz posiedzieć i popalić półtorej godziny. Potem budzi następnego i żadnych sześciu posterunków nie trzeba – jeden zwiadowca równy jest dwudziestu posterunkom. Wspaniale. Dowództwo zadowolone, ludzie śpią.

Innym razem przychodzi do mnie miły, wąty kierownik apteki, starszy lejtnant Aaron Morduchajewicz, patrzy przez grube okulary i wstydliwie prosi, żeby pomóc mu urządzić aptekę.

– Aaronie Morduchajewiczu, a jak z paliwem?

– Będzie, będzie! – mówi radośnie.

Pytam chłopaków, czy któryś z nich był w dawnym życiu cieślą. Okazuje się, że trzech. Proszę ich, by pomogli aptekarzowi, który obiecał spirytusik. Chłopaki robią dekoracyjne meble do apteki. Wszyscy są zadowoleni.

Moja działalność wojskowo-dyplomatyczna trwa i przyklejam się do kompanii sanitarnej na długo. Obowiązków prawie żadnych. Raz dziennie zdaję raport o liczbie ludzi, o wypisanych i nowo przybyłych, przekazuję drobne rozkazy i to wszystko. Rana już też się zagoiła, a ja wciąż rżnę głupka na tyłach. Jednak chłopcy nie krytykują mnie. Raz podsłuchałem, jak

rozprawiają nad moją synekurą. Jednogłośnie zdecydowali: „Jemu wolno, swoje już wyczołgał!”. I żyjemy tak dalej.

Nasze wojska tymczasem przekroczyły granicę Niemiec. Teraz wojna pokazała jeszcze jedno – zaskakujące dla mnie – oblicze. Wydawałoby się, że doświadczyłem wszystkiego: śmierci, głodu, ostrzałów, pracy ponad siły, zimna. Otóż nie! Było coś strasznego, co mnie dobiło ostatecznie. W przeddzień wejścia na terytorium Rzeszy do oddziałów frontowych przyjechali agitatorzy. Niektórzy wysokiej rangi.

– Śmierć za śmierć!!! Krew za krew!!! Nie zapomnimy!!! Nie wybaczmy!!! Pomścimy!!!

Napracował się nad tym solidnie Erenburg[46], którego napuszone, agresywne artykuły czytali wszyscy: „Tato, zabij Niemca!”. I staliśmy się tacy sami, jak naziści. Co prawda, tamci rozrabiali planowo: utworzyli sieć gett, obozów, stworzyli protokoły i zestawienia zagrabionego majątku, rejestr kar, planowe egzekucje i tak dalej. U nas poszło po słowiańsku, żywiołowo. Bijcie, chłopaki, palcie, głuszcie!

Marnujcie ich kobiety! Oprócz tego przed ofensywą sowicie zaopatrzone wojska w wódkę. I poszliśmy. Jak zawsze – ucierpieli niewinni, jak zawsze – góra czmychnęła. Bezmyślnie palono domy, strzelano do przypadkowych staruszek, zabijano stada krów. Niezwykle popularny był pewien dowcip: „Siedzi Iwan obok płonącego domu. Co robisz? – pytają go. – A, onucki chciałem wysuszyć, ognisko rozpałiłem...”. Niemcy to hołota, ale dlaczego się do nich upodabnialiśmy? Armia się poniżyła. Naród się poniżył. To było na wojnie najstraszniejsze.

Trupy. Na dworzec w mieście Allenstein [Olsztyn], które waleczna konnica generała Orlikowskiego zdobyła, zaskakując przeciwnika, przybyło kilka pociągów z uchodźcami niemieckimi. Myśleli, że jadą na tyły swoich, a trafili. Widziałem skutki powitania, jakie im zgotowano. Perony były zavalone stertami wypatroszonych walizek, tobołów, teczek. Wszędzie ubrania, dziecięce zabawki, rozprute poduszki. Wszystko to w kałużach krwi.

„Każdy ma prawo wysłać do domu raz w miesiącu paczkę o wadze dwunastu kilogramów” – oficjalnie oświadczyło dowództwo. I zaczęło się! Pijany Iwan wpadał do schronu, walił automatem w stół i, przerażająco wybałuszając oczy, darł się: „Uhhrrrr[47]!”. Wystraszone Niemki niosły ze wszystkich stron zegarki i wrzucały je do żołnierskich plecaków. Wsławił się jeden żołnierz, który zmusił Niemkę, by trzymała świeczkę (nie było

elektryczności), podczas gdy on grzebał w jej skrzyniach. Grab! Łap! Ten rabunek ogarnął wszystkich jak zaraza. Potem już się opamiętali, ale za późno: dzin wyskoczył z butelki. Dobrzy, spokojni mężczyźni rosyjscy stali się potworami. Byli straszni w pojedynkę, a w masie zachowywali się tak, że nie da się opisać.

Kiedy wdarliśmy się w „leże dzikiego zwierza”, jak głosił napis na granicy z Niemcami, nasz oddział też przeniknęła ta ogólna prawidłowość. Zaczęły się wyprawy żołnierzy po rupiecie, wycieczki do Niemek i nie było siły, która by ich powstrzymała. Przekonywałem, błagałem, groziłem... Odsyłali mnie do diabła i zwyczajnie nie rozumieli, o czym mówię. Oddział wyrwał się spod kontroli.

W Allensteinie rozlokowaliśmy się w domu porzuconym przez właścicieli. Z jednego pokoju musieliśmy wynieść trupa staruszki leżącego w kałuży krwi. Wszystkie meble i przedmioty były na swoich miejscach. Panowała tam niezwykła czystość, zadziwiała wielość wszelakich sprzętów. W kuchni błyszcząły kafle, na każdej puszcze był napis informujący o przechowywanym w niej produkcie. Stała specjalna waga służąca do odważania składników. W solidnej biblioteczce w gabinecie poustawiano grube książki w drogich oprawach, a za nimi w skrytce leżały schowane, jak w każdym porządnym niemieckim domu, pocztówki pornograficzne. W mieszkaniu – kilka wanien, dla każdego osobna łazienka: dla mamy, dla taty, a dla dzieci – mniejsze pokoiki. Garnki przykryte bielutkimi wykrochmalonymi okrągłymi serwetkami, na których wymyślnym gotykiem wyszyto moralizatorskie maksymy: „Wytrwałością i pracą ludzie się bogacą”, „Niech żyje pilność, precz z lenistwem”. Strach podejść do takiego sterylного przepychu.

Obok kuchni znajdowała się mała ciemna spiżarnia. Stały w niej na półkach naczynia, znalazłem tam wspaniały sewrski porcelanowy serwis obiadowy na wiele osób i inne piękne rzeczy. Leżały poukładane równiutko obrusy i serwetki z płótna holenderskiego.

Żołnierze porozkładali się na luksusowych łóżkach gospodarzy. Nieśpiesznie, ze smakiem omówili, co robił gospodarz z gospodynią pod miękką pierzyną, i usnęli. Ja spałem źle, wrażenia z ostatnich dni nie sprzyjały spokojnemu odpoczynkowi. Około trzeciej w nocy zapaliłem świecę i zacząłem obchodzić dom. Usłyszałem dziwne dźwięki dochodzące ze spiżarni. Otworzyłem drzwi i przyłapałem starszego szeregowca Kukuszkina, jak załatwiał potrzebę w sewrski półmisek. Obok leżały

zapaskudzone serwetki.

– Co robisz, bydlaku? – zawołałem.

– Bo co? – krótko odparował Kukuszkin.

Był niskim, korpulentnym, uśmiechniętym i bardzo pocziwym człowiekiem. Ze wszystkimi miał dobre stosunki. Dla wszystkich był miły. Nazywano go zazwyczaj nie Kukuszkin, a pieszczotliwie – Kukisz. I nagle coś takiego! Dla mnie było to jak zamach na Najwyższe Ideały – na Dobro, na Piękno! Wpadłem we wściekłość, a Kukuszkin w zdumienie. Podciągnął spodnie i spokojnie poszedł dosypiać. Ja zaś pozostałą część nocy gorączkowo zastanawiałem się, co powinienem zrobić, i w końcu wymyśliłem. Nie mogłem wymyślić nic bardziej idiotycznego.

Rano, kiedy wszyscy się pobudzili, wydałem oddziałowi polecenie ustawić się w szeregu. Widocznie było w wyrazie mojej twarzy coś, co wszystkich zaskoczyło. Zwykle nie praktykowałem oficjalnych szyków, zbiórek i podobnych spraw, jakie przewidywał regulamin wojskowy. Była wojna i kichaliśmy na wszelkie tego rodzaju banialuki. A tu nagle: „Równaj! Baaaczność!”.

Wszyscy się podporządkowują, chociaż w oddziale jest wielu wyższych ode mnie stopniem. Rozkazuję Kukuszkinowi wystąpić z szeregu i wygłaszam płomienne przemówienie. Myślę, że nigdy w życiu nie byłem taki elokwentny i nie mówiłem z takim natchnieniem. Odwoływałem się do sumienia, mówiłem o Pięknie, o Człowieku, o Najwyższych Ideałach. Mój głos dźwięczał i rozbrzmiewał najwyrazistszymi modulacjami. I co?

Nagle zauważyłem, że cały szereg uśmiecha się od ucha do ucha i patrzy na mnie z politowaniem. Zakończyłem więc wyrazami potępienia dla starszego szeregowca Kukuszkina i pozwoliłem oddziałowi odejść. Zrobiłem, co tylko było możliwe. Po dwóch godzinach cały sewrski serwis i w ogóle wszystkie naczynia były zapaskudzone. Postanowili nasrać nawet do biblioteczki. Od tej pory już nigdy więcej nie walczyłem ani o Sprawiedliwość, ani o Najwyższe Ideały.

SŁYNNE POLSKIE MIASTO CZĘSTOCHOWA

Drogi czytelniku, na pewno byłeś w Polsce, zwiedziłeś Częstochowę, zachwyciłeś się pięknem jej ulic i kościołów. Oddałeś hołd Matce Boskiej Częstochowskiej, uzdrowicielce i wybawicielce ludu chrześcijańskiego. Ja również byłem w Częstochowie, ale niczego takiego nie widziałem i nie składałem pokłonu słynnemu obrazowi. W mojej pamięci pozostała jedynie brudna piwnica z niskimi łukami sklepienia i dwie mogiły żołnierskie na podwórzu przed domem...

W tym domu mieściła się nasza kompania sanitarna, a ja leczyłem się tam z ran. Siedzieliśmy we trzech – dwóch o kulach i ja, przewiązany od ramienia do ramienia bandażami. Jeśli moi rozmówcy byliby bardziej ruchliwi, obowiązkowo poszlibyśmy do miasta, nie bacząc na ostrzał, by obejrzyć jego uroki, coś pojeść i wypić. Ale z kulami daleko nie da się zejść! W piwnicy również było nam wesoło, ponieważ w przeddzień koledzy przysłali nam z pierwszej linii dużą bańkę z niemieckim sznapsem „dla podniesienia ducha”. Rozpijaliśmy ją w towarzystwie doktora Szabalina – mężczyzny około 45 lat, słusznego wzrostu i masywnego, o wadze jakichś 100 kilogramów. Kiedyś był lekarzem wiejskim, a teraz został majorem służb medycznych.

Niemiec walił w miasto bezładnym ogniem. Co pięć-sześć minut, to obok nas, to dalej, to całkiem blisko wybuchały ciężkie pociski. Z sufitu sypał się tynk. My byliśmy do tego przyzwyczajeni i siedzieliśmy spokojnie, ale doktor Szabalin trząsał się i chował głowę w ramiona. Ręce mu drżały. Ugaszczaliśmy go sznapsem i prowadziliśmy rozmowę edukacyjną:

– Doktorze, co to takiego immunitet?

Wyjaśnił nam bardzo przystępnie:

– Jeśli w pięciu mieliście jedną Niemkę i czterech z was się zaraziło, a piąty jest zdrowy, to znaczy, że on miał immunitet...

Naszą rozmowę przerwał sanitariusz:

– Doktorze! Szybko do zabiegowego! Przywieźli dwa brzuchy!

„Brzuchami” medycy dla jasności nazywali wówczas rannych w jamę brzuszną. Zazwyczaj w kompanii sanitarnej leczono tylko lekko rannych, a ciężko rannych i „brzuchy” odsyłano do szpitala na tyłach, gdzie warunki pozwalały na operację. Teraz przejazd do szpitala zablokowali Niemcy i dowódca kompanii doktor Goldfeld rozkazał operować Szabalinowi.

Widać było, że jest bardzo zdenerwowany. Nigdy wcześniej nie musiał wykonywać takich operacji. W swojej wiosce przyjmował porody, leczył rozstroje żołądka, przeziębienia, złamania i zwichnięcia, a tu – laparotomia! Czyli otwarcie jamy brzusznej. Ręce trzęsły mu się jeszcze bardziej niż przedtem... Ściany zabiegowego obciągano pośpiesznie czystymi prześcieradłami, wygotowywano narzędzia, cały personel był zdenerwowany.

Podszedłem do noszy. Jeden ranny stracił przytomność, ciężko charczał. Twarz miał szarą, rysy twarzy mu się wyostrzyły. Spojrzałem na drugie nosze i zamarłem... Przede mną leżał drogi mi człowiek, mój jedyny wojenny przyjaciel, lejtnant Losza. Poznaliśmy się jeszcze w 1941 roku. Dopiero co przyjechałem wtedy na front z uzupełnieniami z oblężonego Leningradu, byłem dystrofikiem i ogarniała mnie ciężka depresja. Trzeba było walczyć i pracować, a ja z trudem powłóczyłem nogami. Lejtnant Losza, w przeciwieństwie do pozostałych, okazywał mi współczucie, chronił mnie, nawet przynosił mi kawałki chleba z masłem ze swojej dodatkowej racji. W tamtym czasie oficerom przysługiwały racje specjalne – masło, konserwy, herbatniki. Zwykle zjadali je gdzieś w odosobnieniu, po kryjomu przed żołnierzami. Lejtnant Losza był inny. Sam też niedawno przyjechał z oblężonego Leningradu jako dystrofik, ale posiadał nadzwyczajną siłę ducha i chęć pomocy bliźniemu.

Zaprzyjaźniliśmy się, nie bacząc na różnice rang. Do wojny Losza zdążył ukończyć uczelnię w Leningradzie, był inżynierem, uwielbiał książki, muzykę, chodził na wykłady na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Leningradzkiego. Mieliśmy wspólne tematy. Kiedy zdarzała się wolna chwila, siedzieliśmy w ciemnej ziemiance i recytowaliśmy wiersze, prowadziliśmy długie rozmowy. Pomagało nam to oderwać się od wojennej grozy, od głodu, zimna...

Podczas wojny człowiek traci wszystko, czym żył dotąd – rodziców, żonę, dzieci, majątek, książki, przyjaciół, swoje środowisko. Otrzymuje odzierający go z indywidualności mundur i broń, aby czynić zło. Jest bezbronny wobec dowódcy, prawie zawsze niesprawiedliwego i pijanego, który zmusza go do wybryków, gwałtów i zabójstw. Innymi słowy, człowiek traci na wojnie ludzkie oblicze i staje się dzikim zwierzem: żre, śpi i zabija. Tymczasem dana człowiekowi przez Boga dusza na wszelkie sposoby sprzeciwia się tej metamorfozie. Niewielu udaje się zwyciężyć w tym pojedynku słabego człowieka z ogromną i bezlitosną wojną. Losza, choć sam był ledwie żywy, bardzo mi pomógł przetrwać pierwsze dni i tygodnie mojego frontowego życia. Potem nasze drogi się rozeszły.

I oto teraz, w piwnicy domu w Częstochowie, znów go spotkałem. Zdążyłem tylko go ucałować i powiedzieć mu parę pocieszających słów. Losza słabiutko się uśmiechnął, lecz w tym uśmiechu był smutek i przeczucie nieuchronnego... Kilka godzin czekałem przejęty na koniec operacji, potem całą noc siedziałem przy noszach, na których ledwie dyszał Losza, płakałem i modliłem się. Nad ranem cicho odszedł. Pochowano go na podwórzu, obok drugiego rannego, który oddał duszę Bogu jeszcze w trakcie operacji.

Czy to rany były bardzo ciężkie, czy też doktor Szabalin był niedoświadczony – dość że zakończyło się to wszystko tragicznie. Widziałem na wojnie tysiące śmierci. Wielu umierało na moich rękach, ale z tą stratą nie pogodziłem się nigdy.

Kilka dni później z wyzwolonego Leningradu przyszedł list do Loszy, w którym powiadamiano go, że cała jego rodzina – rodzice, żona i córka – zmarła z głodu... Niezbadane są wyroki boskie!

KAPITAN GWARDII CYKAŁ, CZYLI MIŁOŚĆ SOWIECKO- NIEMIECKA

Kapitan gwardii Cykał był niemłody – liczył jakieś 49 lat i miał duże doświadczenie życiowe. W latach trzydziestych zajmował się rozkułaczaniem chłopów na Ukrainie, długo był przewodniczącym kołchozu i prosto stamtąd trafił w 1942 roku w rzeźnię pod Miasnym Borem. Okrążona 2 Armia Uderzeniowa ginęła. Ludzie padali pod gradem odłamków i kul jak muchy, marli z głodu. Nieboszczykami faszynowano bagna, robiono z nich kryjówki, odpoczywano, siedząc na trupach.

Kiedy udawało się zrobić wyrwę w okrążeniu, wywożono rannych wąskotorówką, a ponieważ brakowało podkładów kolejowych, nierzadko kładziono pod tory zamarzniętych nieboszczyków. Leży Iwan, w potylicę ma wbity gwóźdź, na wierzchu szyna, a po szynie, podskakując, leci wagonik, popychany przez żołnierzy. Jednym słowem, Cykał, wtedy jeszcze lejtnant, przeszedł swoją drogę przez mękę. Był jednym z niewielu, którzy wyrwali się z okrążenia w maju lub czerwcu 1942. Ledwie żywych wymyło pod prysznicem w specjalnym namiocie, spalono ich zawzione łachy, podkarmiono przez dwa tygodnie w batalionie sanitarnym i znów rozdzielono po oddziałach. Cykał trafił do nas.

Wyglądał strasznie. Czarna, spalona słońcem twarz ze śladami po przebytej w dzieciństwie ospie, wystające jak u Mongoła kości policzkowe. Ogromne, dzikie oczy po bokach krzywego nosa. Zepsute zęby sterczące z szerokich ust – okropny typ, bardziej przerażający od śmierci. Wyglądał tak samo źle, nawet gdy odkarmił się na obfitych zapasach tyłowych. Z litości, a także biorąc pod uwagę jego wiek, nie wysłano go ponownie na pierwszą linię, został kierownikiem działu gospodarczego w oddziale sanitarnym.

Rządził artykułami żywnościowymi.

Wojenne losy stykały mnie z Cykałem za każdym razem, kiedy trafiałem ranny do kompanii sanitarnej. Poznaliśmy się pod Miedwiediem. Dopiero co usnąłem po operacji w namiocie dla lżej rannych, kiedy zbudził mnie ostry, skrzeczący głos. Był to Cykał, który prowadził pogawędkę polityczną dla żołnierzy. Z początku myślałem, że przyśnił mi się jakiś straszny sen, tak odrażająca była dziobata morda kapitana gwardii. Nowiutki biały półkożuszek jedynie podkreślał jego brzydotę. Kapitan mówił przez nos, odwróciwszy się do leżącego na narach chłopaka:

– Ty co tak okręcił się, a? O rodzinie дума? Listów nie dostaje?

– Nie dostaje, myślę – odpowiedział chłopak, patrząc smutnym wzrokiem na kapitana.

– Toż to ona i od tego lęgnie się. Od myśli! – z zadowoleniem zauważył Cykał.

– Co się lęgnie? – zapytaliśmy z ciekawością.

– Wiesz.

I kapitan wygłosił długi wykład o przyczynach pojawienia się wszy i o tym, jak nie należy popadać w chandrę i upadać na duchu w trudnych okolicznościach...

Wobec mnie Cykał odnosił się podejrzliwie, czułem jego „nienawiść klasową”, której rezultatem był mój przedterminowy wypis na front, z niezagojoną raną. Po kolejnym zranieniu długo służyłem ramię w ramię z kapitanem gwardii i cały czas między nami były to sprzeczki, to czujne zawieszenie broni.

Kiedyś w sierpniu 1944, kiedy stacjonowaliśmy w lesie na głębokich tyłach i rozkoszowaliśmy się spokojem, w pobliżu nagle zaczęła walić ciężka dwudziałowa bateria niemiecka. Okazało się, że Niemcy zostali za nami z tyłu podczas naszego szybkiego natarcia, a teraz nagle (idioci!) postanowili walczyć. Dwie dziesiątki lekko rannych, ja i Cykał złapaliśmy karabiny i automaty i pobiegliśmy do gospodarstwa, w którym utknęli Niemcy. Ich działa stały na podwórzu otoczonym szopami, oborami i domem z dachem pokrytym czerwoną dachówką. Cykał zaczął się w dole, a nam rozkazał atakować Fryców, ale ranni nie byli nowicjuszami ani głupcami. Nikt nie rzucił się pod kule. Na słowa kapitana nie reagowaliśmy, choć pieklił się okropnie. Najpierw trzeba było rozeznać się w sytuacji.

Obeszliśmy las wokół gospodarstwa i znaleźliśmy w okopie 45-

milimetrowe działko „Żegnaj, Ojczyzno”. Miało urwane koło, ale część strzelnicza była w porządku. Wokół walało się kilka skrzynek z pociskami. Oto rozwiązanie problemu! Hansów trzeba nastraszyć. Ustawiliśmy działo, jak się dało najlepiej, naprowadziłem lufę na zagrodę i... babach! Przepięknie! Dach domu rozleciał się w powietrzu jak pęknięty balonik. Dachówka wydeła się i efektownie rozprysnęła na wszystkie strony, odsłaniając krokwie. Jeszcze parę strzałów i nad zagrodą pojawiła się biała szmatka. Niemcy nie przejawiali szczególnego heroizmu i nie chcieli polec w walce, jak zalecał ich regulamin. Poddąło się dwunastu ludzi na czele z krzepkim, rudym, zarośniętym feldfeblem. Ustawił w szeregu swoich żołnierzy, wydał komendę: „Baczność!”, stuknął obcasami i dzielnie zameldował kapitanowi Cykałowi po niemiecku, jaki pododdział poddaje się do niewoli. Podał swój stopień i nazwisko.

– Tak, dobra, dobra – powiedział Cykał.

Jeńców nakarmiono i odesłano na tyły. Kapitan nie zapomniał naszej przekory i nieposłuszeństwa.

Innym razem klóciliśmy się z powodu sejfu bankowego w jednym z miast w Prusach Wschodnich. Cykał koniecznie chciał go rozpruć, ja mówiłem, że to nie nasza misja. Podczas gdy my się spieraliśmy, artylerzyści wysadzili stalowe drzwi sejfu i zabrali złoto, które się w nim znajdowało. Kiedyś znów, także w Niemczech, Cykał szukał u mnie wódki, przerył cały pokój, nawet rozpruł materac, ale niczego nie znalazł. Wódkę faktycznie miałem, schowałem ją w pianinie. Cykał do takiej rzeczy nigdy wcześniej się nie dotykał i nie wiedział, że instrument otwiera się od dołu i od góry. Jednym słowem, nie żyliśmy w wielkiej zgodzie i nie darzyliśmy się ciepłymi uczuciami.

Wśród podwładnych Cykała byli dwaj moi starzy znajomi – Zimin i Zabijakin. Po raz pierwszy spotkaliśmy się pod Striemutką podczas okropnej wojennej zawieruchy. Przybyły nowe uzupełnienia – starsi, stateczni ludzie – i poszły od razu w piekło. Prawie wszyscy w niedługim czasie zginęli. Zimin i Zabijakin, mężczyźni około pięćdziesiątki, postanowili przeżyć. Żał mi było starsuszków, starałem się im pomóc. W tych warunkach wiele warte było zwykłe, dobre słowo. Potem Zimina i Zabijakina przeniesiono na tyły i ochraniali magazyn żywnościowy w kompanii sanitarnej na zmianę co noc aż do końca wojny. W dzień zaś byli na posyłki u kapitana Cykała.

Moje pojawienie się w kompanii sanitarnej staruszkowie przyjęli z radością, prawie się popłakali. Dokarmiali mnie, poili niebieskim, potwornie cuchnącym denaturatem, którego mieli w zapasie cały kanister. Gospodarne chłopcy. Na tyłach się zadowili, nabrali otuchy. Pewnego razu zaszedłem wieczorem do ziemianki i zastałem idylliczną scenkę. Zabijakin, siedząc przy piecu, rozpalonym gwoździem wypalał z odznaki gwardyjskiej zagnieżdżone tam wszy i w fascynujący sposób opowiadał milczącym żołnierzom długi kryminał na motywach Sherlocka Holmesa i jego rosyjskiego kolegi detektywa Putilina. Czasami w opowiadaniach Zabijakina pojawiały się klasyczne wątki. Na przykład taki: „Jedna ładna babka wyszła, znaczy się, za generała, choć już młody nie był, a do tego jeszcze i Murzyn. Ale, sami rozumiecie, stanowisko, uposażenie, sława. Pożyła z generałem, potem dała lejtnantowi, a generał się dowiedział! Jakąś tam chusteczkę znalazł. Był Murzynek silnym i brutalnym, wziął i zadusił swoją młodą żonkę, i jeszcze nożem poczęstował. Milicja naliczyła trzydzieści dwie rany! A żona, okazuje się, nie dawała lejtnantowi. Wszystko wymyślił kapitan, który chciał zrobić karierę. Generał, kiedy o tym usłyszał, jakby stracił rozum, zaczął wrzeszczeć, wytrzeszczył ślepią, piana poszła mu z ust. Złapał bagnet i sobie w brzuch: ciach!, ciach!, ciach! I wyzionął ducha. Taka to, chłopcy, historia!”

Jeszcze ciekawsze były opowieści Zabijakina o wojnie domowej, podczas której służył w armii Budionnego. Z tamtych czasów zachował zwyczaj noszenia długich wąsów i miłość do koni. Wspominał, jak dobrze się wtedy żyło, jakie kielbasy, sery i wina rabowali w sklepach w odbitych białym miastach. Zwierzył się nam ze swojego najskrytszego marzenia z tamtego czasu: posiąść hrabinę lub księżną. Wcześniej to marzenie się nie ziściło, ale podobno Zabijakin spełnił je w Prusach Wschodnich. Raz obok naszego oddziału przechodziła staruszka, uchodźczyni. Żołnierze powiedzieli podpitemu Zabijakinowi: „Popatrz no! Tam idzie niemiecka hrabina!”. Zabijakin wziął to na serio, dogonił staruszkę, wziął ją na poboczu drogi i dopiął tym samym celu swojego życia.

W ogóle był nieobojętny na płeć piękną. Kiedyś zaszedłem do kuchni i zastałem tam pijaniutkiego Zabijakina, który obierał kartofle razem z zatrudnioną do tego celu Niemką. Była to dama około 45 lat, elegancko ubrana, dobrze uczesana, jak na jakąś specjalną okazję. Zabijakin z poczerwieniałą od denaturatu mordą, z płonącymi oczami i sterczącymi

własami kleił się do niej, robiąc to na miarę swojego pojęcia i możliwości, to znaczy jak u siebie w oborze: podszczypujesz ją, a ona z zachwyty piszczy... W oczach Niemki był strach, trzęsły jej się ręce. Wrzasnąłem na Zabijakina, a Niemce poleciłem, by poszła do domu. Zabijakin był niezwykle obrażony, tym bardziej że uważał mnie za swojego przyjaciela.

Zimin miał inne zdolności – był bardzo gospodarny. Właśnie on nauczył mnie podbierać miód z ula. Do tego trzeba było nałożyć na twarz maskę przeciwigazową, szyję okrócić onucą, a na ręce założyć rękawice. Nawet zakradliśmy się raz do ula, ale nagle nadleciał messerschmitt i ciął serią po drodze, która biegła obok. Padliśmy nosami w ziemię i pszczoły nieźle nas pokąsały. Innym razem polowanie na miód nam się udało. Rzecz działa się ciemną nocą, ule stały w dolince, pszczoły spały i nabraliśmy po całej menażce aromatycznego, gęstego miodu. Odchodząc z dolinki, zobaczyliśmy na przeciwległym jej końcu jakichś ludzi. To byli Niemcy. Oni także szli po miód i grzecznie czekali, aż my odejdziemy. Nocą dowództwo spało i żołnierze, którym sprzykrzyła się wojna, zawarli niepisane zawieszenie broni. Następnego ranka zaś znów zaczęliśmy przegryzać sobie wzajemnie gardła i rozbijać czaszki.

Z powodu swojej gospodarności Zimin czasami popadał w kłopotliwe sytuacje. Na jednym z postojów nasi zajęli dom, w jego wybetonowanej piwnicy stał ogromny zbiornik ze spirytusem. Żołnierzom nie chciało się dobrać do włazu na górze, dali serię z automatu i spirytus strużkami popłynął na podłogę. Wszedłem do piwnicy, kiedy kałuża była już po kolana, a powietrze wypełnione oparami wprost upijało. Gdzieniegdzie widać było waciane spodnie i uszanki miłośników wypitki, którzy się zachłysłi. Pośrodku chodził z menażką w rękach ogłupiały Zimin i nie mógł znaleźć wyjścia, odbijając się od ścian. Jeszcze chwila, a i on upadłby w spirytus. Zdążyłem wyciągnąć go na powietrze, sam oszołomiony i bez tchu. Sprawa była poważna. Wystarczyłaby jedna iskra, żeby wszystko wyleciało w diabły, a spragnionych z menażkami przychodziło coraz więcej. Jakby jakiś bezprzewodowy telegraf albo impuls telepatyczny powiadomił wszystkich o spirytusie. Słowianie, jak muchy do lepu, zlatywali się ze wszystkich stron. Trzeba było z automatami w rękach strzec fatalnego domu, póki dowództwo nie postawiło wokół niego zasieków.

Zabijakin i Zimin, podwładni Cykała, mimowolnie stali się świadkami romansu, jaki zdarzył się w jednej z niemieckich wioseczek. Przyszła ostatnia

wojenna wiosna. W powietrzu latały amorki, zapewne nie z łukami, a z karabinami maszynowymi, jak wypada w czasie wojny. Miriady ich trafień rozgrzewały żołnierskie serca. Żołnierze zalecali się do Niemek, które odnosiły się do zainteresowanych zdobywców bardziej niż życzliwie, bowiem ich mężowie przepadli wiele lat temu. Wśród nich wyróżniała się Elza – ruda piękność majestatycznych rozmiarów. Jej wdzięki kołysały się i przelewały podczas chodzenia jak galareta. Dołeczki w policzkach nie znikwały od ciągłego uśmiechu. Skręcaliśmy szyje, oglądając się za nią, wytrzeszczaliśmy oczy, otwieraliśmy usta ze zdumienia.

Okazało się, że nic co ludzkie nie jest obce kapitanowi gwardii Cykała. Strzała amora ugodziła też jego serce. Zauważalnie zmarniał, pobladł i zaczął rozmyślać, czego nigdy wcześniej u niego nie zauważaliśmy. Jednakże Cykał był konkretny i odważny. Skonsultowawszy się ze znającymi język niemiecki, nacierał na Elzę:

– *Ich* (pokazuje palcem na siebie), *bitte* tobie (palcem na Elzę) dam *dieser Tier* (palcem na krówkę z naszego stada, która dawała mleko dla rannych). Wtedy *lieben Du zusammen*.

– Chi, chi! – Elza zaśmiała się, zrobiła imponujący obrót tyłkiem i uciekła.

Cykał był wielkim psychologiem. Sprytnie rozgryzł niemiecki charakter, praktycyzm i rzeczowość. Domyślił się, jaki guziczek trzeba wcisnąć. Elza była po trzydziestce, rozumiała życie i podjęła racjonalną decyzję: mordę kapitan ma, oczywiście, dziobatą, ale krowa w gospodarstwie – wielka rzecz! Taką transakcję pochwali nawet Willy, kiedy wróci z frontu. Elza się zdecydowała i wypełniała swoje obowiązki po niemiecku, sumiennie.

Cykał pożył szczęśliwym życiem rodzinnym. Jego pokój lśnił czystością, rankiem Elza wykladała na parapetach pierzyny, czyściła i trzepała płaszcz kapitana, prasowała jego spodnie, pichciła mu obiady. Cykał promieniał. Zapraszał gości, sadzał ich za stołem przykrytym wykrochmalonym obrusem i wtedy wchodziła Elza, niosąc parującą wazę z barszczem ukraińskim, którego kapitan nauczył gotować swoją nową „żonę”. Uśmiechając się i płasząc, od czego niepowtarzalne i coraz bardziej wyraziste falowania przechodziły po całym jej ciele od krągłych ramion w dół, Elza deklamowała wierszyki kapitana: „Zuppy z kruppy, zuppy z kruppy mit sieben duppy!”. Oczy Cykała promieniowały szczęściem, rżał jak żreback, aż drżały szyby w drzwiczkach kredensu. Goście zachwycali się jego pomysłowością.

Miesiąc miodowy kapitana gwardii trwał dziesięć dni, potem otrzymaliśmy

rozkaz przejazdu do innego miasta. Kiedy Cykał wsiadał do samochodu, rozporządził z uśmiechem, by Zimin i Zabijakin wyprowadzili krowę z podwórza Elzy i przyłączyli ją do naszego stada. Tak zakończyła się miłość sowiecko-niemiecka. Ale, jak to mówią, jest sprawiedliwość na tym świecie. Wkrótce kapitan Cykał trafił na oddział weneryczny naszego szpitala.

DLACZEGO MAJOR G. STRZELAŁ?

*Wojna jest zawsze
nieczystą sprawą.
o. Siergiej Bułgakov*

W tych wspomnieniach staram się prawidłowo zapisać wszystkie nazwiska i być jak najbardziej dokładnym w opisie faktów. Jednakże podać pełnego nazwiska majora G. nie mogę. On jeszcze żyje, ma się dobrze, a zdarzenie, w którym brał udział, dotąd nie jest dla mnie jasne.

Rzecz miała miejsce w lutym 1944 w Prusach Wschodnich, w Allensteinie. Dopiero co błyskawicznym ruchem przetoczyliśmy się przez całą Polskę od Warszawy do granicy północnej. Armia była przerzucana dzień i noc na świetnie wyposażonych ciężkich transporterach, amerykańskich studebakerach. Siedziałem na pakach i skrzyniach z dobytkiem, wiał silny wiatr, sypał śnieg. Trzęsło na wybojach, łapałem się za skrzynki i starałem się nie dotknąć ręką noszy. Były mocno przywiązane grubym sznurem wokół ładunku, a na nich leżał trup samobójcy. Żołnierz zastrzelił się dwa dni temu, prowadzone było śledztwo i ciała pilnowano, by przeprowadzić sekcję, której nie zdążono wykonać w poprzednim miejscu postoju.

Polska była rozgrabiona, zburzona i zniszczona wskutek okupacji niemieckiej. Warszawa zmieniła się w góry ruin, których piwnice były wypełnione ciałami zabitych Polaków. Mogiły były wszędzie – na ulicach i na skwerach. Polskie wsie wyglądały żałośnie.

– Nic nie ma! – twierdzili wystraszeni mieszkańcy. – Nic nie ma! Masło, jajka, mięso – wszystko Niemiec zabrał – powtarzali.

– Gdzie macie ustęp? – spytał jeden żołnierz.

– Nic nie ma! Wszystko Niemiec zabrał...

Prusy Wschodnie na odwrót – wyróżniały się zamożnością, dostatkiem i porządkiem. Dobrze wyposażone gospodarstwa z maszynami rolniczymi, wszystko zelektryfikowane, w bogatych domach bauerów obowiązkowo były pianina i porządne meble, a obok szopy z klitkami i łózkami dla robotników ze wschodu. W chlewach i oborach pełno utuczonej trzody. Życie nie umierało... Miasta bogate, czyste, zbudowane solidnie. W Allensteinie znaleźliśmy masę żywności i gratów wywiezionych ze Związku Radzieckiego, które czekały w magazynach jako zapasy. Znaleźliśmy też konserwy z Holandii, Belgii i Francji. Co prawda, trochę przypałyły się podczas pożaru, ale dało się je zjeść. Żołnierze zaczęli pić spirytus, popijając go gęstą śmietanką... Pamiętam, że na parapecie pewnego domu leżało półtorej setki złotych monet z mennicy kaiserowskiej. Długo nikt ich nie brał. Żołnierze nie wierzyli, że dożyją końca wojny i nie chcieli obarczać się zbędnym balastem.

W wielu domach znajdowaliśmy utensylia wojenne: orderzy, mundury, esesmańskie noże z napisem „Krew i honor”, naramienniki, akselbanty i wszelki inny blichtr. Rzeczywiście, Prusy Wschodnie były gniazdem militarystyki, ale wojskowi aktywiści faszystowscy zdążyli uciec. Została głównie ludność cywilna – kobiety, starcy, dzieci. To oni zbierali żniwo porażki. Wkrótce zaczęto ich ustawiać w kolumny i odsyłać na dworzec kolejowy – jak mówiono, na Syberię.

W domu, w którym stacjonowaliśmy, na samej górze, na poddaszu, mieszkała około trzydziestoletnia kobieta z dwojgiem dzieci. Jej mąż zginął na froncie, trudno byłoby jej uciekać – z niemowlakiem daleko by nie zaszła, więc musiała zostać. Żołnierze dowiedzieli się, że jest dobrą krawcową, nosili jej materiały i zmuszali ją do szycia spodni. Wielu chciało zadać szyku, a i obdarli się dokumentnie przez zimę. Od rana do wieczora Niemka szyła na maszynie. Za to dawano jej obiady, chleb, czasem cukier. Nocą zaś wielu żołnierzy szło na górę, żeby zajmować się miłością. I tego Niemka bała się odmówić, pracowała do rana, nie zmrużywszy oka. Gdzie miała się podziać? Pod jej drzwiami zawsze stała kolejka, której nie można było rozpędzić.

W tym czasie leczyłem kolejną ranę w naszej kompanii sanitarnej.

Pewnego razu z nową partią rannych przybył tu major G. Znałem go od dawna i uważałem za jednego z niewielu pozytywnych bohaterów wielkiej tragedii pod nazwą „wojna”. Major był sympatyczny, dobrze wykształcony, w każdym razie na pewno w swojej dziedzinie – był nieźle wyszkolonym artylerzystą. Wyróżniał się nieprzeciętną odwagą. Opowiadano mi o jego szalonych wyprawach na tyły niemieckie, kiedy 2 Armia Uderzeniowa wpadła w sierpniu 1942 w okrążenie pod Siniawinem. Jednym słowem – przykładny oficer. Służyłem pod jego rozkazami kilka miesięcy i nabrałem do niego wielkiego szacunku. Teraz znów się spotkaliśmy. Niemiecki odłamek wyrwał majorowi G. solidny kawałek mięśnia z ramienia. Rana była duża, ale niegroźna, nie wpłynęła na ogólny stan jego zdrowia. Był, jak zawsze, postawny, rumiany, pogodny, dziarski i nie przewalał się z boku na bok na łóżku szpitalnym, a spędzał dnie, spacerując po mieście i interesując się wszystkim wokół.

Ten dziwaczny wypadek miał miejsce pewnego późnego wieczoru. Siedziałem w swoim pokoju i nagle usłyszałem na górze strzały z pistoletu. Przeczując coś niedobrego, rzuciłem się po schodach, otworzyłem szeroko drzwi i zobaczyłem straszną scenę. Major G. stał z dymiącym pistoletem w ręce, przed nim siedziała Niemka, trzymając w jednej ręce martwe dziecko, a drugą zakrywając swoją ranę. Pościel, poduszki, pieluchy – wszystko było we krwi. Kula przeszła główkę dziecka i uwięzła w piersi matki. Major G. był absolutnie spokojny i trzeźwy. Za to stojący obok lejtnant cały się wił i syczał:

– No, zabij, zabij ją!

Lejtnant był pijany w sztok – szara twarz, sine wargi, załzawione oczy, zaśliniony. Tak upijają się alkoholicy w ostatnim stadium alkoholizmu. Zrozumiałem, że podpuszczał majora. Być może miał cel – urządzić prowokację i sklecić sprawę? Przecież był ze Smiersza, a ścieżki i metody tej organizacji są zagadkowe. Tak czy owak, major G. ciągle trzymał pistolet w ręce. Niczego nie rozumiejąc i niewiele myśląc, nieoczekiwanie dla siebie walnąłem majora w ucho. Pewnie doszedłem do wniosku, że dostał pomieszenia zmysłów i moje uderzenie powinno go oprzytomnić. Tak bywało na pierwszej linii, kiedy młodzi żołnierze tracili głowę ze strachu w pierwszej walce. Solidny policzek przywracał im rozum i zdrowy rozsądek. Kiedyś trzasnąłem młodego lejtnanta, który narobił w spodnie w czasie ataku, i później był mi za to wdzięczny.

Nie byliśmy jednak na pierwszej linii i wyszło inaczej. Major G. spokojnie włożył pistolet z powrotem do kabury, a lejtnant podniósł krzyk: „Aaa, uderzył oficera!” – wrzeszczał radośnie, jakby tylko na to czekał. Zrozumiałem, że wpłatałem się w paskudną historię. Uderzyć oficera – niesłychany czyn. Nikogo nie będzie interesować, że zrobiłem to ze szlachealnych pobudek. W latach 1941-42 bez ceremonii postawiono by mnie pod murem. Teraz w najlepszym wypadku mogłem liczyć na kompanię karną.

W czasie II wojny światowej rękoczyn w naszym wojsku nie zdarzały się. W każdym razie ani nie słyszałem o tym, ani nie widziałem na własne oczy niczego podobnego. Żołnierza można było rozstrzelać za tchórzostwo, za nieposłuszeństwo, ale uderzyć – co to, to nie! Spróbuj uderzyć, a w pierwszej walce zarobisz kulkę w potylicę. Konieczność dzielenia niebezpieczeństw, pójścia razem na śmierć wyrabiała wzajemny szacunek i rękoczyn się nie zdarzały. Tym bardziej nie zdarzył się przypadek, żeby żołnierz podniósł rękę na oficera. Inna rzecz wyżsi dowódcy. Oni mieli swoje zasady, które nas nie dotyczyły. Pewnego razu widziałem, jak pijany generał, dowódca czołgistów, łupił grubym, sękatym kijem swoich pułkowników i majorów. Później oni resztę wyjaśnili między sobą...

Następny akt dramatu rozegrał się na klatce schodowej piętro niżej. Scena była niema, ale wspaniała, w duchu tragedii szekspirowskiej. Dwaj sanitariusze powoli znosili trupka dziecka, oświetlając sobie drogę kopającymi pochodniami. W otwartych drzwiach sali operacyjnej widać było lekarza w białym fartuchu, który przygotowywał się do wyjęcia kuli z piersi matki. Z drzwi po przeciwnej stronie dwóch ludzi uzbrojonych w karabiny maszynowe wyprowadzało mnie – bez pasa, bez pagonów. Mieli mnie odstawić do więzienia.

Znalazłem się w wilgotnej piwnicy, w której spędziłem noc i dzień. Pod wieczór zostałem dokądś zabrany. Na przesłuchanie – pomyślałem. Żeby tylko nie tłukli! Jednak znów szczęście się do mnie uśmiechnęło. Dowódca ze Smiersza długo na mnie patrzył, a potem powiedział:

– Idź, a na drugi raz nie pajacuj. I nikomu ani słowa. Ani słowa!

Oddano mi pas, pagony i na tym się skończyło. Później, analizując wszystkie okoliczności, zrozumiałem, że dowództwo znalazło się w nie lada kłopotcie. Lejtnant widocznie wykazał się zbyt dużą gorliwością i przesadził. Pachniało skandalem. Major G. był wzorowym oficerem, ja zaś byłem

weteranem dywizji, do tego dopiero co dostałem order. Sprawę postanowiono zatuzszować, jakby się nic nie stało.

Co się zdarzyło naprawdę? Dlaczego major G. strzelał? Jeśli strzelałby lejtnant, nie zdziwiłbym się. Lejtnantowi ze Smiersza podobne rzeczy przynależą wraz z funkcją i charakterem, ale major. Wtedy go potępiałem, a teraz, po wielu latach, nie mogę nadal zrozumieć.

Być może major G. napatrzył się na okrucieństwo Niemców? Jak my wszyscy widział ogromną mogiłę z zabitymi jeńcami rosyjskimi, którą odkryliśmy w Woronowie. Widział trupy naszych zamęczonych i palonych dzieci. Zapewne dobrze wiedział, że zwycięstwa Niemców w latach 1941-42 w znaczącym stopniu były skutkiem ich okrucieństwa: bez ceremonii zabijali wojskowych i cywilów, starych i młodych. Możliwe, że to uczyniło majora bezwzględny i postanowił się zemścić. Poza tym maleńki synek Niemki za dwadzieścia lat mógłby zostać żołnierzem i pójść na nową wojnę z nami. Być może major G. wiedział, że okrucieństwo to nieodłączny towarzysz historii ludzkości od czasów biblijnych i częściej cierpi niewinny niż ten, który zawinił. Być może zrozumiał, że wielcy reformatorzy rodzaju ludzkiego – Iwan Groźny, Hitler, Stalin i wielu innych – rośli w siłę dzięki okrucieństwu, niszcząc swoich i obcych, wrogów i zwolenników, bez różnicy, byle szerzyć swoje idee i umacniać swoją władzę.

Więcej go nie spotkałem, ale niedawno się dowiedziałem, że major G., teraz już pułkownik, przez długi czas służył w różnych sztabach, potem wykładał w Akademii Wojskowej, a obecnie jest na emeryturze. Nie osądzam go, ale wspominam z odrazą.

OBÓZ

Mimo że historia z majorem G. była straszna, to szybko zawieruszyła się w zakamarkach mojej pamięci, zatarła przez nowe wypadki, które zmieniały się jak w kalejdoskopie. Podczas wojny czasem jednego dnia zdarza się tak wiele, ile w czasie pokoju nie zbierze się przez lata.

Pewnej nocy zostaliśmy nieoczekiwanie zbudzeni. W północy, popędzani rozkazami dowódców, złapaliśmy automaty i granaty i wpakowaliśmy się na czołg. Kiedy maszyna gwałtownie wyrwała naprzód, ostatecznie się rozbudziliśmy. Jak się dowiedzieliśmy, oddział zwiadowców odkrył na głębokich tyłach niemieckich, około 40 kilometrów od nas, niemiecki obóz koncentracyjny, w którym przetrzymywano kilka setek Żydów. Sądząc po strzelaninie, jaka stamtąd dobiegała, trwała likwidacja więźniów. Zwiadowcy określili drogą radiową współrzędne obozu i dowództwo rzuciło nas – dwa czołgi z żołnierzami na pancerzu – byśmy ratowali ginących.

Ponieważ trwała ofensywa i nie było stałej linii niemieckiej obrony, szybko dotarliśmy do celu, zachłapani brudnym śniegiem spod gąsienic. Czołgiści z dział i karabinów maszynowych wystrzelali niemieckie punkty ogniowe na wieżyczkach, po czym jeden czołg w biegu rozbił bramę i wjechaliśmy na teren obozu. Po krótkiej, niezwykle zaciętej wymianie ognia posłaliśmy do piekieł strażników.

Co było dalej, pamiętam słabo, bo zostałem ogłuszony granatem, którym rzucił we mnie wielki Fryc. Porwał mi półkożuszek, trochę mnie pokaleczył. Mimo to został mi w pamięci widok placu przed barakami, usłanego trupami Żydów, a w barakach znaleźliśmy kilka setek ocalałych.

Szkielety obciążone skórą patrzyły na mnie ogromnymi, ciemnymi oczami, w których był nawet nie strach, a przerażenie, obłęd i śmierć. Ich spojrzeń nie potrafię zapomnieć.

PIET'KA SZABASZNIKOW

Piet'ka Szabasznikow był bydlakiem! Nie zwyczajnym łachudrą, lecz wielkim łajdakiem, który nie potrafił żyć, nie wyrządzając świństw bliźniemu. Z obrzydzeniem obserwowałem go z boku, póki los nie skrzyżował naszych ścieżek. Kiedyś zatrzymaliśmy się na krótko w bogatym domu niemieckim i Piet'ka niezwłocznie polazł do szafy gospodarzy. Zaalarmowany krzykami Niemki, wyrzuciłem Piet'kę na ulicę i rozkwaśiłem mu przy tym nos. Bryzgając złością i krwią, zaklinał się, że zemści się na mnie okrutnie i szybko swoje groźby wprowadził w życie.

Pewnego razu całkiem przypadkowo odkryłem w swojej radiostacji niewielkie uszkodzenie – prawie niezauważalną drobnostkę. Taka usterka w krytycznym momencie mogłaby narobić mi sporych kłopotów, bo szukać jej trzeba by było ze dwie godziny. Akurat tego wieczoru Niemcy zaczęli atak czołgowy, przygotowanie artyleryjskie zerwało łączność telefoniczną i gdyby nie moja radiostacja, skończyłoby się marnie. A mnie czekałaby jedna droga – pod mur! Nie miałem wątpliwości, że Piet'ka przyłożył do tego swoją podłą rękę. Wiedział, jak mnie ugodzić, jego uderzenia były celne i zupełnie nieoczekiwane.

Nocą dyżurowałem przy aparacie telefonicznym w sztabie dywizjonu. Piet'ka zajmował się tym samym, tyle że w punkcie obserwacyjnym, który mieścił się w niewielkiej zagrodzie chłopskiej między okopami naszymi a niemieckimi. Było cicho, obie armie spały i tylko wartownicy od czasu do czasu leniwie strzelali z karabinów maszynowych albo puszczały rakiety świetlne.

Nasi zwiadowcy, którzy siedzieli w punkcie obserwacyjnym, korzystali ze spokoju i oddawali się radosnym rozrywkom. Zamknęli gospodarza

i gospodynię w komórcie, a potem cały oddział, po kolei, zaczął psuć nieletnie córki gospodarzy. Piet'ka, wiedząc, że ja nie znoszę nawet opowiadania o podobnych wyczynach, transmitował mi przez telefon krzyki biednych dziewcząt, a także szczegółowo opowiadał, co się dzieje. Jego obrazowe komentarze przypominały relację z meczu piłkarskiego. Wiedział, że nie mam prawa rzucić słuchawki, że nie pójdę do dowódcy, ponieważ śpi, a i nie zdziwi się takim wypadkiem – przecież to zwykła rzecz! Pastwił się tak nade mną długo, radując swoją podłą naturę. Później oczekiwał ode mnie jakiegoś połajania albo bójki. Przemilczałem, co ostatecznie rozeźliło Piet'kę.

Minęły dwa tygodnie. Urządziliśmy punkt obserwacyjny w niedużym, jednopiętrowym domu z cegły, który stał na uboczu, na przedmieściach niemieckiego miasteczka. Sto metrów przed nami były nasze pierwsze okopy, a dalej – niemieckie. Bardzo dobrze było je widać z pierwszego piętra. Natarcie niemieckie zaczęło się niespodziewanie. Nasi nieliczni piechurzy uciekli, chcąc schować się w okopie na tyłach naszego domu. Strzelaliśmy z okienka, próbując ich wesprzeć, ale bez skutku. Pozostawanie w domu stawało się coraz bardziej niebezpieczne. Starszy sierżant wziął sześć zapalek i kazał nam ciągnąć. Ja, oczywiście, wyciągnąłem krótką.

– Oślaniaj! Później ci pomożemy! – powiedzieli bohaterscy artylerzyści i się zmyli.

Minutę, dwie, trzy strzelałem z okna. Skończyły mi się pociski. Zacząłem rzucać granaty. Też się skończyły. Niemieckie kule świstały mi nad głową i dziurawiły ścianę za mną. Dobrze, że nie mnie! Z ram okiennych leciały drzazgi. Niemcy byli tuż-tuż. Jeden z nich, siedząc w krzakach jakieś 40 metrów od naszego domku, zaczął naprowadzać pancerfausta. Straszne uczucie, kiedy widzisz, jak do ciebie celują! Potem przez całe życie miałem powtarzający się sen: naciskam na spust, ale karabin milczy, gorączkowo szukam pocisków w stercie przestrzelonych łusek i widzę, jak celują we mnie pancerfaustem. Z tego snu budziłem się zlany zimnym potem.

Wtedy, w 1944, błyskawicznie rzuciłem się na podłogę w kącie. Pancerfaust trafił w ścianę kilkanaście centymetrów nad oknem. Pokój wypełnił się ceglanym pyłem. Prawie ogłuszony, usłyszałem jednak mowę niemiecką: Fryce byli już na parterze i wchodzili po schodach na piętro. Schowałem się do szafy i tutaj tak mi się zaczęły trząść kolana, że nie mogłem ich utrzymać rękami. Na szczęście, Niemcy zajęli się strzelaniną i nie weszli po szafach, jak to zwykle robi żołdactwo wszystkich armii

świata. Po piętnastu minutach przepędzono ich i moi towarzysze z pułku wrócili. Wykpiłem się drzeniem kolan...

Wkrótce pluton odprowadzono do drugiego okopu na odpoczynek. Zapadłem w głęboki sen w ciepłej ziemiance i nawet nie słyszałem ostrzału, obudził mnie starszy sierżant:

– Wstawaj, zasypało ziemiankę i zmiażdżyło Piet'kę. Odkopali go i zabrali, żeby pochować. Zostały po nim papiery i listy. Zobacz, co tam jest, a potem, co trzeba, odeślemy pocztą.

Zacząłem przeglądać plik papierów i nagle zobaczyłem wśród nich coś, co dotyczyło bezpośrednio mnie. To był donos! Piet'ka informował w nim odpowiednie instancje o okolicznościach wczorajszej walki. Według niego, zostałem w punkcie obserwacyjnym z własnej woli, poddałem się Niemcom i przez długi czas byłem z nimi w kontakcie. Widocznie powierzali mi jakieś zadanie, w innym wypadku zabraliby mnie ze sobą albo zabili. Masz ci los! Nieźle wymyślił, niczego nie byłbym w stanie udowodnić ani się usprawiedliwić. Bo też organizacja, w której służył Piet'ka, żadnego usprawiedliwiania nie potrzebowała. Zwyczajnie wypełniliby zadanie i wsadzili dziewięć gramów w łeb!

Do dziś nie wiem, czy starszy sierżant przeczytał papiery Piet'ki, czy dał mi je przypadkowo. Raczej to pierwsze – przecież znał Piet'kę i jego sztuczki lepiej niż ja. Pozornie wszystko skończyło się dla mnie dobrze, lecz to Piet'ka mnie zwyciężył. To on reprezentował siłę, on reprezentował system, który był nie do pokonania. I właśnie on zmusił mnie do zastanowienia się, na czym opiera się nasze życie.

ERYKA, CZYLI MOJA OSOBISTA KLĘSKA PODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ

*Kwiaty, które dziś się uśmiechają,
jutro będą martwe.
Shelley*

Wczesną wiosną 1945 roku nasza armia podeszła pod Danzig. Niemcy zamierzali bronić się tu długo i zaciekle. Wznieśli solidne umocnienia, podciągnęli pod miasto pancerniki, których wielkie działa zadały nam niemałe straty. Do walki posyłano każdego, kto był pod ręką. Opowiadano mi o ataku oddziału niemieckich marynarzy na czele z przystojnym kapitanem. Szli w zwartym szyku, jak na paradzie, w eleganckich czarnych mundurach. Kapitan – z cygarem w zębach. Ale to nie był już 1941 rok, Iwanów trudno było nastraszyć. Oddział znalazł się pod kanonadą z katiusz, która zrobiła z bohaterskich marynarzy krwawe *ragoût*.

Opór Niemców był silny, nasze straty jak zawsze ogromne i oblężenie miasta przeciągało się. Pewnego przepięknego ranka na nasze głowy, a także na Danzig, posypały się z nieba ulotki. Napisane w nich było mniej więcej tak: „Ja, marszałek Rokossowski, rozkazuję załodze Danzigu złożyć broń w ciągu 24 godzin. W przeciwnym wypadku na miasto zostanie przypuszczony atak, a odpowiedzialność za ofiary wśród ludności cywilnej i zniszczenia spadnie na barki dowództwa niemieckiego...”. Ulotki napisane

były w dwóch językach – rosyjskim i niemieckim, ponieważ miały trafić do obu walczących stron. Rokossowski działał według najświetniejszych tradycji Suworowskich: „Chłopaki, oto twierdza! Tam są baby i wino! Zdobędziecie – zabawa przez trzy dni! A odpowiadać będą Turcy!”. I zdobyliśmy. Rokossowski był podobno romantykiem i bardzo sympatycznym, spokojnym, uprzejmym człowiekiem, podobał się kobietom. Żukow zaś – ten był surowym, twardym służbistą.

Danzig zdobyto dość szybko, chociaż prawie cała armia poległa pod jego murami. Lecz co tam – jedna horda więcej, jedna mniej, jaka to różnica. W Rosji ludzi dużo, a i nowi szybko się rodzą. Poszło jak zawsze: w pijanym widzie, z ordynarnymi przekleństwami żołnierze idą naprzód, trwa piekielny ostrzał i bombardowania. Potem zaczęło się świętowanie. Poleciało pierze z poduszek, były piosenki, tańce, żarcie do syta, wałęsanie się po sklepach i mieszkaniach. Domy płoną, kobiety krzyczą. Zabawili się do woli!

Nie brałem w tym udziału. Nadal byłem w oddziale rekonwalescentów. Przejechaliśmy przez płonące miasto i zatrzymaliśmy się w niewielkim kurorcie, który teraz jest znany z festiwalu piosenki.

Do tego czasu moje stosunki z chłopakami z oddziału rekonwalescentów układały się jak najlepiej, byłem swój. Nauczyłem się chlać wódkę. Nie próbowałem tego eliksiru do zimy 1942 roku, póki nie zmusiła mnie potrzeba. W mroźny dzień wpadłem do leja i znalazłem się po pachy w lodowatej wodzie. Nie miałem ani gdzie się przebrać, ani w co.

Uratował mnie starszy sierżant. Wydał mi suchą bieliznę (bluzę, płaszcz i waciak jakoś podsuszyłem przy ognisku), natarł mnie wódką i dał szklanek „do użytku wewnętrznego”, mówiąc przy tym: „Wódka to nie przyjemność, a higiena!”. (Znow mi się poszczęściło! W tymże 1942 roku nasza brygada strzelecka nie miała tyle szczęścia. Bataliony nacierające na Wieniagołowo pod Pogostjem powinny były przekroczyć rzeczkę Mga. „Naprzód!” – wydano im rozkaz. I poszły żołnierzyki po pas, po pachy, po szyję w wodzie przez krę. Pod wieczór chwycił mróz. Nie było ognisk, nie było suchej bielizny albo starszego sierżanta z wódką. Brygada zamarzła, a jej dowódca, pułkownik Ugriumow, chodził skołowaciały nad brzegiem Mgi. Co prawda, to „zwycięstwo” nie przeszkodziło mu w awansowaniu na koniec wojny aż do stopnia generała...)

Nawykłem więc do wódki, a przekleństwa stały się nieodłączną częścią mojego leksykonu. Dzięki temu żyłem z oddziałem rekonwalescentów

w pełnej zgodzie. Jedyne, czego nie pochwalali moi współtowarzysze, to brak zainteresowania płcią piękną.

– Bałwanie, korzystaj z możliwości! – mówili mi. – Potem będzie za późno i będziesz sobie pluć w brodę! Pożalujesz, że przepuściłeś taką okazję! Wybieraj, jaką chcesz – brunetkę, blondynkę, rudą, z piegami, grubą, chudą! Spiesz się!

Moje zachowanie wszystkich szokowało, ale po jakimś czasie machnęli na mnie ręką. Znudziło im się gadać, bo i tak nie słuchałem ich rad. Żyliśmy dalej w pokoju i przyjaźni.

Miasteczko, w którym stacjonowaliśmy, nazywało się Zoppot [Sopot], w znacznym stopniu ocalało, w połowie opustoszało – bogatsza ludność niemiecka uciekła na zachód. Urządziłem się na poddaszu niewielkiego domu, gdzie wcześniej mieszkała najwidoczniej jakaś studentka. Znalazłem tam wiele książek, głównie monografie malarzy, pianino, nuty, adapter i płyty. Rajski zakątek, w którym można się było schronić, wyłączyć ze wszystkiego i pomarzyć. Od dawna tęskniłem za takim miejscem. Co prawda, nie wszystko było tu takie niewinne. Na dnie szuflady stołu znalazłem zdjęcia gospodyni, która uprawiała miłość z młodymi esesmanami. Jednak podobne rzeczy już mnie nie dziwiły, fotografie najzwyczajniej wyrzuciłem na śmietnik.

Zaopatrzyłem się w świece, żywność i czułem już przedsmak wieczoru: kiedy wszyscy położą się spać, zostanę sam ze swoimi myślami. Na razie siedziałem z moim serdecznym przyjacielem Miszką Smirnowem i grzaliśmy się na wiosennym słończku. Byliśmy niemal szczęśliwi. Wokół cicho, spokojnie. Nie strzelają, nie bombardują. Powietrze czyste, my jeszcze jesteśmy wśród żywych, syci, z lekka podpici. Ogarnęła nas błoga senność. Miska mrużył od słońca powieki z białymi rzęsami, ja syciłem wzrok wzorem dachówek na dachach domów po drugiej stronie ulicy. Jak nam dobrze!

Z Miszką wiązała mnie stara przyjaźń. Zналиśmy się chyba od 1941 roku. Było to dwumetrowe chłopisko, szerokie w ramionach, z ciężkim, powolnym chodem. Miał dobrotliwy wyraz twarzy. Poczciwy, rosyjski chłopak. Pewnego zimowego wieczoru w 1943 roku znaleźliśmy się w punkcie obserwacyjnym, w okopie, który klinem wcinał się w pozycje niemieckie. Niemcy najwidoczniej chcieli ściąć klin i rozpoczęli natarcie. Na samym początku przygotowania artyleryjskiego zbłąkana kula trafiła Miszkę w nogę

poniżej kolana, nie naruszyła kości, ale uszkodziła naczynia. Krew trysnęła strumieniem. Przewiązałem ranę, założyłem porządną opaskę, żeby zatrzymać krwotok, ale nie miałem siły, by taszczyć na swoich ramionach takiego niedźwiedzia. Wyjaśniłem Miszy, że wrócę za pół godziny z sankami, które widziałem u piechurów, i poszedłem. Miszka mi zaufała. Sanki znalazłem szybko, świsnąłem je nieostrożnym właścicielom (mogli nie dać!), ale do Miszki już nie dało się wrócić. Niemcy ścięli klin i zajęli tam pozycje. Uciszano mnie, twierdzono, że Niemcy na pewno go dobili i na próżno się gorączkuję i chcę leżeć pod kule.

Jednak dwie godziny później, kiedy się ściemniło, przeszedłem przez pas neutralny, ciągnąc za sobą sanki. Misja samobójcza, prawie beznadziejna. Niemcy stali w pogotowiu – uratowała mnie zapewne zamieć śnieżna i białe ubranie maskujące. Udało mi się doczołgać do naszej dawnej ziemianki, koło której w zagłębieniu leżał Miszka. Żył. Niemcy go albo nie zauważyli, albo uważali za nieboszczyka, albo zostawili, żeby zamarzł. Miszka przyjmował wszystko z fatalistycznym spokojem i powiedział tylko: „Jednak przyszedłeś!”. Prawie nie doznał odmrożeń, ponieważ było stosunkowo ciepło, ale bardzo osłabł od utraty krwi. Włożyłem go z łatwością na sanki. Teraz trzeba było czołgać się z powrotem. Niemców nie widać, z komina leciały iskry – grzali się, gadziny! Z ziemianki nikt nie wyszedł, ale ze wszystkich stron latały rakiety świetlne.

Jak zdołałem się wyczołgać – nie wiem. Zdarzyło się prawie niemożliwe. Powinni byli obowiązkowo nas wykończyć, ale z jakiegoś powodu zostaliśmy zauważeni dopiero na pasie neutralnym, już w pobliżu naszych pozycji. Niemcy zaczęli strzelać celnie, prawie we mnie trafili, jednak wsparła nas nasza piechota – przykryła ogniem i daliśmy nura do okopu. Miszka wrócił ze szpitala po dwóch miesiącach i od tej pory starał się nie odstępować mnie na krok. Przynosił mi lepsze żarcie, zdobywał wypitkę, gotów był zrobić dla mnie wszystko, co tylko było w jego mocy. Ja mu odpłacałem tym samym.

I oto z tymże Miszką Smirnowem rozkoszowaliśmy się słońcem w miasteczku kuracyjnym Zoppot. Nagle zobaczyłem koło apteki dziewczynę biegnącą po ulicy naprzeciwko nas. Dziewczyna była bardzo piękna – szczupła, zgrabna, miała krótko przystryżone, lekko kręcone włosy i duże błękitne oczy. Zdażyłem przyjrzeć się długim i gibkim palcom jej rąk. Pomyślałem, że z takim rzucającym się w oczy wyglądem ryzykownie jest

biegać po ulicy pełnej pijanego żołdactwa, do tego w tak niespokojne czasy. Miszka też odprowadzał ją wzrokiem i tylko coś niezrozumiale bąknął w odpowiedzi na moje słowa o powabie dziewczyny. Na jego ustach pojawił się dziwny uśmieszek.

Zaraz zapomniałem o tym epizodzie. Odciągnęły mnie inne sprawy. Do pokoju na poddaszu – tej pożądanej oazy spokoju – udało mi się dotrzeć dopiero późnym wieczorem, kiedy zapadł zmrok. Zapaliłem świecę, zacząłem kartkować książkę. Nagle na korytarzu rozległ się tupot, drzwi się otworzyły i z powrotem zatrzęsnęły, zdążył przez nie przelecieć tylko jakiś worek, który upadł na podłogę. Nie rozumiałem, co się dzieje, chciałem wybiec z pokoju, ale drzwi, zaparte od zewnątrz, nie poddawały się. Słysząc było oddalające się kroki i chichot żołnierzy.

Nagle worek na podłodze poruszył się. Przyjrzałem się i ze zdziwieniem zobaczyłem dziewczynę – tę samą, która w dzień biegła po ulicy. Zrozumiałem wszystko! Najukochańszy Misza po swojemu zinterpretował moje nieostrożnie wypowiedziane słowa i postanowił wyświadczyć mi przysługę. Jak w bajce: czego zapragniesz, to dostaniesz! Spodobała ci się ta kruszynka – bierz i nie marudź! Zawzięcie waliłem w drzwi, ale Miszka wszystko, co robił, robił rzetelnie. Drzwi dałby radę otworzyć może wybuch granatu.

Dziewczyna cały czas płakała i zerkła na mnie ze strachem. Moim łamanym niemieckim starałem się wyjaśnić, że drzwi są zamknięte i nie mogę jej teraz wypuścić, musi poczekać. Czasy są teraz takie straszne i źli ludzie zrobili sobie z niej okrutny żart, ale tu, u mnie, nic jej nie grozi. Nie dotknę jej palcem. Ona zapewne mało co zrozumiała, ale zobaczyła, że nie jestem agresywny. Na twarzy mam raczej wypisane zakłopotanie, a ton mojego głosu brzmi uspokajająco. Zaproponowałem, żeby poszła do drugiej części pokoju, za szafę, i jeśli chce, może spać tam na łóżku. Sam usiadłem na fotelu tak, żeby nie było mnie widać. Przesiedzieliśmy do rana, nie zasypiając ani na chwilę i rozmyślając, każde o swoim. Z rzadka zza szafy dobiegało pochlipywanie. O świcie w końcu się uspokoiła, zjadła śniadanie i powiedziała, jak się nazywa. Miała na imię Eryka i była córką aptekarza, który mieszkał naprzeciwko.

Rankiem pojawił się Miszka. Śmiał się, otwierając drzwi, i mimo moich przekleństw pogratulował mi: „Wszystkiego najlepszego z okazji ślubu!” – powiedział beczelnie. Posłałem go dalej niż do diabła i zaprowadziłem

Erykę do domu. Można sobie wyobrazić, co przeżywał jej biedny ojciec! Wokoło rżnęli, dusili, gwałcili, a córka zniknęła na całą noc. Eryka rzuciła się staruszkowi na szyję i wyszeptała coś po cichu, pokazując na mnie. Próbowałem przeproszać, wyjaśniać, ale potem machnąłem ręką i odszedłem.

Zdawało się, że na tym historia się zakończyła. Znów zająłem się innymi sprawami, potem udało mi się zdrzemnąć na cztery godziny i o wszystkim zapomniałem.

Kiedy kolejna noc spowiła miasto, rozległo się pukanie do moich drzwi.

– Wlazł, otwarte! – wrzasnąłem.

Weszła Eryka w towarzystwie ojca. Masz ci los! Co za niespodzianka! Ojciec, uśmiechając się, nieco zmieszany, długo coś objaśniał. W jego wypowiedzi było wiele czasowników modalnych i trybów warunkowych, czyli wyszukana grzeczność powyżej mojego stopnia zaawansowania językowego. Lecz uchwyciłem sens:

– Czas wojny, wszędzie niebezpiecznie, pan oficer (pochlebstwo!) jest tak dobry i uprzejmy, to niech córka jeszcze raz przenocuje u niego. Do apteki mogą się dostać żołnierze...

Przyniósł mi w podarunku dwie butelki wina, ja odmówiłem i długo przestawialiśmy butelki z miejsca na miejsce – on do mnie, ja do niego. Wyszło tak, że się zgodziłem i Eryka została. Być może aptekarz, praktyczny Niemiec, uznał, że jeden kawaler jest lepszy od nocnych bestialstw, więc wybrał najmniejsze zło?

Eryka zachowywała się całkiem inaczej niż poprzedniego dnia. Była grzeczna, miła, często się uśmiechała, dużo mówiła. Opowiadała o sobie, o Niemcach, o książkach. Co nieco rozumiałem. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem nieznane mi wcześniej wiersze. Znała na pamięć Puszkina, a ja nawet nie słyszałem o Rillem! Grała na pianinie, a potem – co za idylla! – ja akompaniowałem jej, jak umiałem, i graliśmy na cztery ręce. Zaprawdę – uczta podczas dżumy...

Kolejną noc znów spędziła ze mną, potem następną i następną. W dzień żaden z żołnierzy nie tylko nie śmiał zaczepić Eryki, ale nawet powiedzieć jej choćby głupiego słowa. Była nietykalna. Była moją legalną zdobyczą wojenną, więc cały oddział rekonwalescentów święcie przestrzegał mojego prawa do niej. Nasza znajomość rozwijała się szybko. Dojrzewał niezwykle romans.

Nawet nie pomyślałem o możliwym zbliżeniu. Nie dlatego, że byłem

niedoświadczony i przeżywałem pierwszy poważny kontakt z osobą płci przeciwnej. Eryka była dla mnie przede wszystkim uosobieniem tego, co nie mieści się w kategoriach wojny, co jest dalekie od jej brudu i podłości. Stała się uosobieniem wartości duchowych, których tak długo byłem pozbawiony, o których marzyłem i których pragnąłem! Okazuje się, że na wojnie najdotkliwsze jest przebywanie w duchowej próżni i banalności. Człowiek przestaje być Człowiekiem. Jest jak ryba wyrzucona na piasek. Eryka przypomniła mi sfery, które znikły z mojego życia na tak długo. Odpowiadałem na jej uczucia najczystszyimi uczuciami, na jakie było mnie stać. Świadomie i nieświadomie stworzyłem wyszukany bukiet tych emocji i złożyłem go u jej stóp. Przeżywałem godziny, jakich bywa w życiu niewiele. Zazwyczaj chodzimy z nosem przy ziemi, a ja stanąłem wyprostowany i zobaczyłem gwiazdy. I zmusiłem Erykę, by na nie spojrzała. Ona zaś wszystko rozumiała. Czuliśmy pokrewieństwo dusz.

Były to godziny i dni największej jasności i czystości, a może to warunki wojenne wzmogły idylliczność tej sytuacji. Zaskakujące było wzajemne zrozumienie, jakie się między nami pojawiło. Nie przeszkadzała nam ani bariera językowa, ani krótka znajomość (przecież nie wiedzieliśmy o sobie nic). Widziałem, że przez pierwsze dni Eryka dziwiła się, że jej nie nagabuję, a potem już przekonała się, że nie będę podejmował żadnych prób i nabrała do mnie bezgranicznego zaufania. Z czasem mogłoby się rozwinąć wielkie uczucie, ale takiego czasu nie było.

– Jutro wyjeżdżamy! – oświadczył Miszka Smirnow.

– Jutro wyjeżdżamy – powiedziałem Eryce, załamany tą nowiną.

Ona milczała przez chwilę, potem ze łzami rzuciła mi się na szyję i mówiła, mówiła... Zrozumiałem mniej więcej tyle:

– Nie chcę cię tracić! Niech się stanie! Niech choć jeden dzień będzie nasz!

Stałem jak posąg i nie byłem w stanie nawet jej pocałować. Eryka stała się dla mnie uosobieniem wszystkich kobiet niemieckich, które obrażaliśmy, poniżaliśmy – my, Rosjanie. Chciałem... powinienem zachowywać się wobec niej nieskazitelnie, zrehabilitować Rosjan w jej oczach. Stałem zmartwiałym i milczałem. Zrozumiała to po swojemu.

– Masz narzeczoną, dla mnie to święte! – opuściła wzrok i odeszła.

Następnego dnia ładowaliśmy nasze rzeczy na samochody, odprowadzało nas parę osób. Ojciec Eryki trzymał ją za rękę, a ona gorzko płakała.

– Dobry jesteś! – powiedział Miszka Smirnow. – Ani jedna niemiecka baba nie płakała, kiedy wyjeżdżałem. A tak się starałem! Czym ją tak zaczarowałeś?

I pojechaliśmy...

Minęły tygodnie. Opuściłem oddział rekonwalescentów, znów walczyłem, znów był strach, męka, krew po kolana i inne cuda. Długo błakaliśmy się po wybrzeżu Bałtyku tam i z powrotem, w najgorętsze miejsca jak oddział strażacki. Sopocka historia zacierała się już w pamięci. Czy Eryka była tylko snem, a wszystko, co związane z nią – to słodkie urojenie? Historia miała jednak swój dalszy ciąg – jak w starej pieśni ludowej. Pewnego razu szef sztabu wezwał mnie i powiedział:

– Masz tu paczkę, na ulicy stoi motocykl. Zapamiętaj trasę i jedź do dowódcy.

Na mapie pokazał mi dwie trasy: jedną dłuższą i spokojną, drugą krótszą, ale niebezpieczną.

– Tam wałęsają się zbłąkani Niemcy i strzelają! – wyjaśnił.

Niebezpieczna droga biegła przez Zoppot. Postanowiłem, że wracając na pewno tam zajadę. W pośpiechu zgarnąłem konserwy, cukier, chleb. Zebrał się tego cały worek. Pomógł mi Miszka Smirnow.

Pojechaliśmy. W tamtą stronę – bez przygód. W drodze powrotnej uprosiłem motocyklistę, byśmy zajechali do Zoppotu, obiecałem mu za to pół litra spirytusu. Kto by się oparł? Na przedmieściach Zoppotu jakiś Niemiec pociągnął z krzaków długą serią z karabinu maszynowego, ale nie trafił w nas. Był albo pijany, albo niedoświadczony, dość że spudłował, choć miał nas jak na dłoni. Wpakowałem w krzaki cały talerz z automatu i karabin maszynowy ucichł. Przemknęliśmy. Mokrzy od zimnego potu, dzwoniąc zębami, wśród potoku przekleństw kierowcy, który wyklinał mnie, wszystkich moich przodków i potomków za to, że wciągnąłem go w tę awanturę, wjechaliśmy do miasta.

I oto znajoma ulica, dom, apteka. Stukam do drzwi. Nie od razu się otwierają. Na progu stoi niewysoki człowieczek w marynarczce z wywatowanymi ramionami. Wstrętny jak u tchórza pyszczek, ale wygolony i w krawacie. Unosi tyrolski kapelusik z piórkiem, szczyrzy się w uśmiechu, kłania.

– Co pan oficer chce?

– Tu mieszkał aptekarz...

- Pan potrzebuje kupon na garnitur?
- Tu mieszkał aptekarz i jego córka...
- Pan chce kobietę?
- Aptekarz...
- Pan potrzebuje eleudron[48]?
- Ty, pan... ŁAJDAKU!!! – wrzeszczę.

Drzwi się zatraskują. Są tu już nowi gospodarze. Starych, zapewne, wypędzono. Gdzie ich szukać? W tejże chwili spostrzegam na podwórzu starego Niemca, inwalidę z czasu I wojny światowej. Biedak mieszkał w pobliżu i wcześniej czasem go podkarmiałem. Rzucam się w jego stronę:

– Proszę pana, błagam, niech mi pan powie, gdzie jest aptekarz, gdzie jego córka?

– Nein, nein, nic nie ma, nie wiem – patrzy mętным, niewidzącym wzrokiem, choć zdaje mi się, że mnie poznał.

Wystraszony, ręce mu drżą, a na twarzy ma liliowe cienie i opuchnięcia. Coś takiego widziałem w obłączonym Leningradzie u dystrofików. On jest głodny! Nowe władze polskie nie dają Niemcom nawet tych 100 gramów, jakie przysługiwały ludziom w blokadzie.

Tymczasem motocyklista trąbi i klnie głośno, wołając mnie:

– Szybciej, bo pojedę bez ciebie!

Wsuwam staruszkowi w rękę woreczek z prowiantem i chcę odejść. Wtedy staruszek ożywia się, prostuje, w jego oczach pojawiają się przebliski ludzkiej godności. Rzuca mi w twarz:

– Było ich sześciu, wasi czołgiści. Potem wybiła okno i rzuciła się na jezdnię!

I odszedł. Nie pamiętam, jak wsiadłem do kosza motocykla, jak jechaliśmy. Ocknąłem się tarmoszony przez Miskę.

– Co z tobą?

Cóż mogłem mu powiedzieć? Czy zrozumiałby, że poniosłem klęskę, moją ostateczną, nieodwracalną porażkę w II wojnie światowej? A może zrozumiałby? Przecież rosyjscy mężczyźni są wrażliwi, delikatni i pojętni, zwłaszcza kiedy są trzeźwi...

MARSZAŁEK ŻUKOW

Wspaniała szosa między Frankfurtem nad Odrą a Berlinem, cud niemieckiego budownictwa drogowego, biegła wprost do podmiejskich osiedli niemieckiej stolicy, przecinała całe miasto i kończyła się na Reichstagu – symbolu niemieckiej państwowości. Na początku maja 1945 po tej szosie, jak gigantyczną arterią, płynął ze wschodu potężny potok sowieckich samochodów wojskowych, nasycony metalem, ropą i myślą konstruktorską ze wszystkich krańców ogromnej Rosji, a także potężny potok ludzi w mundurach – krew Rosji, wytłoczona ze wszystkich porów jej ziemi. Ta gigantyczna siła miała ostatecznie zalać i zmiażdżyć konające Niemcy.

Nasz oddział małą ciężarówką, podobną do ciałka krwi w tętnicy, też mknął w kierunku Berlina. Nagle z głośnym hukiem pękła zużyta opona, stanęliśmy i energiczny żołnierz, który kierował ruchem, wyrwał nas z potoku samochodów na pobocze, machając chorągiewką, krzycząc ochrypłym głosem i wzmacniając swoje rozkazy przekleństwami. Jak biegacz, który odpadł z wyścigu, odłączyliśmy się od ogólnego ruchu skierowanego w jedną stronę – naprzód. Odetchnęliśmy i spokojnie rozejrzeliśmy się wokół. Majowe słońce zalewało jasnymi promieniami swojskie domki, zieleniejące pola i zagajniki. Nad nami rozpościerało się niezwykle czyste, błękitne niebo, jedynie gdzieś zaproszone wybuchami pocisków z zenitówek. Szofer zmieniał koło, a my rozkoszowaliśmy się odpoczynkiem. Kilka metrów od nas nadal rwał po szosie z rykiem i łoskotem nieskończony potok samochodów.

Nagle w tym stałym rytmie pojawiły się przerwy, droga się oczyściła, samochody zastygły na poboczach i zobaczyliśmy coś nowego – kawalkadę

ciężarówek z ochroną, uzbrojonych motocyklistów i dżipa, w którym siedział marszałek Żukow[49]. To właśnie on mocą swej niezłomnej woli posyłał naprzód, na Berlin, po tej szosie wszystko, co akumulował kraj, który przystąpił do śmiertelnego starcia z Niemcami. Dla niego został zrobiony wolny przejazd do niemieckiej stolicy i nikt nie ma prawa go tarasować.

Ale cóż to? Po szosie mknie ciężarówka, wyprzedza kawalkadę dowódcy. Za kierownicą siedzi Iwan, któremu rozkazano szybko, jak najszybciej dostarczyć amunicję na pierwszą linię. Bateria nie ma pocisków, chłopaki giną, a on wypełnia rozkaz, nie bacząc na kierujących ruchem. Dżip zatrzymuje się, marszałek wyskakuje na asfalt i rzuca:

– ...jego mać! Dogonić! Zatrzymać! Przyprowadzić!

Po minucie drżący Iwan staje przed groźnym marszałkiem.

– Twoje prawo jazdy!

Marszałek bierze dokument, rwie go na strzępy i ryczy do ochrony:

– Spuścić manto, obszczać i wrzucić do rynsztoka!

Świta odprowadza Iwana na stronę, cichutko mu szepcze:

– Idź no stąd prędko i nie wracaj!

My, oniemiałi, stoimy na poboczu. Marszałek już dawno odjechał na Berlin, a huczący potok popłynął ponownie.

KONIEC
WOJNY

BERLIN

O fensywę na Berlin rozpoczęliśmy z przyczółka kostrzyńskiego nad Odrą. Przygotowanie artyleryjskie było niezwykle, załało pozycje niemieckie morzem ognia. Nasza armia jeszcze nigdy nie miała takiej siły rażenia i nie zwałała na głowy Niemców takiej potęgi. A i tak stawiali opór. Po przełamaniu frontu widziałem na jednym wzniesieniu setki spalonych naszych czołgów. Okazało się, że dowództwo niemieckie posadziło w dołkach na zboczach wzniesienia pułk Volkssturmu – staruszków i chłopców z pancerfaustami. Ci wojacy zginęli, ale przedtem zniszczyli mnóstwo czołgów, zatrzymując nasze natarcie. Rosyjska krew nadal lała się rzeką. Inercja, powstała w 1941 roku w Pogostju i podobnych miejscach, nie zmniejszyła się – wręcz przeciwnie, chociaż i walczyć się nauczyliśmy, i broni mieliśmy pod dostatkiem. Po prostu przywykliśmy nie liczyć się ze stratami. Jedynie trupy nie zbierały się teraz w jednym miejscu, a równomiernie rozkładały po terenie Niemiec wraz z naszym szybkim pochodem na zachód. Przy tym były od razu grzebane. W ciągu czterech lat zdołano zorganizować wiele, w tym odpowiednie służby. Oczywiście, wojna to zawody, których uczestnicy współzawodniczą w tym, kto kogo szybciej zabije. W końcu my wybiliśmy Niemców, ale przy tym swoich postanowiliśmy niestety wybić jeszcze więcej.

Operacja berlińska została opisana wielokrotnie i szczegółowo. To przecież nie Pogostje. Tu odnieśliśmy zwycięstwo! Dlatego nie ma sensu powtarzać, jaki miała przebieg. Ja zapamiętałem, jak w te kwietniowe i majowe dni rozkwitała przyroda. Całe Niemcy pokryte były białymi kwiatami jabłoni i wiśni, dni były jasne, powietrze wypełnione zapachami. Często razem z płatkami kwiatów wiatr roznosił po miastach i wsiach biały puch, który jak pierwszy śnieg zaścielał ulice i chodniki. To był puch

z niemieckich pierzyn, które zwycięzcy rozpruwali nożami i wyrzucali przez okna. Przecież to takie interesujące i zabawne, a zwycięzca ma dzięki temu wyższe poczucie własnej wartości.

Prawie z każdego okna zwisały białe flagi, szmatki, prześcieradła, obrusy. Niemcy w szybki i zorganizowany sposób demonstrowali, że się poddają. Nas zadziwiała wypielęgnowane ogródki z nieodzownymi koszmarnymi krasnalami na klombach, porządne wille i domy, czystość, porządek, ale raziły wysokie płoty z kolczastą siatką na górze, okalające prywatne posiadłości. Niezwykłe też były dla nas świetne drogi bez wybojów i błota, obsadzone jabłoniami. Później, kiedy wojna już się skończyła i dojrzwały owoce, zaczęliśmy je zrywać, łamiąc gałęzie. Przejeżdżający Niemiec poprosił, byśmy tego nie robili i zaproponował, że nazrywa nam tyle jabłek, ile chcemy. Powiedział, że jabłonie należą do zarządu sąsiedniego miasteczka, któremu podlega droga. Kiedy owoce dojrzeją, wynajmuje się specjalną ekipę, ona je zrywa, ładuje na samochód i sprzedaje na targu. Niewielki procent utargowanej kwoty idzie na zapłatę dla ludzi za ich pracę, a pozostała część pokrywa koszty remontu drogi. Coś takiego!

Ale na razie trwała wojna, była wiosna i cała armia chodziła pijana. Wszędzie znajdowaliśmy pod dostatkiem spirytusu i piliśmy, piliśmy, piliśmy. Nigdy więcej przez całe moje życie nie wypilem tyle spirytusu, co przez te dwa miesiące. Być może wojna dlatego tak szybko się skończyła, że odurzeni alkoholem zapomnieliśmy o niebezpieczeństwie i sami nabijaliśmy się na pal. Wybuchy, bombardowania, ostrzał – a tu harmoszka, pijackie tany.

Im bliżej Berlina, tym bardziej zwarta była zabudowa wzdłuż dróg. Osiedla ciągnęły się nieprzerwanie już wiele kilometrów przed miastem. Stolicę niemiecką widać było z dala. Nocą widniała nad nią purpurowa luna, w dzień nad morzem ognia unosił się wielokilometrowy słup dymu. W mieście panowała orgia zniszczenia. Samoloty, działa, katiusze, moździerz rzuciły Berlin tysiącami ton materiałów wybuchowych. Drogą płynął potok samochodów z żołnierzami, zapasami, a także czołgi, działa i cały sprzęt wojskowy. W przeciwnym kierunku jechały jedynie autobusy sanitarne i liczne oddziały oswobodzonych cudzoziemców. Włosi, Belgowie, Polacy, Francuzi. Swój dobytek wieźli na wózkach, ładowali na siodełka rowerów i zawsze z dumą nieśli swoje flagi narodowe. Oto przeszła grupa angielskich byłych jeńców wojennych w poszarpanych, ale wyprasowanych

mundurach. Popisali się postawą żołnierską, z powagą oddali nam honory. Zdarzali się też Rosjanie wywiezieni do Niemiec na roboty. Kobiety machały w kierunku samochodów i lamentowały, widząc naszych żołnierzy.

Berlin wyglądał jak stos płonących gruzów. Wiele kilometrów ruin. Ulice zasypane odłamkami, a po bokach nie domy, a jedynie ściany z pustymi otworami okien. Pewnego razu z tyłu takiej ściany wybuchł ciężki pocisk i zaczęła najpierw powoli, a potem coraz szybciej upadać na zatłoczoną ludźmi ulicę. Rozległo się dzikie wycie, nikt nie zdążył uciec. Nad miejscem zdarzenia podniósł się jedynie czerwony pył ceglany. Podobno potem udało się wyciągnąć z zasypanego czołgu żywych czołgistów. Ludzie na ulicy zostali zmiażdżeni. Szczęśliwym trafem nie zdążyłem dojść do tego miejsca i obserwowałem jedynie to zdarzenie z odległości około 50 metrów.

W granicach miasta walki były szczególnie zacięte. Spotkaliśmy się twarzą w twarz z wrogiem. Często w jednym domu byli i Niemcy, i nasi. Walczyliśmy na granaty, noże i wszystko, co wpadło nam w ręce. Olbrzymie, niezgrabne haubice naszej brygady wyprowadzono na bezpośredni ogień i wprost, jak z pistoletów, rozbijano z nich domy i barykady. Wśród obsługi było wiele ofiar. Starszyszkowie przewalczyli całą wojnę stosunkowo bezpiecznie przy działach, które zazwyczaj oddawały ogień z tyłów, a teraz byli zmuszeni walczyć wręcz i doświadczyć tych samych niebezpieczeństw co piechota. Jednym słowem, krew lała się strumieniami. Sam Reichstag kosztował zapewne wiele tysięcy istnień. Znajdująca się w Berlinie artyleria mogłaby w pięć minut zrównać go z ziemią razem z broniącym go garnizonem. Ale trzeba było ocalić ten symbol Niemiec i zatknąć na nim sztandar zwycięstwa. Dlatego Reichstag atakowała piechota, torując sobie drogę własną piersią jak w Pogostju.

Dzień zwycięstwa zastał mnie w Berlinie, w dzielnicy Kaulsdorf, na terenie ogromnego budynku szkolnego, gdzie w czasie wojny najpierw były koszary niemieckie, a potem rozlokowaliśmy się my. Byłem pijany, podniosłem leżący na ziemi karabin – było ich tu mnóstwo – i zacząłem strzelać do kogutka na wiatrowskazie. Raz, dwa, trzy – łódka za łódką[50]. Już kogucik cały w dziurkach, a ja nadal strzelam i strzelam, jak wszyscy! Tysiące rakiet poleciały w górę, strzelają zenitówki – całe niebo w wybuchach. Kanonada jak przed atakiem. Ostatni raz nastrzelaliśmy się do woli, chociaż to zajęcie zdążyło już nam zbrzydnąć przez cztery lata wojny.

Przez pierwsze dni mieszkaliśmy w szkole. Spaliśmy na dwupiętrowych

(!) łózkach. Takich jeszcze nie widziałem. W Rosji były piętrowe, dla zaoszczędzenia miejsca. Niemcy poszli dalej i wpakowali drugi poziom na wysokości prawie 2 metrów. I jak tu po pijanemu dostać się na górę?! W ogromnej sali gimnastycznej stało takich łóżek trzydzieści. Nocą rozlegał się głośny krzyk: „Pobudka!”, żołnierze złazili z samej góry, jak ich Pan Bóg stworzył, naciągali tylko buty na nogi i zaczynała się libacja. Kubkami nabierali sznapsy z wiadra, potem śpiewali i tańczyli, trzaskając zelówkami po betonowej posadzce.

W dzień ślanialiśmy się beczynn timer i zabawialiśmy się, jak umieliśmy. Na dziedzińcu koszar znaleźliśmy marmurowe popiersie Hitlera. Postawiliśmy je na słupie ogrodzenia i strzelaliśmy do niego z karabinu maszynowego, dopóki nie zatraciło zupełnie rysów twarzy wielkiego Führera. Wówczas zaczęła się dyskusja, jaką egzekucję należałoby urządzić Adolfowi, jeśli go złapią. Większość od razu chciała go powiesić za jaja. Jednak potem wszyscy zgodzili się z pomysłem Loszki Briczkin, doświadczzonego zwiadowcy, a w cywilu – dyrektora cmentarza w Leningradzie.

Chłop był niedouczony, a jednocześnie zmyślny, szczwany i chciwy, zawsze działał na swoją korzyść. Mieliśmy podstawy, by uwierzyć jego opowieściom, że w czasie pokoju żył „lepiej niż profesor”, odsprzedając działki cmentarne i nagrobki. Tenże Briczkin miał jedną słabość – lubił występować na mityngach. Stawał przed szeregiem, oczy napływały mu krwią, wyłaziły z orbit, na twarzy pojawiał się grymas. Jego przemówienie było chaotyczne, składało się z zestawu frazesów wyczytanych w gazecie, ale Loszka ryczał jak trąba jerychońska. Było to nieprzeciętne widowisko, tym bardziej że wygląd Loszki też robił wrażenie – miał spory brzuszec, okrągłe policzki i duży zad. Dobiegał czterdziestki. Tenże Loszka Briczkin wymyślił, że można by wykopać dół, wsadzić tam Adolfa, zrobić z wierzchu kopczyk, po którym przeszłaby cała armia, oddając naturalną potrzebę na głowę Führera. Niech Adolf powoli tonie w gównie. Ten projekt spodobał się wszystkim i został zaaprobowany jednomyślnie.

Potem ktoś opowiedział historię, że Hitlera więził nieznany Iwan, który wdarł się do Kancelarii Rzeszy. Ponieważ bał się, że dowództwo zacznie się guzdrać, sądzić i radzić – ani się obejrzysz, a uniewinnia Führera – pośpieszył zastrzelić jeńca. Żeby nikt się o tym nie dowiedział i żeby nie mieć jakichś nieprzyjemności, podłożył pod trupa dziesięć kilogramów trotylu i zmieszał Führera z gównem! Tę historię słyszałem jeszcze nie raz.

Cieszyła się w armii popularnością.

Kiedyś żołnierze przynieśli gadającą papugę w pięknej klatce. Karmili ją grochem i uczyli kląć, jednak papuga z uporem skrzeczała po niemiecku. W dzień zwycięstwa nasi oficerowie pułkowi urządzili święto. Gdy tylko ogłosili pierwszy toast za ojca wszystkich narodów, wielkiego i mądrego wodza i podnieśli kieliszki, papuga głośno zakrzyczała: „*Heil Hitler!*”. Wtedy przyszła na nią kryska.

Grupy naszych żołnierzy rozłożyły się po okolicy, szukały gratów, wódki i *Frau*. W sąsiedztwie była ulica, która otrzymała nazwę „szalonej”. Gdy tylko pojawiał się tam ruski Iwan, mieszkańcy wyskakiwali z domów z kołatkami, miedzianymi miskami, dzwoneczkami i patelniami. Podnosił się niewyobrażalny brzęk, hałas, raban. W ten sposób ulica obwieszczała pojawienie się zdobywcy i próbowała go odstraszyć, podobnie jak próbuje się ratować przed szarańczę. Ale ruskiego Iwana nie tak łatwo się pozbyć. Z zimną krwią idzie do spizarki i nie spiesząc się, wywłaszcza wszystko, co mu się spodoba.

Trudno było zaprowadzić dyscyplinę, choć dowództwo się starało. Wojacy, którzy piersi mieli pokryte orderami, a mózgi skurczone od przeżyć wojennych, uważali, że wszystko jest dozwolone. Podobno grabieże i bezprawie ukróciły się dopiero po pełnej wymianie oddziałów okupacyjnych na nowe kontyngenty, które nie brały udziału w wojnie.

Wziąłem udział w jednej „akcji” – w kradzieży kur. Jej inicjatorem był Goszka Torgaszow, plutonowy gwardii. Mocno pijany, cały czas lamentował:

– Kim byłem? Nauczycielem, dzieci uczyłem! A teraz co?! Kury idę kraść!

Wyłamaliśmy kłódkę na drzwiach od kurnika, zdjęliśmy z grzędy dwie kury i indyka, wedle wszelkich prawideł ukrećiliśmy im głowy i zabraliśmy je ze sobą. W każdej robocie trzeba mieć doświadczenie i odpowiednie umiejętności. Okazało się, że szyje ukrećilem ptakom nieprofesjonalnie. Ożyły i podniosły straszny krzyk. Z trudem schowałem je z powrotem do worka, który zniosłem do piwnicy – za szaber mogło mi się dostać, wojna przecież się skończyła.

Znajomy chłopak, który stał tej nocy na warcie na ulicy, zapytał mnie na drugi dzień ze zdziwieniem:

– Coś ty wieczorem robił z Niemkami? Czego tak się darły? Niby taki cichy jesteś, do bab nigdy nie chodzisz... Już chciałem wszcząć alarm.

Wszystko to było obrzydliwe, nie mieliśmy ochoty jeść kradzionych kur

i podarowaliśmy je pielęgniarkom z sąsiedniego szpitala.

W tamte dni w Berlinie dokonałem czynu, którym się szczycę do tej pory, ale też jestem zaskoczony własną odwagą. W deszczowy wieczór zostałem wysłany z rozkazem. By się ochronić przed deszczem, okryłem się błyszczącym, gumowanym płaszczem oficerskim. Głowę nakryłem kapturem, a całe ciało, do pięt, okryte miałem płaszczem – wyglądałem w nim jak generał. Złapałem automat i ruszyłem w drogę. Przy sąsiednim domu zatrzymały mnie rozpaczliwe krzyki kobiety. Jakiś starszy lejtnant, sądząc po kolorze naramienników – intendent, wciągał zapłakaną młodą Niemkę w bramę. Ściągnął z niej bluzeczkę, zerwał bieliznę. Natychmiast podbiegłem do nich, odbezpieczyłem automat i głośno warknąłem władczym głosem (skąd mi się to wzięło?):

– Baaaczność! – i przedstawiłem się. – Dowódca oddziału Smiersz numer 12-13, major Potapow!!! Rozkazuję, natychmiast stawicie się w sztabie i zameldujecie dowódcy o waszym skandalicznym zachowaniu! Sprawdzę to! W tył zwrot! Biegiem marsz!

Och, to fatalne słowo „Smiersz”. Działo niezawodnie. Wszyscy zamieraliśmy przy nim ze strachu. Intendent uciekł, owionawszy mnie obrzydliwymi wyziewami alkoholowymi. Niemka stała i patrzyła oczami małej przestraszonej myszki, którą chce pożreć kobra, i drżała... Zrozumiałem – pokornie czeka, aż ja dokończę dzieło zaczęte przez starszego lejtnanta. Pomogłem jej założyć bluzkę i powiedziałem:

– Proszę iść do domu i niech pani postara się rzadziej wychodzić na ulicę.

A po chwili wyjęczałem:

– Przepraszam (*Entschuldigung*)...

W Berlinie życie zaczęło się odradzać. Z ruin powychodzili głodni i przestraszeni mieszkańcy. Zaczęto ściągać z ulic zasieki. Nasze kuchnie rozdawały potrzebującym supę. Ja dokarmałem paru okolicznych chuderlawych dzieciaków. Można było swobodnie spacerować po całym mieście: widzieliśmy ruiny Kancelarii Rzeszy, zaszliśmy do Reichstagu. W dzielnicy Tiergarten było ogromne zwalisko rozbitych czołgów, armat, transporterów opancerzonych, karabinów maszynowych i innych sprzętów wojskowych. Potoki jeńców, które zapełniały ulice miasta w pierwszych dniach po kapitulacji, już wyschły.

Wielu zostawiało na Reichstagu podpis albo uważało za swój obowiązek obsikać jego mury – wokół rozlało się całe morze. I odpowiednia woń.

Autografy były różne: „Pomściliśmy!”, „Przyszedliśmy ze Stalingradu!”, „Tu był Iwanow!” i tak dalej. Najciekawszy napis, jaki widziałem, znalazł się, jeśli mnie pamięć nie myli, na cokole pomnika Wielkiego Elektora. Umieszczono tu tablicę z brązu z nazwiskami wielkich ludzi Niemiec: Goethego, Schillera, Moltkego, Schlieffena i innych. Tablica była przekreślona grubo kredą, a niżej widniało: „J.łem was wszystkich! Sidorow”. Wszyscy, od generała po żołnierza, rozczulali się nad tym napisem, ale kreda później się starła i bezcenny autograf nie zachował się dla potomnych.

Pod Bramą Brandenburską powstało ogromne targowisko, na którym uznawano wszelką walutę i kupić można było wszystko: garnitur, pistolet, jedzenie, kobietę, samochód. Widziałem, jak amerykański pułkownik prosto z dżipa handlował zegarkami, rozwiesiwszy je na rozcapierzonych palcach...

Kontakty z sojusznikami były nikłe. Przeszkadzała bariera językowa i powściągliwość Anglików, którzy patrzyli na nas z góry. Amerykanie byli bardziej bezpośredni, zwłaszcza Murzyni, którzy z nami sympatyzowali. Pewnego razu siedziałem na przydrożnym pagórku, grzałem się na słońeczku i obserwowałem zabawną scenę w oddali. Pijany Iwan zatrzymał Niemca jadącego na rowerze, dał mu w ucho, odebrał rower i chwiejnie ruszył nim po szosie. Niemiec poskarżył się przejeżdżającym Anglikom i ci uprzejmie pomówili z Iwanem i zwrócili Niemcowi jego własność. Iwan się nie sprzeciwiał, bo Anglików było pięciu. Wszystko to widziałem nie tylko ja, ale i Murzyni, którzy mknęli w dżipach. Jeden samochód pojechał dalej, drugi zapiszczał hamulcami i zatrzymał się. Anglikom kazali odjechać, co też ci uczynili, wzruszając ramionami. Niemcowi jeszcze raz dali w ucho, uroczyście przekazali rower Iwanowi i długo poklepywali go po plecach z oślepiająco białym uśmiechem od ucha do ucha...

W Berlinie widziałem, jak Amerykanin pobił śmiertelnie swojego rodaka – Murzyna. Bił go bestialsko, podkutymi butami kopał w brzuch, w twarz. Wszystko to nie wzbudzało sympatii do sojuszników.

W pełni lata 1945 roku zwycięskie państwa umówiły się na podział Berlina na cztery sektory. W zamian za terytorium, z którego tu zrezygnowaliśmy, dostaliśmy kawałek angielskiej strefy okupacyjnej na północy, ze stolicą Meklemburgii – miastem Schwerin. Podniesiono alarm, pośpiesznie załadowano nas na samochody i odesłano na nowe tereny.

SCHWERIN

Schwerin był nienaruszony, ludność powiększyła się o ewakuowanych. Miasto kipiało życiem. Ulicami przechadzali się Niemcy w mundurach – powinni ich byli zabrać ze sobą Anglicy, ale nie zdążyli. Dziwnie było spotkać się twarzą w twarz z ludźmi, których dotąd obserwowaliśmy tylko przez celownik karabinu maszynowego. (To specyficzne uczucie pozostało u frontowych żołnierzy zapewne na całe życie. Nawet teraz, kiedy widzę na ulicach Leningradu oficerów z NRD, których mundury niewiele różnią się od nazistowskich, mam ochotę skryć się w rowie i puścić długą serię. To samo – przy dźwięku lecącego samolotu. Widocznie odruchy wyćwiczone podczas wojny na stałe weszły nam w krew.)

Podziwiałem Schwerin, był przepiękny. Oglądałem gotyckie budowle z czerwonej cegły, operę, która trochę przypominała mi leningradzki Teatr Maryjski, zamek na wyspie, łabędzie pływające po jeziorach. Na miejskich skwerach swobodnie przechadzały się oswojone gazy, bażanty, pawie. Co prawda, nie przechadzały się długo. Słowianie szybko zorganizowali polowanie, wystrzelali zwierzęta i ugotowali z nich rosół. Mieli też inną rozrywkę. Na przystani wioślarskiej wyciągnęli z hangarów kajaki i dalej pływać po jeziorze! Piski, hałasy, pijackie okrzyki... Jeden się wywrócił i starą, dobrą łaciną wzywał pomocy. Jak się okazało, wody było tam po pas.

Bawiono się również bardziej kulturalnie. W teatrze zaczęto wystawiać sztuki. Byłem na *Madame Butterfly*, ale wykonanie i dekoracje okazały się typowo prowincjonalne. Pół sali zapełnili nasi żołnierze. Rżeli w najmniej odpowiednich miejscach. Tragiczna scena samobójstwa bohaterki, nie wiadomo dlaczego, odbyła się przy wtórze zgodnego chichotu... Po spektaklu zauważyłem, że Niemcy skrupulatnie omijają jedno miejsce na parterze. Siedział tam pijany w sztok major, opierając się głową o oparcie

fotela przed nim. Pod jego nogami rozlała się wielka kałuża wymiocin.

Wojskowe dziewczęta rzuciły się na zagraniczne szmatki. Znudziło im się nosić mundury, a wokół takie ładne rzeczy! Ale nie zawsze było bezpiecznie się stroić. Pewnego razu łączniczki założyły jasne sukienki, buciki na wysokich obcasach i szczęśliwe, rozpromienione poszły się przespacerować. Napotkały grupę pijanych żołnierzy:

– *Aha! Frau!! Komm!* – i zaciągnęli dziewczęta w bramę.

– Przecież my Rosjanki, swoje, oj!

– Mamy to gdzieś, *Frau!!!*

I dziewczęta podzieliły gorzki los wielu kobiet niemieckich.

W Schwerinie Niemki ochoczo ulegały naszym żołnierzom, nie robiąc z tego żadnego problemu. W Niemczech było to zdumiewająco proste. Typowa dla Rosji patriarchalna surowość obyczajów nie wykraczała poza jej granice. Niemki zaś były życzliwe, zwłaszcza jeśli „*Kamerad*” był uprzejmy, nie awanturował się, nie był mocno pijany. Były całkiem zadowolone, jeśli nakarmił i jeszcze dał wziąć ze sobą jedzenie do domu. Gorzej było, kiedy „*Kameradów*” było kilku naraz i traktowali je okrutnie (tak było w czasie walk). W rezultacie w Niemczech pojawili się pół-Iwany, pół-Kazachowie, pół-Uzbekowie i pół-czort-wie-kto. Na zachodzie, oczywiście, pół-Murzyni... W rezultacie panoszyły się także na niespotykaną skalę choroby weneryczne. Przed wojną, dzięki postępowi służby zdrowia, taka choroba była wyjątkowym przypadkiem. Nasza sowiecka medycyna, oparta na socjalistycznych zasadach, była bowiem najbardziej postępową: zaraziła się Maszka, ciągną do szpitala jej Waśkę, za Waśką – jego Głaskę, za Głaską – Piet’kę, potem Tańkę, Goszkę i tak dalej, cały łańcuszek. Tym większym zaskoczeniem były masowe zarażenia naszych żołnierzy w Polsce i Niemczech, gdzie znajdowało się siedlisko tego „dobra”. Było to zrozumiałe. Ustrój burżuazyjny jest oparty na podmiotowości jednostki: jeśli się zaraziłeś, to twoja osobista sprawa, nie dotyczy nikogo poza tobą...

W obliczu epidemii chorób wenerycznych medycy z początku stracili głowę. Lekarstw mało, specjalistów jeszcze mniej. Tryper leczono barbarzyńskim sposobem: wstrzykiwano choremu w pośladek kilka centymetrów sześciennych mleka, tworzył się w tym miejscu ropień, temperatura podnosiła się do ponad 40 stopni. Bakterie, jak wiadomo, takiego gorąca nie znoszą. Potem ropień leczono. Czasem to pomagało. Z syfilitykami było gorzej. Opowiadano mi, że zebrano ich w specjalnym

obozie w Neurupinie i przez jakiś czas trzymano za drutem kolczastym w oczekiwaniu na medykamenty, których jeszcze nie wynaleziono.

Widziałem osobliwy początek walki lekarzy z inwazją chorób wenerycznych na terytorium Niemiec. Pewnego razu o świcie w okolicy Schwerinu spotkałem długą kolumnę młodych kobiet. Rozlegał się płacz i zawodzenie. Na twarzach Niemek była rozpacz, krzyczały:

– *Nach Sibirien! Nach Sibirien!*[51]

Obojętni żołnierze popędzali te, które nie nadążały.

– Co to? – przerażony spytałem konwojenta. – Dokąd ciagniecie te biedaczki?

– Drą się bez powodu, głupie, przecież to dla ich dobra! Prowadzimy je na rozkaz komendanta na badania profilaktyczne.

Byłem pełen podziwu dla naszego humanizmu! Żołnierze zaś wyśpiewywali:

Warum ty nie przyszłaś, *der Abend* był

I z nieba drobny *Wasser* mżył...

Był też inny wariant:

Warum ty *gestern* nie byłeś,

Ja czekałam *drei Uhr* na ciebie.

Drobny *Wasser* kapał z *Himmel*,

Ja *nach Hause* poszedłem.

I jeszcze:

Frau, Frau, Frau gut!

Heute ficken, Morgen Brut!

(Zestaw zniekształconych niemieckich słów: „Pani, Pani, Pani dobra!/Dzisiaj pieprzenie, jutro chleb!”.)

O ROLI JEDNOSTKI W HISTORII

*Biczuję swoją ojczyznę
dlatego, że ją kocham...*
Piotr Czaadajew

Pierwsze powojenne lato. Przepiękne miasto Schwerin rozkoszowało się promieniami ciepłego, lipcowego słońca. Po jeziorze pływały pozostałe przy życiu łabędzie. Ich gibkie białe szyje z wdziękiem rysowały się na tle gładkiej tafli wody i gotyckich wież zamku. Żołnierze cieszyli się pokojem, powoli oswajali się z myślą, że już nie grozi im śmierć ani nie zostaną ranni i że wkrótce być może wszyscy pojedą do swoich domów. Na razie smacznie jadali, dużo pili i kręcili z „Frauami”. Czas płynął beztrudno.

Sztab armii ulokował się w wielopiętrowej willi, należącej wcześniej do generała niemieckiego. Żołnierze nie zdążyli jeszcze zapaskudzić okolicznego parku, w pokojach zachowały się jakieś nieporozbijane meble, ale generalskie kolekcje map i starej broni dawno się ulotniły. Było około trzeciej po południu. W siedzibie sztabu siedział jedynie oficer dyżurny. Z nudów obserwował przez lornetkę kąpiące się w jeziorze Niemki. Po korytarzach sennie ślaniali się bez celu jacyś przypadkowi żołnierze, otepiali od upału i pijaństwa.

Nagle podjechała pod willę kawalkada aut w towarzystwie samochodu pancernego. Z odkrytego dżipa wyskoczył sprężyste marszałek Żukow – osiemdziesiąt kilogramów wytrenowanych mięśni i nerwów. Skoncentrowana energia. Idealny, świetnie wyregulowany mechanizm myśli

wojennej! Tysiące bezbłędnych decyzji strategicznych krążyły w jego mózgu. Oskrzydlenie – zdobycie! Okrażenie – rozgromienie! Kleszcze – przerzut! Półtora tysiąca czołgów na prawo! Dwa tysiące samolotów na lewo! Zdobyć miasto – uruchomić dwieście tysięcy żołnierzy! On mógł wtedy określać liczby strat naszych i przeciwnika w dowolnie planowanej operacji. On mógł bez wahania posłać milion albo i dwa miliony na śmierć. On był dowódcą wojennym nowego typu: uśmiercał ludzi bez liku, ale prawie zawsze odnosił zwycięstwo. Nasi wielcy wodzowie starego typu potrafili jeszcze lepiej uśmiercać miliony, jednak nieszczególnie myśleli, jaki to będzie miało skutek, ponieważ nie bardzo potrafili myśleć. Żukow zaś był pełen energii, naładowany nią jak butelka lejdejska[52], dosłownie rozsiewał wyładowania elektryczne.

Dyżurny jeszcze nie zdążył oprzytomnieć, a marszałek już stoi obok:

– Ty kto!? Gdzie dowódca? Rrraz!!!

Zaczyna się bieganina, wołają dowódcę, senne królestwo zaczyna beżładnie się miotać, rozbudzone nieoczekiwanym zajściem.

– Zwołać radę wojenną!!! Zameldować o zdolności bojowej armii!!! Rrrraz!!! Wasza mać!!! – marszałek wydaje te i inne konieczne rozkazy. – Rrrozpuściły się darrmozjady!!! Rrrozmagnesowały się!!! Trzeba by was rrrozstrzelać! Nikt nie chce prrracować! Arrrmia powinna być w gotowości bojowej!!! Kto powiedział, że wojna się skończyła?! Nasz obowiązek – oswobadzać Eurropę!!! Naprzód, na Prrryż!!!

Od marszałka we wszystkie strony popłynęły fale silnej energii. Rozdzwoniły się telefony, rozbiegli się posłańcy, powłączano radiostacje. Dowództwo, odzyskawszy sprężysty i energiczny wygląd, zaczęło wyklinać się wzajemnie wedle dystynkcji: wyżsi niższych, a ci – swoich podwładnych. Impulsy szły mocne, ze straszną siłą poruszały wszystko wokół, ale zadziwiająco szybko zanikały, dosłownie jakby wpadały w próżnię. Armii nie dało się zgalwanizować. W oddziałach wszyscy się porozłazili po kątach. Ktoś spał pijany. Inny poszedł do dziewczyn niemieckich łapać tryper. Trzeci siedział w oddziale sanitarnym, lecząc to, co złapał wcześniej. Czwarty organizował wysyłkę do domu pogrążony w spekulacji albo po prostu zajmował się złodziejstwem. Inny postradał na wojnie rozum i usychał z tęsknoty za utraconymi ideałami. Ktoś z radości, że pozostał wśród żywych, płaśwał w wielomiesięcznym tańcu i śpiewie. Jak tu zebrać ich wszystkich? Jak im uświadomić, że wojna, być może, jeszcze się nie

skończyła? „Naprzód, na Parrryż!!!” Tego nikt nie rozumiał i rozmowa na ten temat z żołnierzami równała się uczeniu barana historii sztuki po chińsku. Armia rozpływała się jak surowe ciasto i co by marszałek nie robił, oczekiwanego rezultatu nie było. Jego zdecydowane i obrazowe wyrażenia jak uderzenia młotem spadały na wytresowane głowy generałów, generałowie okiełznywali pułkowników, ale znów wszystko, jak ciasto, rozpływało się w ich rękach. Marszałek szalał długo, ale nawet jego żelazna wola wyćwiczona na polach bitew nie dała rady wykuć niczego z amorficznej masy rozpuszczonych wojsk. Pod wieczór w końcu się poddał:

– Wasza mać!!! Podnieść arrrmię na alarm!!! Marrrsz do Murrrmańska!!! Na Półwysep Kolski!!! Do tundrrry!!! Rrozpuścili się, bydlaki, prrróżniaki!!! Wasza mać!!!

Tak silna osobowość okazuje się bezsilna, jeśli próbuje iść pod prąd historii. Ten epizod opowiedział mi były sługus dowódcy 2 Armii Uderzeniowej generała Fiediuninskiego – były starszy sierżant W

Później dowiedziałem się, że marszałek wykonywał zadanie ważne i potrzebne. Wojna się skończyła i część wojsk trzeba było odesłać z Niemiec do Rosji. Powinny zostać najlepsze, ale jak rozpoznać, które pułki są w największej gotowości bojowej? Przecież wszystkie w czasie wojny dostały ordery, otrzymały nazwy gwardyjskich, zasłużonych. Marszałek sam zajął się sprawą.

POWRÓT

Czas płynął, a mnie dręczyła tęsknota za domem. Wyjechali już zdemobilizowani staruszkowie. Jedna grupa, druga.

– Będziesz trąbił jeszcze roczek albo dwa – „pocieszano” mnie w sztabie.

„Jak się wyrwać z tej kloaki?” – łamałem sobie głowę. W końcu wpadłem na ratunkową myśl. Przecież czterokrotnie odniosłem rany! Teraz one powinny mnie wyratować. Pomógł mi drogi Michaił Ajzykowicz Goldfeld. Akurat rozformowano jego oddział i wypisał mi dokumenty demobilizacyjne. Zresztą, miał w tym swój interes: trzeba było dostarczyć do Leningradu zdobyczny akordeon i jakieś rzeczy jego ostatniej PŻP, która nieco wcześniej wyjechała rodzić. Jak by nie było – jechałem do domu! DO DOMU!!!! Postanowili jechać ze mną do Leningradu dwaj tyłowi starsi sierżanci – jacyś zaopatrzeniowcy czy magazynierzy. Jak się później dowiedziałem, wieźli mnóstwo kradzionych pieniędzy, które mieli zaszyte w paskach spodni.

Opracowaliśmy plan: trzeba dotrzeć do Stettinu [Szczecina] i tam dostać się na statek sowiecki płynący do Leningradu. Zorganizować podróż do Stettinu było bardzo łatwo. Wynajęliśmy szofera Niemca i ten ogromną gazogeneratorową ciężarówką, z braku benzyny napędzaną za pomocą spalania drewnianych okrągłaków, przewiózł nas przez całe północne Niemcy.

Bezludny Stettin był kupą gruzów. Na ulicach nie spotkaliśmy prawie nikogo. W porcie faktycznie stał sowiecki statek, piękny liniowiec „Marszałek Goworow”. Wcześniej nazywał się „Boreasz” i wchodził w skład floty fińskiej, po wojnie przeszedł w nasze ręce w ramach kontrybucji. Niemieccy dokerzy ładowali do ładowni „Goworowa” maszyny zdemontowane w miejscowych zakładach. Bez trudu dogadaliśmy się

z zastępcą kapitana. Za bańkę spirytusu, którego zrobiliśmy przezornie zapas (bezcenna waluta!), obiecał wziąć nas na pokład.

– Ale „Goworow” odpływa dopiero za tydzień, pomieszkajcie przez ten czas w sowieckiej komendanturze – poradził nam.

Komendantura znajdowała się całkiem blisko. Był to duży murowany budynek, dolne okna i wejście obłożone były cegłami i workami z piaskiem. Ze wszystkich stron budynek był opleciony drutem kolczastym. Twierdza nie do zdobycia.

Gabinet komendanta znajdował się na najwyższym piętrze. Zastukaliśmy i weszliśmy do przestronnego pomieszczenia. Pośrodku siedział ponury major i patrzył na nas spode łba przez grzywkę opadającą na oczy. Przed nim na zalanym stole stała pusta do połowy butelka, szklanka, leżał chleb zmieszany z kawałkami słoniny i czegoś jeszcze.

– Towarzyszu majorze, pozwólcie zameldować! – powiedziałem, jak należy.

Major milczał, sapał, patrzył. Musiałem powtórzyć od nowa, dwa razy. Nagle major zerwał się, złapał za gardło, wybiegł z pokoju i usłyszeliśmy, jak głośno wymiotuje w prześwit schodów. Kiedy wrócił, powiedział:

– No, co tam?

Wyjaśniliśmy.

– Staaarszy sierżant! – wrzasnął.

Wszedł mężczyzna w średnim wieku, któremu major polecił zaopiekować się nami. Usiedliśmy na pryczach w jednym z pokoiów i zaczęliśmy zakąsać, a dla zbudowania dobrych relacji poczęstowaliśmy starszego sierżanta szklaneczką spirytusu.

– Za nasze zdrowie! – powiedział starszy sierżant.

Wypił, chrząknął, spirytus był nierozcieńczony – aż wyszły mu oczy na wierzch. Nagle jedno z nich dosłownie wyskoczyło z oczodołu i wpadło do menażki z barszczem. Oniemieliliśmy. Starszy sierżant zaś spokojnie mieszał łyżką w zupie, szukając swojego oka. Kiedy znalazł je, wytarł o spód bluzy i, rozciągnąwszy pusty oczodół palcami, włożył z powrotem na miejsce.

– Tak to jest – powiedział zmieszany. – W czterdziestym czwartym na Białorusi kula pozbawiła mnie jednego oka. Znalazłem się na tyłach, służyłem w oddziale gospodarczym, a teraz wylazło mi to bokiem. Mój rocznik już dawno zdemobilizowany, a tu, w Stettinie, nie ma sowieckiego wojska, to przecież terytorium polskie. Naszego plutonu komendantury nie

ma kim zmienić, więc trzeba służyć...

Rzeczywiście, naszych w mieście nie było. Nie było jeszcze też polskich władz. Za to przyjechali już spekulanci i wszelcy ciemni macherzy. Zarabiali krocie na handlu piwem, gratami, a nawet proponowali nam ładne Niemki po obniżonej cenie. W budynku Muzeum Historii Naturalnej spotkałem polskich muzealników, którzy przyjechali zobaczyć, co się tu zachowało. Lecz z muzeum zostały jedynie ściany, a w salach, pośród pobitego szkła i tłucznia, trafiały się jedynie resztki eksponatów.

W dzień w mieście było cicho i spokojnie, lecz z nastaniem nocy zaczynało się coś niewyobrażalnego. Wszędzie rozlegała się strzelanina, słychać było krzyki, jakieś hałasy. Żołnierze z plutonu komendantury radzili nam nie wyściubiać nosa na ulicę. Drzwi komendantury zabarykadowano, przy otworach strzelniczych usiedli dyżurni obserwatorzy. Teraz zrozumiałem, dlaczego tak się obwarowali. Okazało się, że w ruinach miasta zebrało się dużo wszelakiej hołoty. Niedobici faszysti, przestępcy, nasi dezenterzy, angielscy szpiedzy i tak dalej. W komendanturze nasłuchaliśmy się niezwyklej historii o szajkach bandyckich, które jak grzyby po deszczu powstawały na terytorium przyszłej Polski. Kryminaliści mieli tu pełną swobodę, władza dopiero co się organizowała.

Jedną z takich szajek dowodził były kapitan sowiecki – dezenter, bohater Związku Radzieckiego, niejaki Głoba. Jego zastępcą był Obersturmbahnführer SS, a w bandzie była międzynarodowa zbieranina. Szajka jeździła po kraju na szybkich niemieckich samochodach marki Adler, świetnie uzbrojona w broń, która walała się w ogromnych ilościach na drogach. Trudno było ich złapać. Po ograbieniu miasteczka, pędzili w nieznanym kierunku z prędkością ponad 100 kilometrów na godzinę. W miasteczkach bandyci mieli informatorów, którzy powiadamiali ich przez radio, czy podąża za nimi pościg. Podobno Głobę ściagała długo i bezskutecznie cała dywizja NKWD. W końcu bandę otoczono. Głoba próbował się przebić. Cztery piąte jego towarzyszy straciło życie, a on sam uciekł do Niemiec Zachodnich. Zapewne teraz opływa w dostatki gdzieś w Stanach Zjednoczonych.

Inna banda była sprytniejsza, działała w ostatnich miesiącach wojny. Należało do niej dwóch Rosjan, dwóch Polaków i Francuzka. Gdy tylko nasze oddziały wchodziły do jakiegoś małego miasteczka, przyjeżdżali tam w sowieckich mundurach, zajmowali dom i wywieszali na nim duży

transparent z napisem „Komendantura”. Wtedy zaczynała się wyprzedaż majątku niemieckiego, który został w mieście. W imieniu nowej władzy sprzedawali młyny, domy, gospodarstwa, maszyny rolnicze, bydło. Zapłatę pobierali w złocie, walucie, kosztownościach. Wydawali pokwitowania z podrobioną pieczęcią. Polacy, niezwykle łasi na wszelkie spekulacje, łatwo dawali się oszukać. Operacja trwała dzień lub dwa, potem „komendanci” znikali, a po paru dniach przyjeżdżała prawdziwa komendantura... Tych aferzystów podobno złapano i skonfiskowano im pół samochodu kosztowności.

Ciekawie było słuchać historii kryminalnych, ale poczuliśmy się gorzej, kiedy jednej nocy napadnięto na nasz budynek. Zaczęła się strzelanina w kierunku okien i drzwi z automatów i karabinów maszynowych. Odezwał się lekki moździerz. Czuć było, że operacją nie dowodzi dyletant, lecz doświadczony wojskowy. Trzeba było przypomnieć sobie stare czasy i odpowiedzieć ogniem z otworów strzelniczych. Niezbyt zacisznie było pod gęstym gradem kul. Przeżyłem wojnę z jej niezliczonymi niebezpieczeństwami, a teraz, nie daj Bóg, przyjdzie mi stracić głowę w tej dziurze! Na szczęście, udało się nam. Drasnęło tylko jednego żołnierza i solidnie narobili w spodnie moi towarzysze, którzy nie wachali prochu w czasie wojny. Gdy tylko nastał świt, oblężenie się skończyło, napastnicy rozplnęli się jak zjawy – jak gdyby nic się nie stało. Kto to był, po co urządzono to przedstawienie, nigdy się nie dowiedziałem.

Z wielką radością załadowaliśmy się na „Goworowa”, który, nawiasem mówiąc, odpływał na noc daleko od brzegu, by uniknąć incydentów. „Goworow” dość długo płynął po Odrze, zanim wyszliśmy na pełne morze w Świnoujściu. Była to ciekawa podróż. Z rzeki sterczały wszędzie kadłuby i maszty zatopionych statków. W jednym miejscu tkwił zniszczony przez bombę tankowiec, w innym na dnie osiadł rozbity pancernik. W różne strony stroszyły się ogromne lufy jego dział, a woda podchodziła do mostka kapitańskiego. Przy brzegach osiadły łodzie podwodne i leżały wywrócone dźwigi.

W końcu wypłynęliśmy na Bałtyk. Było chłodno, wietrznie, ponuro. Deszczowe chmury płynęły równolegle do powierzchni ogromnych szarych fal. Mocno bujało. Na pokładzie przenikał nas ziąb i moi sprytni towarzysze dogadali się z mechanikiem, żeby wpuszczono nas pod pokład. Kajuta była dwuosobowa, ale zawsze któryś z jej mieszkańców stał na wachcie.

Urządziliśmy się wspaniale – w cieple, wygodnie. Tygodniowa podróż minęła nam niepostrzeżenie. Tym bardziej że całą drogę piliśmy bez przerwy wódkę z gospodarzem kajuty, zatwardziałym alkoholikiem, który tak opowiadał o sobie: „Poszedłem do lekarza, lekarz mówi: proszę pić żelazo... Przyszedłem do domu, przepiłem żelazne łóżko, ale lepiej mi się od tego nie zrobiło...”.

Płynęliśmy długo, omijając miny, którymi był nafaszerowany Bałtyk. Staliśmy dobrą godzinę w Helsinkach, a potem ruszyliśmy dalej, prawie ocierając się o skaliste urwiska fińskich szkierów, póki nie dotarliśmy do wyspy Suursaari. W końcu dopłynęliśmy do Kronsztadu, gdzie znów czekaliśmy dobrą godzinę. Można było oszaleć! Blisko moje miasto, blisko dom, a my sterczymy tu i czekamy! W Kronsztadzie staliśmy niedaleko uszkodzonego bombami jeszcze w 1941 roku liniowca „Marat”, widzieliśmy ruiny miasta.

W końcu, 4 listopada 1945, przybiliśmy do portu w Leningradzie. Urząd celny nie czepiał się nas szczególnie, mieli inne zmartwienia. Przy wyładunku rozpadła się skrzynia z maszynami i posypały się kupony materiałów, garnitury, buty i inne rupiecie. Odpowiadający za ładunek major zaczął strzelać z pistoletu... Ale nas nie obchodziło to widowisko. Szybko dogadaliśmy się z kierowcą wolnej ciężarówki i pojechaliśmy do miasta.

Po bogatym i pięknym Schwerinie, Leningrad wyglądał jak półtrup, w którym ledwie tliło się życie – brudny, okopcony, cały w bliznach po odłamkach i dziurach po bombach. Mieszkańcy – szarzy, zgarbieni i jakby spuchnięci, opatuleni w workowate ubrania, ledwie powłóczyli nogami.

Mój dom pojawił się nieoczekiwanie szybko. Jakiż on maleńki, jaki odrapany! Gdy tylko wysiadłem z ciężarówki, zderzyłem się z sąsiadką. Ach! I już biegnie mi na spotkanie mama – maleńka, przygarbiona, postarzała...

Skończyła się moja odyseja.

PRAWDY POWOJENNE

IGOR DJAKONOW, CZYLI KTO ZWYCIĘŻYŁ NIEMCÓW W WIELKIEJ WOJNIE OJCZYŹNIANEJ

Moja znajomość z Igorem Michajłowiczem Djakonowem zdarzyła się na początku lat pięćdziesiątych. Jako młody aspirant Ermitażu powinienem był zdać egzamin z języka obcego. Wykładowczyni zachorowała i żeby nie tracić czasu, pracownicy Ermitażu postanowili sami przeprowadzić ten egzamin. Wówczas starsze pokolenie pracowników Ermitażu, w ślad za tradycją przedrewolucyjną, swobodnie władało językami europejskimi, a czasem też wschodnimi, zgodnie ze swoimi specjalizacjami. Wśród egzaminatorów był Igor Djakonow. Zadziwił mnie swoim wyglądem: piękna, mądra twarz, czarny, dobrze skrojony garnitur, lśniąco biała koszula i dobrze zawiązany krawat. Jednym słowem, był tym, kogo w Europie nazywa się dżentelmenem. Wtedy w naszym socjalistycznym państwie ktoś taki był rzadkością. Mądra, żywa, zabarwiona humorem rozmowa z nim ostatecznie podbiła moje serce.

Później z opowiadań różnych ludzi dowiedziałem się, że Igor Djakonow pochodził z rodziny inteligenckiej, wiele lat mieszkał i uczył się w Norwegii, dokąd został oddelegowany jego ojciec. Potem ukończył Uniwersytet Leningradzki, stał się znanym w naszym kraju i za granicą badaczem Wschodu. Jego brat, Michaił Michajłowicz Djakonow, także znawca Wschodu, prowadził wspaniałe wykłady ze sztuki wschodniej, wzbogacając je własnymi przekładami starej poezji perskiej. Mówił nam, że obaj z bratem znają dwadzieścia siedem języków.

Kiedy zaczęła się wojna, Michaił Michajłowicz znalazł się na froncie i w pełni podzielił los żołnierzy sowieckich: dostał się na słynny przyczółek newski, gdzie w bezmyślnych atakach poległo około 200 tysięcy żołnierzy, został ranny i cudem przeżył.

Igora Michajłowicza czekał inny los. Dowództwo, dowiedziawszy się, że zna język norweski, skierowało go na front karelski do oddziału wywiadu i demoralizacji wojsk przeciwnika. Studiował tam zdobyte dokumenty, pisał ulotki dla wroga i przesłuchiwał jeńców. Warunki, w jakich żył, były typowo sowieckie: niedouczeni komisarze pijanice, współpracownicy piszący ulotki, które wywoływały wśród Niemców śmiech i zdumienie. Igor Michajłowicz starał się w miarę swoich sił to zmienić. Stopniowo zbierali się wokół niego ludzie myślący podobnie. Tak został sprowadzony z Syberii Fima Etkind[53], późniejszy dysydent, emigrant i profesor Sorbony. W swoich wspomnieniach Igor Michajłowicz tak opowiada o tym zdarzeniu:

„Fima zjawił się w podartym baranym kożuszką i starej czapce uszance. Dowództwo natychmiast urządziło mu egzamin. Miał napisać ulotkę noworoczną dla Niemców. Fima usiadł i napisał *Poemat o Michelu*, w którym znalazły się na przykład takie strofy:

*Michel der Gefreite
Stent vor dem Stab
Seine linke Seite
Frohr ihm ganzlich ab...*

(Starszy szeregowiec Michel/Stanął przed sztabem,/ Jego lewy bok/ Zamarzł całkiem...) I dalej o nieszczęśliwych przygodach zamarzającego starszego szeregowca. Nie była to zwykła ulotka przełożona z rosyjskiego na niemiecki. Żeby tak napisać, trzeba było nie tylko znać język, ale też folklor niemiecki, Schwank[54] i literaturę satyryczną od Hansa Sachsa po wierszyki o Maksie i Morycu. Takie teksty Niemcy niewątpliwie traktowali jako własne.”

Im bliżej końca wojny, tym mądrzej pracowali Djakonow i jego koledzy. Kiedy armia sowiecka wyparła Niemców z północnej Norwegii, Igor Michajłowicz został wyznaczony na komendanta miasta Kirkenes. Miejscowi mieszkańcy wysoko cenili młodego, przystojnego kapitana przepięknie mówiącego w ich ojczystym języku. Zrobił wiele dobrego, pomógł wyjaśnić wiele nieporozumień, uratować wielu ludzi. Po wojnie, po wielu latach, Igora Michajłowicza ciągle zapraszano do Kirkenesu na uroczystości jubileuszowe

i wyrażano mu wdzięczność za pomoc. Jednak o tym czytelnik może dowiedzieć się szczegółowo z *Księgi wspomnień* Igora Djakonowa, która została wydana niedawno.[55] Ja zaś chcę opowiedzieć historię, która nie znalazła się w tej książce, a stała się legendą przekazywaną z ust do ust.

Pewnego razu, w zimowe dni końca 1943 roku, kiedy mróz skuł tundrę i skały Półwyspu Kolskiego, a austriaccy strzelcy górscy generała Dietla zamarzali w swoich kamiennych schronach, rosyjscy zwiadowcy przyciągnęli z tyłów wroga rudego drąga – majora. Jego nazwisko zaczynało się od przedrostka „von”. Podczas przesłuchań milczał, patrząc pogardliwie na wrogów z wysokości swoich dwóch metrów. Można przypuszczać, o czym myślał: „Nie powiem nic tym wschodnim barbarzyńcom! Co za bezczelne mordy! I po niemiecku nie potrafią mówić, jak należy, i śmierdzi od nich wódką. Troglodyci”

Przesłuchiowano go wielokrotnie, bito, ale bezskutecznie. W końcu któryś z tłumaczy zmęczył się i postanowił poprosić o pomoc Djakonowa, który nie był zbyt lubiany. Niech ten „cywilny inteligent” spróbuje, ale na pewno Niemiec mu niczego nie powie, skoro nie powiedział nam...

Igor Michajłowicz poczęstował Niemca papierosem i po chwili milczenia zapytał:

– Kim pan był przed wojną?

Ten się zdziwił. Język niemiecki tego Rosjanina był bez zarzutu. Wycedził przez zęby, nie całkiem pewien, czy barbarzyńca zrozumie:

– Filologiem.

– Tak? A czym konkretnie się pan zajmował?

– Językiem z okresu Gotów.

Djakonow był poruszony. Dawno, dawno temu, w dzieciństwie, jemu i jego bratu wpadł w ręce rękopis wiersza z czasów gotajskich z biblioteki ojca. Wiersz nie został nigdzie opublikowany, wiedzieli o nim jedynie wybitni specjaliści, paru ludzi na całej kuli ziemskiej. Przypominając sobie z trudem, Djakonow zaczął recytować gotajskie strofy. I oto już mówi ostatnie wersy, jakie pamiętał, już kończy... Nagle drąga Niemiec jakby się złamał, opuścił głowę i wielkie łzy popłynęły z jego oczu.

– Skąd tu, w tej krainie lodu, pośród tych skał, wśród dzikich barbarzyńców, pan to zna? To niemożliwe! Zupełnie niemożliwe!

Objął Djakonowa, parę minut dochodził do siebie, przeżywając upadek swoich wyobrażeń o Rosjanach, o świecie, a potem zaczął mówić, mówić,

mówić... Okazało się, że był specjalnym wysłannikiem Naczelnego Dowództwa armii niemieckiej, odkomenderowanym do sztabu generała Dietla z ważnymi rozkazami. Niezwłocznie odesłano go samolotem do Moskwy. Tłumacze rzucili się na Djakonowa z pytaniami, jak udało mu się osiągnąć taki sukces. Ale nie dane było im tego zrozumieć, tak jak wielu nie rozumie, jak Rosjanie zwyciężyli Niemców w tej straszliwej wojnie.

Jakkolwiek to dziwne, najlepiej ze wszystkich zrozumiał to Stalin. Już w 1941 roku, kiedy zorientował się, że armia jest zdezorganizowana, a z wojsk stojących na granicy zostało jedynie osiem procent i krajowi grozi katastrofa, zwrócił się do tych, których deptał, nad którymi się znęcał – do narodu: „Bracia i siostry...”. Potem poluzował prasę miażdżącą Cerkiew, wprowadził w armii naramienniki, tym samym odbudowując tradycje przedrewolucyjne, zlikwidował szkołę komisarzy, rozpuścił Komintern, rehabilitował wielu aresztowanych wcześniej dowódców wojskowych. Wielcy wodzowie przeszłości – Suworow, Kutuzow, jeszcze niedawno obrzucani błotem przez samego Stalina, znów wrócili na sowieckie sztandary... I naród się zjednoczył. Tym bardziej że Niemcy swoimi podłościami i przemocą wobec ludności cywilnej zniszczyli wszelkie złudzenia związane z nimi na początku wojny, kiedy wielu chłopów zagnanych do kołchozów, więźniowie Gułagu, a też zwykli mieszkańcy miast i wsi oczekiwali ich jako wyzwoliciele. Teraz pozbyli się złudzeń.

Niemcy zobaczyli przed sobą zjednoczony naród, który stanął przeciwko nim.

Kto więc zwyciężył Niemców? Stalin i jego partia? Czy Djakonow i jemu podobni?

CZTERDZIESTOLECIE

W Instytucie świętowano czterdziestolecie zdjęcia blokady Leningradu. Do auli spędzono studentów, którzy się zagapili i nie zdążyli się schować albo zwiać. Przyszli wykładowcy, pracownicy. Na podium pojawił się zasłużony działacz sztuki, prorektor Instytutu do spraw naukowych, profesor, znany jednak nie tyle z prac naukowych, co z umiejętności knucia intryg wewnętrznych i pozainstytutowych oraz triumfów nad płcią piękną. Wzruszył potężnymi ramionami, pokazał publice swój wspaniały profil Rzymianina epoki upadku Imperium, błysnął okazałą łysiną lekko przykrytą zaczesanymi na nią siwymi kosmykami i zaczął mowę na temat „Jak walczyliśmy”.

Obok mnie siedział zgryźliwy, trzęsący się, koślawy staruszek, który kiedyś był sekretarzem partii w Instytucie, ale w czasach stalinowskich wyrzucono go z tego stanowiska za nadmierny liberalizm. Szeptał mi do ucha o dawno minionych wydarzeniach:

„Było to w 1942, w najcięższym okresie wojny. Chłodną i głodną zimą Instytut został ewakuowany i znalazł się gdzieś daleko na Wschodzie. Na froncie trwały krwawe boje, które pochłaniały miliony ofiar.

Potrzebne były cały czas nowe miliony, żeby zatkać przepastne dziury w naszej obronie. Mężczyzn na tyłach już prawie nie było. Dowództwo przeczesywało ludność, by wyłować tych, co się uchylali. W mieście obradowała nadzwyczajna komisja mobilizacyjna: główny komendant wojskowej komendy uzupełnień, sekretarz rajkomu[56] i główny z miejscowego NKWD. Przyszła kolej i na Instytut. Wezwani stawali przed komisją nago, żeby od razu wszystko było jasne i żeby nie tracić czasu.

Jako pierwszy wszedł wąły wykładowca kaligrafii i perspektywy Peterson, podobny do małej, pokurczonej żabki. Milcząc, zaprezentował

wysokiej komisji swoje szklane oko – położył je na dłoni przykrytej nieświeżą chusteczką do nosa. Komisja pomilczała, posapała i podsumowała:

– No, z wami wszystko jasne. Idziecie do domu.

Jako drugi wszedł ktoś znany ze swoich przypadłości:

– O, gruźlica... – powiedział, wstrząsany kaszlem.

– To nic, będziecie służyć ojczyźnie! Na front!!! – zdecydowała komisja. – Następny!

Następny był atletycznej budowy, kwitnący młody mężczyzna o profilu starożytnego Rzymianina z okresu upadku Imperium. W ręce trzymał gruby plik papierów z licznymi pieczętkami i podpisami, którego nie omieszkął przekazać komisji.

– Taaak – komisja czytała zaświadczenia – nerki zniszczone, płuc prawie nie ma, serce szwankuje... Taaak!

Nawet główny z NKWD, który widział w swoim życiu tyle, że nie da się tego wyrazić słowami, patrzył ze współczuciem na właściciela zaświadczeń.

– No cóż, idźcie, dożywajcie swoich lat – ciągnął zamyślony.

Tak walczyliśmy w czasie wojny.”

WOJNA ZAWSZE BLISKO

Było to wiele lat po wojnie. Spacerowałem po opustoszałym parku w Carskim Siole i zobaczyłem dziewczynę siedzącą na ławce. Ładniutka – zauważyłem w duchu. Przeszedłem 50 metrów i nagle poczułem nieokreślony niepokój, więc zawróciłem. Dziewczyna nadal siedziała w tym samym miejscu, ale z jej ręki pulsującą, koralową strugą płynęła krew. Głupia! Podcięła sobie żyły! Dalej działałem mechanicznie, sprawnie, pewnie i szybko. Tak gra pianista, nie patrząc na klawisze, tak przepisuje doświadczona maszynistka, myśląc o swoich sprawach, albo balerina tańczy wyuczone *pas*.

Ileż dziesiątków razy przerabiałem podobne rzeczy podczas wojny! „Tak – pomyślałem – wojna zawsze jest blisko mnie.” Pewnym ruchem skręciłem opaskę z chusteczki do nosa, przewiązałem nią rękę dziewczyny powyżej łokcia, odłamałem z drzewa gałązkę, podsunąłem ją pod opaskę i skręciłem, żeby zacisnąć i zatamować krwawienie. Powolutku poprowadziłem dziewczynę do wyjścia z parku, licząc na to, że spotkam tam ludzi. Rzeczywiście, spacerowały tam jakieś kobiety. „Natychmiast proszę wezwać pogotowie!” – krzyknąłem.

Czekaliśmy pięćdziesiąt minut, w czasie których przekonywałem dziewczynę: „Żadne nieszczęście, żaden smutek, żadna krzywda nie są warte tego, by z ich powodu pozbawiać się życia...”, ale moje słowa nie miały sensu. Dziewczyna mnie nie słuchała. Co prawda, mój głos jakby ją uspokajał. W końcu przyjechała karetka. Powiedziałem lekarzowi: „Ścisnąłem prowizoryczną opaskę, trzeba by założyć porządny opatrunek. Ostrożnie, proszę nie zdejmować!”. Ale młody, zarozumiały lekarz zerwał opaskę. Jakbym usłyszał jego myśli: „Będzie mnie tu taki pouczał”. Krew

znów trysnęła fontanną. Lekarz szybko założył nową opaskę i karetka odjechała. Umyłem zakrwawione ręce w stawie i wróciłem do domu.

WETERANI I MIEJSCA PAMIĘCI

Minęły lata, potem dziesięciolecia. W 1978 roku pewnego razu na trzeciej stronie leningradzkiej gazety zobaczyłem niewielkie ogłoszenie: „Odbędzie się spotkanie weteranów 311 DS”... Może pójde zobaczyć, kim są ci weterani? Kto został z ponad 200 tysięcy żołnierzy, którzy zagaśli podczas wojny w tej dywizji? Poszedłem nie bez obaw.

Zebrało się dwudziestu ludzi. Jak się dowiedziałem, zarejestrowanych było w sumie około czterystu, ale głównie mieszkali w Kirowie, gdzie została sfromowana dywizja. W Leningradzie jedynie mała część, jakieś czterdzieści osób. Oczywiście, nikogo ze znanych mi żołnierzy wśród nich nie było.

Sekretarz sekcji leningradzkiej, Abram Moisiejewicz Szub, sympatyczny, łysiejący mężczyzna, przedstawił niektórych przybyłych: lekarza pułkowego, sanitariuszkę, dwóch niemłodych już starszych sierżantów, głównego aktywistę komsomolskiego, który jeszcze nie stracił swego rysiego wzroku. Było wielu intendentów, zaopatrzeniowców i innych pracowników tyłowych. Wszyscy na piersiach mieli baretki, ordery, pamiątkowe odznaki. Tylko jeden z nich nie miał orderów, ale nie miał też oka, nogi i ręki.

– Ty skąd? – spytałem.

– Pieszy zwiad... – odpowiedział.

Prezydium przewodniczył podpułkownik w mundurze, który wisiał na nim jak worek – ostatni szef sztabu dywizji. Głowa mu lekko drżała, ręce się trzęsły, uderzając o blat stołu. Słuchał przemówień i na koniec wystąpił sam:

– Ja, jak widzicie, jestem już słaby, ale chcę was powitać i wezwać do wyrażenia protestu przeciwko działaniom wojsk chińskich w Wietnamie!

Akurat w tym czasie Chińczycy napadli na swojego sąsiada. Wszyscy wstaliśmy więc i wyraziliśmy. Abram Moisiejewicz Szub wyraził zaś słowa

radości z powodu spotkania kolegów z pułku, a potem zaproponował, żeby wszyscy po kolei opowiedzieli o sobie.

– A kim pan był w dywizji? – zakrzyknąłem.

– Plutonowym.

– A funkcja?

– ...

– No... Jaka?

– Pracowałem w oddziale specjalnym.

Potem długo wspominali starsi sierżanci. Zaczął się nierozwiązywalny spór o to, czy we wrześniu zbombardowano jedną z kompanii pod Kiriszami. Zapowiadało się, że spotkanie się przeciągnie. Mądry, doświadczony Szub pilnie składał podziękowania mówcom, ale wtenczas zapragnął zabrać głos były redaktor gazety dywizyjnej – jakiś emerytowany pułkownik. Przyszedł na zebranie w eleganckim garniturze, z licznymi orderami i z żoną – farbowaną blondynką o 20 lat młodszą do męża. Jego wystąpienie, długa biografia frontowa, było czystą przechwałką. Wychodziło na to, że wojnę wygraliśmy dzięki niemu! A przecież ten człowiek nigdy nie słyszał świstu kul. Żył w cieple i wygodzie, 50 kilometrów od frontu, pisał artykuły, których nie dało się czytać i które wykorzystywano w najlepszym wypadku do skręcania papierosów. Potem opowiedział, że przeszedł niedawno operację serca, leczył się w najlepszej klinice u znakomitych lekarzy, ale klnie się na wszystko pozostać wiernym 311 Dywizji Strzeleckiej!

Jego kwadratowa fizjonomia wyrażała absolutne beztalencie z jednoczesnym ślepym zadufaniem. Przez te wszystkie lata po wojnie nie zdołał napisać wspomnień o dywizji – zapewne wspominać tak naprawdę nie miał czego, a i zadanie było ponad jego siły. Wykonał je były fotograf dywizyjny – plutonowy Daniil Onochin[57], jeden z niewielu, którzy przetrwali w dywizji od dnia jej sformowania do końca wojny. Onochina strzeżono, żeby miał kto robić zdjęcia do legitymacji partyjnych, absolutnie niezbędnych podczas wojny.

Były redaktor zaczął swoje wystąpienie od początku. Nie dało się już słuchać tych bredni, więc zwróciłem uwagę farbowanej blondynce.

– Bardzo się przy pani stara. Oby nie dostał ataku serca, proszę go uspokoić!

Blondynka i Szub, nieustannie dziękując pułkownikowi, posadzili go na fotelu, dali wody.

Trwało to już długo. Szub chciał kończyć, ale jakoś sama z siebie wynika szersza dyskusja. W przybliżeniu taka:

- A pamiętasz, jak w styczniu czterdziestego drugiego żarliśmy koninę?
- Trzeba nacierać tłuszczem borsuczym, uszka niedźwiedzie również pomagają.
- Powinienem dostać order, ale sprawa się zawieruszyła.
- Póki Sidorow jeździł po pociski i broń na tyły, jego PŻP żyła z PNS-2[58].
- Major Swistunow został zabity nie w czterdziestym drugim, a w czterdziestym trzecim!
- A teraz mam trzypokojowe mieszkanie.
- Ja jej, znaczy się, mówię...

Rozmówcy dostali na twarzy wypieków, patrzyli na siebie rozpalonym wzrokiem, machali rękami, niektórzy sięgali po validol. Ciągnęło się to dość długo, potem Szub podziękował zebranym, poprosił o trzyrubłówkę od łebka na bieżące potrzeby weteranów i rozeszliśmy się, każdy do swojego życia.

W wyniku tego spotkania otrzymałem za trzy ruble ładną odznakę „Weteran Frontu Wołchowskiego”, przypominającą order szacha perskiego zeszłego stulecia i za darmo – odznakę „Weteran 311 Dywizji Strzeleckiej”, przedstawiającą gwiazdę na tle szmatki z frędzlami, jasnoczerwoną, jakby umoczoną we krwi. Odznaka niezwykle pasująca do 311 DS.

Podczas tego zebrania miałem jeszcze jedno dziwne spotkanie. Znalazł się tu dowódca dywizji artylerii, który latem 1943 roku posłał nasze działo na pole minowe, gdzie z powodzeniem wylecieliśmy w powietrze.

- Kłamiesz! – powiedział mi brutalnie. – Tam wszyscy zginęli!
- Przytoczyłem mu fakty, nazwiska.
- Przecież nie mogłeś przeżyć! Tam wszyscy zginęli – powtórzył mniej pewnie. – Chodźmy, napijemy się!
- Nie poszedłem z nim się napić.

Później znalazłem ogłoszenie o spotkaniu weteranów 48 Gwardyjskiej Brygady Artylerii, w której zakończyłem wojnę. Na spotkanie nie chciało mi się iść, więc odwiedziłem sekretarza sekcji leningradzkiej w domu. Było to Borys Zalegaller, bardzo przyjemny starszy człowiek, docent Akademii Rolniczej. Przyjął mnie serdecznie, opowiedział o wszystkim, co wiedział, a ja usiłowałem sobie przypomnieć, co robił w czasie wojny. I przypominałem sobie. Był zaopatrzeniowcem, dowoził z tyłów pociski.

Często w słuchawce telefonu słyszeliśmy: „Ej, Zalegaller, twoja mać, gdzie ty zalegasz? Pocisków nie ma?”.

Znajome nazwiska w zeszycie Zalegallera przywiodły obrazy dawno zatarte w mojej pamięci. Wańka Kramer. Według Zalegallera umarł niedawno w Gatczynie. Był to świetny chłopak, choć z przestępczą przeszłością. Pewnego razu w Schwerinie znalazłem się w jego towarzystwie. Całą noc rznęliśmy w karty. Paliły się świece, pod sufitem kłębił się dym papierosowy. Ta pierwsza i ostatnia w moim życiu gra przyniosła mi wygraną: spodnie i krowę. Spodnie były czarne, długie. Najwyraźniej nosił je jakiś dwumetrowy Niemiec, musiałem obciąć dziesięć centymetrów nogawek. Te spodnie bardzo mi pomogły w trudnych latach studenckich. Nosilem je dwa sezony, w trzecim przetarły się z tyłu. Musiałem skorzystać z cudu ówczesnej sowieckiej chemii – kleju FB („Flota Bałtycka”). Zrobiłem wszystko zgodnie z zasadami: posmarowałem spodnie klejem, przyłożyłem łąkę, przeprasowałem żelazkiem. Wyszło coś twardego, na kształt patelni, głośno uderzającego o siedzenie, kiedy siadałem. Po dwóch dniach te stwardniałe łąty całkiem porwały się na brzegach i wypadły, tworząc z tyłu spodni okrągłe dziury.

Krowę Wańka Kramer odprowadził do rzeźnika. Wyszły z niej kilogramy smacznej kiełbasy, którą jedliśmy i wymienialiśmy u Niemców na wódkę. Wańka nawiązał szerokie kontakty z przestępcami niemieckimi i załatwiał z nimi różne sprawy. Raz z BagraDEM Biezanowem, przystojnym Gruzinem, zorganizowali grę w karty z niemieckimi kolegami, która trwała trzy doby i po której Niemcy zostali w samych kałesonach, a wszystkie ich rzeczy przywieziono na taczkach do nas. Nie ma rady! Gra to gra! Biezanowa mało pamiętam oprócz tego, że trzy razy chorował na trypra i raz na syfilis – to mnie swego czasu przeraziło.

Niemieckie towarzystwo przestępcze szybko ochłonęło z porażki i kontynuowało swoją działalność. Pewnego razu potrzebowałem spirytusu – wziąłem puszkę z konserwą, poszedłem do znajomej piwnicy i zastałem tam naszych przyjaciół razem z jakimiś nieznanymi mi ludźmi. W pomieszczeniu był bałagan. Nie zastanawiając się, powiedziałem do Niemca:

– Ej, Kamerad, dawaj sznapsa!

Niemiec popatrzył na mnie z ledwo powstrzymaną odrazą:

– *Nichts Schnaps. Ich bin aus Polizei!*[59]

Zrozumiałem, że na naszych przyjaciół przyszedł koniec, a ja powinienem

się zwijać, póki się mną nie zainteresowali. Policja niemiecka, dopiero co zorganizowana i nawet jeszcze bez mundurów, tylko z czerwonymi opaskami na rękawach, nie miała prawa ruszać naszych żołnierzy, ale, bez wątpienia, była związana z komendanturą sowiecką. Zniknąłem w tej sekundzie i nigdy więcej nie widziałem niemieckich bandytów. A nieźli byli! Jeden bez palców u ręki, drugi z wybitym okiem, u trzeciego – ryj cały w szramach. Zapewne na froncie też wojowali.

Jeszcze jedno nazwisko z zeszytów Zalegallera coś mi mówiło. Sierżant gwardii Bugajew. Był sportowcem i razem z innymi sprawdzonymi towarzyszami w ostatnich dniach wojny otrzymał do wykonania delikatne zadanie. Rzecz w tym, że w lasach na naszych tyłach zostało wielu ludzi, którzy nie chcieli spotkania z organami sowieckimi. Byli tu esesmani i różni nazistowscy bonzowie, własowcy i nasi dezenterzy. Wyłapywano ich, ale wielu uciekło na Zachód za Elbę, w gościnne objęcia Amerykanów i Anglików. Nasz kontrwywiad wymyślił sposób „neutralizacji” tych ludzi. Obyte chłopaki, jak Bugajew, szli do lasu, szukali uciekinierów, przyłączali się do nich, objaśniając, że też chcą uciekać na Zachód, a potem nocą, po cichutku – nożykiem pod żebra – likwidowali nowych przyjaciół. Rozstrzygać, kto winien, a kto nie, nie kazano im. Skoro ucieka na Zachód, znaczy wróg – trzeba go zabić, i po kłopotach. Pomyłki nie będzie. Jak mówiono, Bugajew dokładnie wypełniał rozkazy.

Obserwując weteranów ze swojej jednostki, i nie tylko, zauważyłem, że większość z nich ma skostniałe poglądy. Po pierwsze, przy życiu pozostali głównie żołnierze tyłowi i oficerowie – nie ci, których posyłano do ataku, lecz ci, którzy posyłali. I polityczni. Ci ostatni to stalinowcy z przekonania, nie są w stanie ocenić wojny obiektywnie. Tępotą, nasiloną sklerozą, jest nie do pokonania. Zaś ci, którzy analizują przeszłość (i takich jest niemało), już nigdy nie pozbędą się traumy wywołanej strachem. Oni nie paplają po próżnicy i zachowują milczenie. Ja również te zdania piszę z przemożnym strachem, że dostanę za swoje.

Kontakty z weteranami rozbudziły we mnie chęć pojechania na miejsca walk, żeby zobaczyć, jak one teraz wyglądają. Godzina z kawałkiem jazdy i znalazłem się na peronie w Pogostju. Łoskot pociągu podmiejskiego zamilkł w oddali, ogarnęła mnie nieoczekiwana cisza. Błękitne niebo, świeci słońce, wokół zielenieje las – ani jednego dźwięku! Powietrze wypełnia jedynie odurzający aromat lasu, traw i kwiatów.

Nasyp kolejowy – jakież on niski! A przecież wydawał się wysoki jak góra, kiedy musieliśmy czołgać się i przetaczać przez niego, wijąc się jak żmije pod kulami i odłamkami gwizdzącymi ze wszystkich stron. Gdzieś widać resztki niemieckich punktów ogniowych, ale trzeba ich poszukać w trawie. Wszystko osypało się, zarosło, a las podszedł bliźutko, prawie do torów. „Dolina śmierci”, kiedyś zavalona trupami, teraz zarosła krzakami, chabrami i niezapominajkami. Tylko las jest taki sam – osiki, olchy, brzoźki, rzadkie świerki – niski, z gęstymi zaroślami. Trudno się przedrzeć przez tę gęstwinę. Gałęzie uderzają w twarz, pajęczyny zaklejają oczy, w uszy i pod czapkę leżą kleszcze. Po płaskającej pod stopami ziemi pełzają żmije. Pogostje to stracone miejsce.

Nasze ziemianki i mogiły zniknęły, ale wiele innych, wraz z lejami, rowami, okopami, zachowało się. Iść przez taki las to istna męka, co i rusz wpadam w jakąś dziurę. Gdzieś spotykam zbutwiałą warstwę bali – to resztki starej drogi, którą położyliśmy w 1942 roku. Nie znalazłem jednak śladów wykopu w nasypie kolejowym, przez który biegła droga do Pogostja. Wykop ratował nas poza tym przed ostrzałami artyleryjskimi. Pewnego razu siedzieliśmy tam wygodnie i zżeraliśmy dwudniowy żelazny zapas jedzenia, który wydano nam przed atakiem – konserwy, suchary, słoninę. Prosta żołnierska mądrość uczyła: należy zjeść wszystkie zapasy przed walką – a nuż zabiją i nie spróbujesz!

Oto mostek przez rzeczkę Mga. Tu w 1943 roku zastał mnie silny ostrzał. Wielkokalibrowe pociski wybuchały jeden przy drugim, ale zdążyłem dać nura w wąski okop. Z góry zwałił się na mnie ciężko, dysząc ze świstem, kapitan gwardii Ryzenko, tyczkowate, płowowłose chłopisko. Byłem bardziej lub mniej przyzwyczajony do ostrzałów, a on, rzadko bywając na pierwszej linii, bardzo się wystraszył. Poczułem, jak rzepki w kolanach kapitana latają w górę i w dół. Nazywają to „drzeniem kolan”.

Kapitan Ryzenko był zastępcą dowódcy do spraw politycznych i prowadził wśród nas pracę wychowawczą. „No, chłopcy, pośpiewajmy!” – mówił. I zaczynaliśmy śpiewać: „Zza lasu słońce wschodzi, Woroszyłow ku nam jedzie”, dalej o Gali, która była młoda i którą przywiązano „do sosny warkoczami” i był tam jeszcze „pod górą gaj”. Śpiewaliśmy też pogładowe czastuszki o starym, niesprawnym mężu. Kapitan Ryzenko prowadził swoją robotę praktycznie, nie mówił zbyt wiele o najwyższych ideałach. Przystosowywał się do konkretnych warunków i jego wysiłki były skuteczne.

Na przykład, kiedy całkiem opadliśmy z sił po sześćdziesięciokilometrowym marszu, powiedział:

– A no, chłopcy, słuchajcie!

Słuchaliśmy.

– Co ono takie jest, co skoro by to było, to nic by na świecie nie było?

– Nie wiemy, towarzyszu kapitanie! – odpowiedzieliśmy chórem, mocno zaintrygowani.

– Widzicie to wzniesienie? – pokazał na wzgórze, jakiś kilometr przed nami. – Tam pójdziemy, tam też powiem.

Doszliśmy, zwaliliśmy się na ziemię ledwie żywi, zrzuciliśmy z ramion ciężki ekwipunek i łapiąc oddech, zapytaliśmy:

– Cóż to takiego, towarzyszu kapitanie?

– A to skoro by w tym miejscu, co wychodzą dzieci, były zęby...

Gdzieś tu, przy mostku przez Mgę, długo wałała się oderwana dłoń, biała, jakby sztuczna, a tam dalej, 50 metrów stąd, na obciętym przez pocisk pniu drzewa wisiał okaleczony nieboszczyk, rzucony przez falę wybuchu. Teraz na tym miejscu nie ma nawet pnia – wokół tylko krzaki. Gdzieś w pobliżu zimą czterdziestego drugiego przerzuciałem przez nasyp kolejowy sanki z rannym. Kula przebiła mu płuco i przy każdym oddechu z rany wychodziło powietrze razem z krwawymi bańkami. Za torami kolejowymi stały rozbite czołgi i nasz odważny traktorzysta wyciągał je, zaczepiwszy za swój ciągnik, nie zwracając uwagi na ostrzał. Czołgi wyremontowano i ponownie puszczono do walki. Teraz jest tu tylko trawa. Nawet lejów nie widać. A tam, w oddali, gdzie biegnie droga do wioseczki Małuksa, na gładkiej powierzchni zamrożonego bagna leżał do góry podwoziem nasz zestrzelony myśliwiec „Osiołek”[60]. Pilota pochowaliśmy w śniegu w pobliżu.

We wsi Pogostje stoi dziesięć nędznych domków. Ziemia między nimi, mimo upływu 35 lat, cały czas nosi ślady wojny. Jest jak twarz przeżarta ospą, w strupach i krostach, choć zielona trawa zmiękcza obraz. Okopy zarosły kwiatami, w dołach po ziemiankach stoi woda. W trawie leżą zwoje drutu kolczastego, z ziemi sterczą zbutwiałe bale – resztki zapór przeciwczołgowych i betonowe słupy. Gdźieniedzie walają się jeszcze hełmy, sporo gumowych masek przeciwgazowych i podeszew od butów z na wpół zetłłą skórą z wierzchu. Widzę czarny kabel telefoniczny znikający w bagienku. Tam trawa jest gęstsza, leży w niej szkielet w hełmie i w butach, z zapiętym pasem. Trzyma słuchawkę telefoniczną przy czaszce. To szczątki

łącznościowca, który już 38 lat pełni służbę. Szkielety zdarzają się teraz rzadko, więcej jest porozrzucanych kości – czaszki, miednice, żebra, kręgosłupy. Leżą wszędzie. Zwłaszcza tam, gdzie z jakiegoś powodu naruszono glebę – przejechał traktor, kopano rów, naprawiano drogę. A nad wszystkim rośnie bujny las, wypełniając powietrze swoimi zapachami.

Zamulona rzeczka Mga ginie w zaroślach. Prawie jej nie widać. Tylko w jednym miejscu usłyszałem szemranie i zwróciłem uwagę na groblę z rozlewiskiem. To gospodarstwo bobrów, które po wojnie przysły z Finlandii w tutejszą dzicz. Akurat przy tej rzeczce w 1943 roku budowano drugą linię umocnień. Stawiano betonowe czapy, kopano okopy, co i raz natykając się na płytko zakopanych nieboszczyków. Teraz z tych budowli nic nie zostało. A tu chodziłem wśród błotnych traw, wyszukiwałem soczyste, grube źdźbła i zajadałem się nimi. Instynkt życiowy podpowiadał, co jest jadalne, a co nie. Jeść chciało się śmiertelnie...

Tu, w niewielkim wąwozie, siedział stary Sybirak Kabin, były nauczyciel, i gotował w kociołku ogromne grzyby z czarnymi kapeluszami, przypominające wschodnie minarety. Myślałem, że to muchomory, i ze strachem odwodziłem Kabina od pomysłu, jak mi się wydawało, zagrażającego życiu. Kabin, spokojnie patrząc przez okulary w żelaznej oprawie skręcone drutem kolczastym, uspokajał mnie: „Żreć się chce, poza tym nie jem ich po raz pierwszy!”. W tejże chwili zaczęły wybuchać pociski, jeden trafił w ognisko i kociołek wyleciał w powietrze, oblewając nas gorącymi bryzgami. Kabin poirytowany zapalił fajkę... Wiele lat po wojnie widziałem te grzyby pod Leningradem, u pewnego akademika na daczce. Powiedziano mi, że są całkowicie jadalne, trzeba je tylko długo gotować. Po łacinie nazywają się *Phallus*, a po naszymu sromotnik bezwstydney.

Gdzieś tu, na bagnie, znajdowała się izdebka z bali dowódcy naszego batalionu. Pewnego razu o świcie z automatem w rękach pełniłem w pobliżu wartę. W porannej mgle jak cień wyskoczyła z domku dziewczęca postać i zniknęła w zaroślach. Było to piękne jak w bajce i na długo zostało mi w pamięci. Minęło wiele dziesięcioleci. Już jako staruszek znalazłem się w leningradzkim szpitalu dla inwalidów wojennych – dolinie płaczu, do której zwożono zestarzałych bohaterów, by umierali. Spotkałem tam kalekę, który był kiedyś felczerem w naszej dywizji. Oddaliśmy się wspomnieniom i opisałem mu swoje nocne widzenie. Okazało się, że znał dowódcę naszego batalionu, kapitana Podgornego, i jego ukochaną, siostrzyczkę

z *miedsanbatu*. Dziwne były ich losy. Podgorny w 1941 roku pod Pogostjem był plutonowym. Przeżył jako jedyny z całego batalionu, otrzymał awans na lejtnanta. W 1943 został kapitanem, w 1944 został zabity. Zaś dama jego serca stała się posiadaczką dziwnej i straszliwej siły. Była piękna, zalecano się do niej, ale gdy tylko dochodziło do bliższych kontaktów, każdy z jej wybranków ginął. Czwartego kawalera (nie licząc Podgornego), kiedy wojna praktycznie się skończyła i walki już ustały, trafił przypadkowy pocisk.

Pracami przy budowie umocnień na naszym odcinku Mgi dowodził szef kompanii. Średniego wzrostu, mocno zbudowany, śniady, czarnowłosy, odznaczał się szybkością reakcji, trzeźwym umysłem i precyzją ruchów. Nie był zwykłym starszym sierżantem, który jedynie zarządza oprowiantowaniem i żyje przy kuchni. Najmniej zajmował się załatwianiem swoich spraw i zupełnie nie starał się zadowalać dowództwa. Rzadko widywałem podczas wojny ludzi, którzy tak wiele robili dla ogółu, czasem ze szkodą dla siebie i nigdy nie afiszowali się ze swoją dobrocią. Krążyły o nim legendy.

W czasie ataku niemieckiego jesienią 1941 roku, kiedy Niemcy chcieli ostatecznie złamać nasz opór na wschód od Leningradu, zdarzyła się normalna dla tego czasu sytuacja: wojska zajęły skrzydła, a kluczowa pozycja w centrum obrony pozostała odsłonięta. Generałowie wydawali rozkazy z głębokich tyłów i albo coś pomylili, albo nie doprecyzowali, albo działali prawą nogą przez lewe ramię. Tego, co dzieje się na pierwszej linii, widocznie nie byli w stanie sobie wyobrazić. A tam niemiecki oddział na transporterach opancerzonych prosto po szosie ruszył na odsłoniętą pozycję. Przypadkowo znalazł się w pobliżu nasz starszy sierżant. Rzucił okiem i momentalnie zrozumiał sytuację. Wystarczy, że nawet niewielkie siły niemieckie przedrą się w tym miejscu, a zatrzęszie cała nasza obrona, pęknie cały front! Nie czekał na rozkazy dowództwa, wiedząc, że na rozmowach i wahaniach miną godziny. Zaczął działać według własnego pomysłu. Szybko zebrał żołnierzy, których miał pod ręką, nawet lekko rannych, posadził ich w okopach przecinających szosę, zatrzymał zbłąkany wóz strażacki, zagroził nim drogę, a strażaków również zmobilizował dla obrony. Zatrzymał jadących w las artylerzystów z dwoma lekkimi działami. Innymi słowy – stworzył grupę dla odparcia niemieckiego ataku i zasłonił nią wyrwę na szosie, która powstała z powodu czyjejś głupoty. Grupa utrzymała się sama około dwóch godzin, póki dowództwo nie kapnęło się i nie przysłało tu batalionu. Starszy sierżant własnoręcznie zniszczył z broni

przeciwpancernej transporter opancerzony wroga. Front ustabilizował się na długo.

W istocie ta maleńka potyczka miała niebywałe znaczenie taktyczne. Zapobiegła przerwaniu frontu i, jak sądzę, w ostatecznym rozrachunku przyczyniła się do niepowodzenia niemieckiej próby zdobycia Leningradu. Starszy sierżant zaś zrobił, co do niego należało, skromnie usunął się w cień i wrócił do swoich normalnych zajęć, nie pretendując ani do nagród, ani do sławy. Nikt nawet nie wspomniał o człowieku, który naprawił błąd wielkiego dowództwa. Od samego starszego sierżanta nigdy nie słyszałem ani jednego słowa o tym epizodzie.

Wobec żołnierzy na pierwszy rzut oka bywał surowy, nie miał sentymentów, ale, jak mogłem to ocenić dopiero po czasie, był to jedyny trafny sposób postępowania, za którym kryła się prawdziwa troska o ludzi. Starszy sierżant miał doświadczenie, potrafił skubnąć najlepsze kaski w magazynach tyłowych, zdobyć praktycznie wszystko i nie przebierał w środkach. Ale robił to dla ogólnej korzyści, z rzadko spotykaną, zadziwiającą bezinteresownością.

Na każdy życiowy przypadek nasz starszy sierżant miał swój aforyzm, czasem cięty i pikantny, ale zawsze trafiał w samo sedno. Niedawno wpadła mi w ręce wydana po wojnie książeczka *Żołnierskie przysłowia i powiedzonka*. Zaczynała się mniej więcej następująco: „Szanuj oficera, do roboty się zabieraj!”. Starszy sierżant daleki był od oficjalnego folkloru. Kiedy zobaczył na przykład, że z trudem przerzucamy ziemię łopatami, mówił: „Przy jedzeniu się poć, marznij przy robocie!”. A kiedy nasza przerwa na papierosa z drzemką przeciągała się godzinami, pytał: „Znów, braciszku, baki zbijacie?” albo: „Koniec tego plucia i łapania!”. Pewnego razu zimą kuliśmy łomami zamarzniętą ziemię i gdy podnieśliśmy kołnierze, by osłonić się przed wiatrem, starszy sierżant rozkazał: „Ściągać płaszcze! W porciętach nie wesele, w płaszczach nie robota!” i sam złapał się za łom. Innym razem Niemcy odcięli nas od zaopatrzenia. Siedzieliśmy w lesie pod Pogostjem trzy dni bez jedzenia. Starszy sierżant, przyzwyczajony wszystko robić samodzielnie, poszedł po prowiant. Przepadł na dwie doby, wrócił ponury, poczerniały, zarośnięty.

- No, jak, towarzyszu starszy sierżancie, przynieśliście coś do żarcia?
- Tak, przyniosłem. Uszy!
- Jakie uszy?

– Z p...y uszy! – złośliwie odpowiedział starszy sierżant.

Takich powiedzonek znał nieskończenie wiele. Miał mądrość życiową, zdrowe podejście do spraw, nie rozpaczał z powodu niesprawiedliwości, nie rozsądzał niedbalstwa i bałaganu, lecz starał się naprawić je czynem. Kiedy raz w okopie próbowałem zagadać z nim o nikczemnościach, jakie panoszyły się wokół, krótko uciął, rozglądając się po bokach: „Nie zadzieraj!”.

Wiele dobrych uczynków zrobił nasz starszy sierżant, często nadstawiając karku. Uratował wiele żywotów, naprawił wiele idiotycznych błędów, z których utkana była wojna. Myślę, że zwyciężyliśmy w końcu dzięki takim ludziom. Byli nieliczni, ale na nich wszystko się opierało. Starszy sierżant był wspaniałym człowiekiem, warto by o nim napisać książkę. Bardzo chciałbym wiedzieć, czy udało mu się przeżyć wojnę. Pewnie nie. On nie chował się za cudzymi plecami.

Latem czterdziestego trzeciego roku mieszkaliśmy w dole, nad którym rozpostarliśmy pelerynę. Nie udało mi się odnaleźć tego miejsca, choć było charakterystyczne. Obok naszego dużego dołu, w którym spało ośmiu ludzi – oddział piechoty, którym dowodziłem – był maleńki dół dla dwóch. W nim izolowano naszych psycholi. Nazywano ich Kiedrus i Kaczkałda. Rosłe, dorodne chłopaki około trzydziestki. Szerokie bary, silne uda, mięsiste nawet w tym głodowym czasie. Solidne fizjonomie, tłuste karki. Obaj byli bardzo uparci, strasznie leniwi, lubili pojeść i pospać. Obaj mieli dźwięczne głosy i często śpiewali. „*Czomu ja ne sokił, czomu ne litaju!*”, „*Dywlus’ ja na nebo...*” albo „*O, Dniprooo, Dnipmoo!*”[61] Jeden w nocy moczył się, a więc sąsiada też, bo spali razem. Szedł od niego zawsze niesamowity smród, bo nie miał w co się przebrać. Drugi zaś podczas snu strasznie krzyczał, wył, rzęził, machał rękami i sąsiedzi w ziemiance bardzo się przez niego męczyli. Kiedy pewnego razu rozbił do krwi nos spokojnie śpiącemu Paszce Proniczewowi, żołnierze postanowili zrobić dla psycholi oddzielny apartament. To rozdzielenie powierzchni mieszkalnej trwało do końca, to znaczy do walk pod Tortołowem, gdzie mój oddział przestał istnieć.

Kaczkałda zaczął wrzeszczeć przez sen od pierwszych dni na froncie, bo od razu wpadł w niezły kociokwik. Tego dnia, a właściwie nocy, mój oddział wysłano jako ubezpieczenie saperów, którzy rozminowywali przejścia dla zwiadowców. Zgłosiłem dowódcy kompanii, że nie powinniśmy brać nowicjuszy, bo nie mają doświadczenia, ale otrzymałem odpowiedź: „To niech je zdobywają!”. Kaczkałda poszedł z nami. Wyczołgaliśmy się na pas

neutralny, prawie pod niemieckie okopy, zalegliśmy we mgle, przysłuchując się szmerom, gotowi do otwarcia ognia, jeśli saperzy się zdradzą. Saperzy zaś sondami wyszukiwali miny, wykopywali je i rozbajali. Robótka paskudna, nie tak naciśniesz – i cześć! Od razu trafiasz do raju. Chłopcy byli doświadczeni, pracowali wprawnie, cicho, tak że nie dochodził do nas żaden dźwięk, jakby się nic nie działo. Z niemieckiego okopu słyszeliśmy jakieś brzękanie i przytłumioną gardłową mowę. Z rzadka Hansy puszczały rakiety, wtedy padaliśmy nosem w ziemię, zamieraliśmy i na pierwszej linii wszystko zamierało. Systematycznie walił niemiecki karabin maszynowy: dyżurujący w okopie Niemcy zobowiązani byli wystrzelić w ciągu nocy określoną liczbę razy w naszą stronę – tak, na wszelki wypadek. Taka zasada panowała również u nas.

Minęły dwie, może trzy godziny. Było spokojnie. Kończyliśmy pracę, kiedy nagle rozległ się przeszywający krzyk: „Jaaaja mi urwaaało! Jaaaja urwaaało!”. Okazało się, że Kaczkałda, któremu znudziło się leżeć, wstał i poszedł błąkać się po pierwszej linii, ryzykując wejściem na minę. Między nogi trafiła go zbłąkana kula. Zamiast po cichutku się wycofać albo schować w jakiejś kryjówce, zaczął wrzeszczeć i skakać. Niemcy, którzy byli na wyciągnięcie ręki, momentalnie otworzyli ogień i zasłali niebo rakietami świetlnymi. Któryś z żołnierzy uderzeniem pięści powalił Kaczkałdę na ziemię i razem z saperami zaczęliśmy powoli czołgać się z powrotem, ostrzeliwując się. Niemcy uderzyli z dział i moździerzy. Wynik – dwóch rannych i nieudana akcja. O zwiadzie na drugi dzień nawet nie można było myśleć.

Dowództwo szalało. Dowódca kompanii dostał burę. Mnie oszczędzono, pamiętając moje wątpliwości przed akcją. Ale najbardziej zadziwiające było to, że Kaczkałda, mimo że dostał kulę między nogi – był cały! Kula minęła wszystkie istotne miejsca, zadrasnawszy jedynie skórę. Nawet nie odesłano go do oddziału sanitarnego. Wszyscy, i saperzy, i dowództwo, wymyślali Kaczkałdzie okrutnie, ale jemu było to ganc pomada. Jednak w jego pamięci został uraz i w rezultacie nasz bohater miał koszmary, zaczął wrzeszczeć po nocach i zadręczać sąsiadów.

Przy budynkach stacji Pogostje wcześniej było kilka mogił, niektóre nawet z nazwiskami i stopniami zmarłych. Były to rzadkie wyjątki – mogiły tych nielicznych, których ciała zdążono wynieść spod ognia i pochować. W latach 1941 i 1942 nie miał ani kto, ani kiedy zajmować się takimi rzeczami. Jednak

teraz nie znalazłem niczego. Staruszek, który zbierał grzyby przy nasypie kolejowym, powiedział, że mogiły zostały przeniesione na sąsiednią stację Małuksa i że urządzono tam coś w rodzaju pomnika. Wykonali go miejscowi mieszkańcy z własnej inicjatywy i ze skąpych środków przydzielonych przez sowchozy i lespromchozy[62].

Ciężko było patrzeć człowiekowi rosyjskiemu na miriady nieboszczyków walających się tu i tam.

Pomnik w Małuksie jest niewielki: pośrodku kamienny obelisk i parę granitowych steli z nazwiskami tych, których udało się odnaleźć. Są też 3-4 setki owalnych emaliowanych portretów, zamocowanych przez rodziny poległych. Wśród nich znalazłem wiele znajomych twarzy. W sumie pochowano tam szczątki około 20 tysięcy ludzi. Myślę, że to jakaś dwudziesta część tych, którzy zginęli pod Pogostjem i w jego okolicach. W Mdze robiono trumny, składano w nich kości i chowano. Do dziś pionierzy zbierają szkielety i powiększają cmentarz. W samym Pogostju jednak nie ma śladu tragedii, jaka się tam rozegrała.

W latach dziewięćdziesiątych pomnik w Małuksie przebudowano za środki Ministerstwa Obrony i podobno zebrano tam szczątki 60 tysięcy żołnierzy spod Pogostja. (Pogostje znajduje się 12 kilometrów od Małuksy!) Weterani powiedzieli mi, że inicjatorem przebudowy był minister obrony Jazow, który walczył pod Pogostjem i został tam ranny.[63] Tu też zginął jego ojciec.

Temu pomnikowi, który pochłoniął masę środków, można wiele zarzucić z punktu widzenia estetyki: spiętrzony beton, granitowe bryły, leżąca na ziemi gigantyczna gwiazda – wszystko wykonane w duchu poprzedniej epoki. Zwracają w nim uwagę dziesiątki tysięcy nazwisk wybitych na metalowych tabliczkach i kamiennych płytach, które pokrywają cały pomnik. Jednak nazwiska te w większości wypadków nie należą do pochowanych tu żołnierzy – po prostu zostały zaczerpnięte z archiwów. Ale i to dobre. Zawsze to jakieś upamiętnienie, choć szczątki wymienionych na listach leżą w jakimś lesie. Nie znalazłem ani jednego nazwiska z dziesięciu zabitych w kotle Pogostja, których pochowałem własnoręcznie. (Niedawno usłyszałem w radiu, że tabliczki z nazwiskami z pomnika w Małuksie zostały przez jakichś łajdaków zerwane i sprzedane na złom.)

Chodząc w lesie pod Małuksą, natknąłem się na pozycję niemieckiej baterii moździerzy. Znajdowała się w głębokich wąwozach, połączonych ścieżkami z bali z poręczami wykonanymi z nieociosanych brzołek. Takimi

brzoškami był też wykończony ustęp z wygodnymi siedzeniami – Niemcy wszędzie urządzali się maksymalnie komfortowo. Jeszcze lepiej urządzona i wygodniejsza była baza tyłowa jakiegoś niemieckiego pułku. Na wzgórzu leśnym, pod wiekowymi sosnami, pośród białych porostów – dawne ziemianki. Oddzielnie domki dla oficerów. Stołówka, stoły do jedzenia, klub. Zazwyczaj dwa niemieckie pułki ze składu dywizji znajdowały się na pierwszej linii, a trzeci odpoczywał w takiej bazie, porządkował szeregi, domywał się w łaźni. Potem pułki się zmieniały. My zaś długo i niezmiennie gniliśmy w okopach.

Przypomniało mi się opowiadanie naszych zwiadowców o takiej leśnej bazie. Zdobyli na tyłach niemieckich ważne informacje i wracając, natknęli się na śpiący obóz niemiecki. Postanowili popatrzeć, co jest w domku, który stał najbardziej na uboczu. Poczekali, aż patrole niemieckie odejdą, i podczołgali się pod niego. Okazało się, że mieszkały tam rosyjskie dziewczęta, a domek był pułkowym burdelem. Odważni zwiadowcy nie zmieszali się i od razu przystąpili do zawierania znajomości z dziewczętami. To ich zgubiło. Jednej z mieszkanek domku udało się zawiadomić Niemców. Zaczęła się walka, z której żywy uszedł tylko jeden starszy sierżant. Krwawiąc, dotarł do swoich i opowiedział dowództwu o tym, co się zdarzyło.

Walcząc w latach 1942-43 pod Siniawinem, Gajtołowem i Tortołowem, nie wiedziałem, gdzie te miejsca znajdują się względem Leningradu. Kiedy w 1946 roku jechałem do Murmańska, zobaczyłem z okna wagonu znajomy mostek przez Nazję, gdzie zaczynał się nasz okop. Z pociągu widać było setki rozbitych czołgów, leje i okopy – tortołowskie wzgórza przylegają do nasypu kolejowego.

Przez pięć lat po wojnie w ogóle nie chciała tu rosnąć trawa. Wątle krzewy ledwie przebijały się przez ziemię zatrutą pociskami i usychały. Wtedy jeszcze niczego nie uprzątnięto, leżały tu miny, pociski, rozbite sprzęty, trupy, pistolety maszynowe, automaty. Około 100 metrów od torowiska zastygły dwa czołgi, które zderzyły się czołowo: nasz i niemiecki. Wokół nich – trupy, nasze i niemieckie, zawlecзки od granatów i niewybuchy, karabiny, stosy łusek. Dalej zobaczyłem parę dziesiątków zardzewiałych czołgów otoczonych trupami. Rozejrzałem się po terenie i zrozumiałem, że Niemcy zapędzili naszych w kocioł, a potem wystrzelali ich z okolicznych wzgórz. Nie trzeba było być zawodowym wojskowym, żeby pojąć bezmyślność naszego natarcia.

Później rozmawiałem w pociągu z przypadkowym pasażerem, podpułkownikiem z jednostki saperów, która przez 10 czy 12 kolejnych lat rozminowywała te miejsca. Z bólem opowiadał o licznych śladach po podobnych starciach. Mówił o mnóstwie min, które wraz z upływem lat nie tylko nie straciły swojej siły, przeciwnie, zrobiły się jeszcze bardziej czułe i wybuchały przy najmniejszym dotknięciu. W Mdze powstał cmentarz saperów, którzy zginęli po wojnie. Plany pól minowych nie zachowały się. Zaminowywali i Niemcy, i nasi, atakując i cofając się. Powstał przekładaniec naszpikowany materiałami wybuchowymi. Do tego jeszcze pociski, których wszędzie leżą miliony, czasem całe składy, równie niebezpieczne. Wielu ludzi, zwłaszcza dzieci z okolicznych wiosek, stało się ofiarami tej piekielnej kuchni. W miejscu, gdzie kiedyś była osada Woronowo, stała mogiła z napisem: „Tu leży rodzina..., która zginęła od miny na zgłiszczach swojego domu”.

W 1978 roku, kiedy ostatni raz byłem w tych miejscach, ziemia była już oczyszczona z metalu. Wzgórza zarosły gęstym, nieprzebytym lasem.

Na samym wierzchołku wzniesień wsi Tortołowo, w płytkim dole – szkielet w pendencie[64] i z eleganckimi ostrogami. Widocznie szczątki oficera zawodowego. Mogiła bardzo płytka, chowano tu zimą w pośpiechu. Niedaleko inna mogiła z krzyżem (już zbutwiałym) i napis: „W tym miejscu Niemcy zabili w 1942 roku rodzinę...” – wymieniony ojciec, matka i troje dzieci. Widocznie mogiłą opiekują się krewni lub mieszkańcy wsi.

Na północ od osady Apraksin Post, gdzie stoi teraz wiele daczy sadowników leningradzkich, kiedyś były wsie estońskie. Podczas wojny Estończycy strzelali nam w plecy i zabijali żołnierzy 2 Armii Uderzeniowej. Tu zostało szczególnie dużo śladów wojny. W latach pięćdziesiątych znalazłem na drodze, która biegła pod linią wysokiego napięcia, rozbite działa i ciągniki jednego z dywizjonów naszego pułku, który przepadł w okrążeniu. Zniszczyło je lotnictwo.

Trzy lata temu las w tych miejscach został wykarczowany. Przyszły buldożery, traktory i zrównały teren. Jednak trzeba było zatrzymać prace na granicy rzeczki Czornaja – tam, gdzie dokonała się zagłada 2 Uderzeniowej. Jak mi opowiedział kierowca buldożera, wysadziło trzy maszyny z rzędu razem z obsługą.

– Strach tu kopać ziemię – mówił – w każdej łyżce koparki obowiązkowo znajdzie się kilka szkieletów.

Od stacji Apraksin Post, po piaszczystym wale, który budowali w latach trzydziestych więźniowie pod kolejkę wąskotorową, biegnie przez bagna droga na południe. Tutaj miał być zwożony torf z kopalni odkrywkowych, ale, jak to u nas często bywa, z projektu zrezygnowano, a droga została. Po 7 kilometrach szosa dochodzi do miejsc, gdzie kiedyś były wsie Porieczje i Woronowo. Kilka setek domów, cerkiew, młyn, trzy domy wczasowe, bogate, dobrze urządzone gospodarstwa. Wszystko zmiotła wojna. Żadnych oznak życia. Jest tylko cmentarz, na który dawni mieszkańcy nadal przywożą swoich krewnych. Choćby i po śmierci, ale na rodzinną ziemię. Nie ma śladu po mogile wojennej w południowej części Woronowa, gdzie Niemcy rozstrzelali w 1941 roku kilkuset jeńców wojennych. O tym także zapomniano. Przecież trzy setki dusz to kropla w morzu w porównaniu z poległymi tu korpusami.

Nawet teraz te miejsca zachwycają swoim pięknem. Z gęstego, wysokiego lasu wychodzi się na brzeg rzeki, za którą zielenieje przestwór pól. W miejscu dawnych ogródków kwitnie bez. Na krawędziach okopów, gdzie przelewała się krew, goreją czerwone kwiaty dzikiej róży. Warzywniki, w których tyle razy odbywały się bezskuteczne ataki i gdzie poległy nasze pułki, zarosły różowofioletową wierzbówką. Kolorowe pole na tle zielonego lasu i błękitne niebo. Jak pięknie! Oddycha się lekko. Powietrze, które oczyściło się nad przestworzem pobliskiej Ładogi, jest świeże i przezroczyste. W urwistym wapiennym wąwozie szemrze Nazija, tak jak szemrała kiedyś, w czasie wojny. Płynąca w niej torfowa woda ma teraz kolor kawy, a ja pamiętam ją czerwoną od krwi. Przekroczenie tego wąwozu było ciężkim zadaniem.

Sztolnie w brzegach rzeki, gdzie najpierw Niemcy, a potem my chroniliśmy się przed kulami i odłamkami, zawaliły się. Po domu wczasowym, który szturmowaliśmy ponad miesiąc, tracąc kilka dywizji, ani śladu. Kamienny most przez rzeczkę wysadzony. Jedynie doły, okopy, gigantyczne leje i wszędzie kości. Oto polana porośnięta wrzosem. W dole – szkielet. Spomiędzy jego żeber wyrasta piękniś, grzyb z czerwonym kapeluszem. Duży, okazały – ma przecież żyzne podłoże.

I znów, kiedy patrzy się na dawne linie obrony niemieckiej, na ich punkty oporu na wzgórzach, powstaje myśl o głupiej, nieudolnej organizacji naszych ataków, wedle sztywnego szablonu. Rezultat – przesunięcie o 100, 200, 300 metrów za cenę zagłady dywizji i straty setek czołgów. Niemcy mieli taką

świetną taktykę, że nasze wspaniałe wysiłki obracały się w pył. To prawda, doborowe dywizje niemieckie w końcu tu zginęły, ale za jaką cenę!

Rzadko można tu spotkać teraz ludzi. Jedynie w sezonie zjeżdżają się tłumy grzybiarzy. Zasypują las brudnym papierem, celofanowymi torebkami, pustymi butelkami, puszkami po konserwach. Palą ogniska, wywołują pożary. Wszyscy mają w nosie, co tu się działo. Podrostki wykopują z ziemi ludzkie kości w poszukiwaniu złotych zębów, łobuzerka pali i niszczy drewniane pomniki zbudowane gdzieś przez byłych frontowców. Na wzgórzach tortołowskich trzeba było ustawić płytę ze stali i wypalić w niej gazowym palnikiem numery dywizji, które tu zginęły, żeby pomnik jakoś przetrwał. Pod Woronowem, przy skrzyżowaniu dróg, postawiono granitowy obelisk ku pamięci nieznanego żołnierza. Inicjatorem był emerytowany generał, który walczył tu w młodości. Obelisk został wysadzony.

W ogóle nikt na poważnie nie zajmuje się upamiętnieniem poległych. Życie biegnie swoją koleją, ludzie mają nowe problemy, inne cele. Skąd się wzięła ta oburzająca obojętność wobec pamięci o ojcach? Tak wygląda to nie tylko pod Leningradem. Wszędzie – od murmańskiej tundry, przez lasy Karelii, w obwodach nowogrodzkim, kalinińskim, pod Starą Russą, Rzewem i dalej na południe, aż do Morza Czarnego – to samo.

Trwające wiele lat areszty polityczne, łagry, kolektywizacja, głód zniszczyły nie tylko miliony ludzi, ale zabiły też wiarę w dobro, sprawiedliwość i współczucie. Okrucieństwo wobec własnego narodu podczas wojny, milionowe ofiary lekkomyślnie złożone na polach bitew to przejawy tego samego porządku. Jak może szanować pamięć o swoich ofiarach naród, którego bohaterem stał się Pawlik Morozow[65]? Jak można wypominać ludziom obojętność wobec kości poległych podczas wojny, jeśli ci sami ludzie zburzyli swoje świątynie, zapuścili i zapaskudzili swoje cmentarze?

Wojna, która była prowadzona metodami, których źródła tkwiły w obozach koncentracyjnych i kolektywizacji, nie sprzyjała rozwojowi humanitaryzmu. Żołnierska ofiara z życia nie została zauważona. Wedle koncepcji szerzonej przez aktywistów politycznych, nasza armia – najlepsza na świecie – walczyła bez strat. Miliony ludzi, którzy polegli na polach bitew, nie odpowiadały temu schematowi. Zwalano ich jak padlinę do dołów i oddziały grzebalne przysypywały je ziemią albo gnili tam, gdzie zginęli. Mówić o tym było niebezpiecznie, mogli postawić pod murem „za

defetyzm”. Ta oficjalna koncepcja żyje nadal i jest mocno zakorzeniona w świadomości naszego narodu. A archiwa, spisy poległych i plany pochówków stanowią ścisłą tajemnicę państwową.

„Nikt nie jest zapomniany, nic nie jest zapomniane!” – ta nadęta fraza wygląda jak szyderstwo.[66] Oficjalne pomniki nie zostały zbudowane dla upamiętnienia poległych, lecz dla uwiecznienia naszych haseł: „Jesteśmy najlepsi!”, „Jesteśmy niezwyciężeni!”, „Niech żyje komunizm!”. Kamienne, a najczęściej betonowe flagi, fanfary, standardowe Matki Ojczyzny zastygłe w fałszywych pozach – to tylko zimne i bezduszne rzeźby. Miejsca pamięci to nie pomniki poległych, lecz zmaterializowana w betonie koncepcja niezwyciężoności naszego ustroju. Zwycięstwo w wojnie zostało przekształcone w kapitał polityczny, który powinien usprawiedliwiać istniejący w państwie stan rzeczy. Ofiary przeczą zaś oficjalnej wersji zwycięstwa. Wojna powinna być wyrażana w tonacji majorowej. Hurra! Zwycięzców nie sądzą.

Rozumiem Francuzów, którzy pod Verdun zachowali odcinek frontu I wojny światowej w niezmienionej postaci z 1916 roku. My zaś na przykład w Stalingradzie zrównaliśmy wszystko buldożerami i postaviliśmy ogromną babę z nożem w ręce na Kurhanie Mamaja[67] – „symbol Zwycięstwa”?! W miejscach, gdzie ginęli żołnierze, powstały mogiły aktywistów politycznych, którzy z wojną nie mieli nic wspólnego.

Byłem też w miejscach pochówku naszych żołnierzy w Daugavpils. Łotysze to ludzie surowi, bez sentymentów, wrodzy nam, jednak zachowali utracone przez nas zasady moralne i kulturę – zbudowali ogromny, przepiękny cmentarz. Każdy żołnierz ma skromną mogiłę, na niej kwiaty.

W miarę możliwości ustalono nazwiska. Wszystko urządzone prosto, z szacunkiem dla zmarłych.

Trzeba wskrzesić pamięć i szacunek wobec poległych. Przecież zdeptywanie kości na polach bitew to to samo, co łagry, kolektywizacja, fala we współczesnym wojsku, rozprzestrzenianie się złodziejstwa, rozpad gospodarki. Zmiana stosunku do pamięci o poległych to element naszego odrodzenia jako narodu. Najlepsza pamięć o nich to prawdziwa opowieść o wojnie, otwarcie archiwów, opublikowanie nazwisk tych, którzy byli odpowiedzialni za te podłości. Mówi się, że temat wojny został wyczerpany w naszej literaturze. W rzeczywistości nawet nie zaczęto pisać jej prawdziwej historii. Za chwilę nie będzie już wśród żywych świadków i czarne plamy na

jasnym obliczu Zwycięstwa pozostaną na zawsze.

Wojny zawsze zamieniały ludzi w nawóz, który użyźniał glebę przyszłości. Poległych zapominano natychmiast, zawsze byli tylko zbędnym balastem dla pamięci. (Ech, jeśli i ja mógłbym zapomnieć!) Zwycięstwa przypominano, kierując się interesami dnia dzisiejszego. 1812 rok w swojej bohaterskiej aureoli sprzyjał umocnieniu wielkości monarchii rosyjskiej, Spartanie z Termopil stali się abstrakcyjnym symbolem heroizmu... A sami bohaterowie zgnili i odeszli w niebyt.

DRUGA STRONA

Pan Erwin Ch. bardzo dobrze się trzymał jak na swoje 59 lat. Czas jedynie nieco go zgarbił i posrebrzył mu głowę. Niewysoki, szczupły, nieustannie się uśmiecha, pokazując równe sztuczne zęby. Jest sprawny, energiczny. Sylwetką i sposobem poruszania się przypomina niewielkiego ptaka drapieżnego – może ścierwnika? Cały czas jest w ruchu, robi wiele rzeczy jednocześnie: rozmawia ze mną, rzuca krótkie zdania podwładnym, wydaje polecenia przez przenośny odbiornik znajdujący się w kieszeni jego marynarki na piersi. Jednym słowem, mężczyzna co się zowie!

Ja zaś wyobrażam sobie młodego pana Erwina Ch. w hełmie, z lornetką na piersiach, z ręcznym karabinem maszynowym, jak leży na krawędzi zrytego pociskami okopu wzgórz siniawińskich. Także wydaje jasne rozkazy. Rozumieją go w pół słowa, działają energicznie, bezbłędnie... I pięciu pozostałych przy życiu po ostrzale artyleryjskim Niemców odpiera atak batalionu rosyjskiego, kładąc go przed swoimi pozycjami.

Tak, pan Erwin Ch. był tam. Zaczął wojnę w 1939 roku jako szeregowy żołnierz, podbił Francję, Polskę, pokonał na swoim czołgu południe Rosji, zawojowywał Krym. Siedmiokrotnie ranny, został awansowany na podporucznika.

– Nie jestem faszystą. Nas zmuszano, was też.

Po czwartej ranie zdrowie nie pozwalało mu służyć w czołgu. Nowe stanowisko – obserwator artyleryjski – było spokojniejsze, ale nie mniej ciekawe: znajdowanie celów rosyjskich i niszczenie ich.

28 Hamburgska Dywizja Piechoty Lekkiej, w której bohatersko walczył pan Erwin Ch., w składzie armii feldmarszałka von Mansteina zdobyła Sewastopol i latem 1942 roku przybyła pod Leningrad, by błyskawicznym

szturmem zająć miasto. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem na hełmach zabitych Niemców odznakę tej dywizji – wizerunek krocącego piechura. Feldmarszałek von Manstein nie zdobył Leningradu, ale jego armia udaremniła naszą niemal udaną próbę przedarcia się do oblężonego miasta w rejonie południowego Siniawina. Jednak i von Mansteinowi wyczerpały się wojska. W tych dniach pan Erwin Ch. po raz pierwszy walczył naprzeciwko mnie. Później, w 1943 roku, zajmowaliśmy się analogicznymi rzeczami: strzelaliśmy z dział albo odpieraliśmy ataki karabinami maszynowymi. W 1944 roku z trudem, za cenę wielu ofiar, odrzuciliśmy pana Erwina Ch. i jego kolegów spod Leningradu i przyparliśmy ich do wybrzeża Bałtyku w Kurlandii, w rejonie Lipawy, gdzie zaciekle bronili się do końca, do kapitulacji.

Po wojnie pan Erwin Ch. spędził trzy lata na Syberii na robotach leśnych.

– Tak, było źle. Wielu umarło. Ale ja przeżyłem. Byłem wysportowany i to mi pomogło.

Potem – powrót do domu, do ojczystego Monachium, nauka w Akademii Sztuk Pięknych, a teraz zajmuje dobrą posadę w administracji bawarskiej stolicy. Ja – jestem jego gościem. Jest powściągliwie uprzejmy, ale w każdym jego spojrzeniu i ruchu czuję źle skrywaną pogardę. Gdyby nie służbowe obowiązki, pewnie nie zaczęłyby ze mną rozmowy. Źródła pogardy pana Erwina Ch. wobec Rosjan tkwią w zdarzeniach lat wojennych. Mówi o wszystkim otwarcie.

– Co za dziwny naród? Pod Siniawinem położyliśmy z trupów wał o wysokości około dwóch metrów, a oni wciąż leżą i leżą pod kule, gramoląc się przez nieboszczyków, my dalej walimy i walimy, a oni znów leżą... A jacy brudni byli jeńcy! Zasmarkane chłopaczki płaczą, a chleb mają w workach taki wstrętny, że jeść się nie da!

– Panie Ch. – pytam, wspominając nasze zaciekle przygotowania artyleryjskie w 1943 roku, kiedy przez dwie godziny zrzucał na Niemców tysiące pocisków – czyżbyście nie ponieśli strat z powodu naszego ognia?

– Tak, tak – odpowiada – huraganowy ogień (*Trommelfeuer*) był straszny, nie można było głowy podnieść! Nasze dywizje traciły sześćdziesiąt procent swojego składu – mówi pewnie, statystyka jest mu dobrze znana – ale pozostałe czterdzieści procent odpierało wszystkie ataki rosyjskie. Bronili się w zniszczonych okopach i zabijali wielu atakujących... A co robili wasi

w Kurlandii? – ciągnie. – Pewnego razu masa wojsk rosyjskich ruszyła do ataku, ale napotkali zgodny ogień karabinów maszynowych i dział przeciwpancernych. Pozostali przy życiu zaczęli się wycofywać. Wtedy z rosyjskich okopów zaczęły strzelać dziesiątki karabinów i dział. Widzieliśmy, jak tłumy waszych oszalałych ze strachu żołnierzy ginęły na pasie neutralnym.

Na twarzy pana Ch. widzę odrazę zmieszaną ze zdziwieniem – uczucia te nie osłabły w nim przez tyle lat. Tak, rzeczywiście tak było. Nie tylko w Kurlandii.

Pan Erwin Ch. otwarcie gardzi mną, sprowadza nasze kontakty do niezbędnego minimum. Nie odprowadza mnie nawet na lotnisko, powierzając mnie taksówkarzowi. Jednak obcowanie z panem Erwinem Ch. i mnie, delikatnie mówiąc, nie sprawia przyjemności. Na początku otworzyłem przed nim serce, bo razem cierpieliśmy. Lecz nie zobaczyłem w nim jakiegokolwiek przeblysku empatii – jedynie rzeczowość i energię. Nieprzyjemne są dla mnie jego pewność siebie i poczucie wyższości. Pan Erwin Ch. pozostał taki, jaki był w latach czterdziestych. Doświadczenia go zahartowały, niczego nie ucząc.

Jakimże głupim idealistą byłem w czterdziestym pierwszym pod Pogostjem. Sądziłem, że w niemieckim okopie siedzi ktoś taki jak ja – wysubtelniony intelektualista, który naczytał się Goethego i Schillera, nasłuchiwał się Beethovena i Mozarta. Okazuje się, że był tam pan Erwin Ch.

Tak, on niczego się nie nauczył, pozostał sobą, a ja? Ja stopniowo zaczynałem sobie uświadamiać, dlaczego czerwonoarmiści rozrabiali w Niemczech w 1945 roku. Była to zemsta na Niemcach, którzy o wiele gorzej zachowywali się u nas. Może było też tak, że jeszcze większą nienawiść wywoływały wyniosłość, bezczelność i pycha wielu niemieckich żołnierzy, a zwłaszcza oficerów, które cechowały ich również po zakończeniu wojny. Po krótkim spotkaniu z panem Erwinem Ch. z radością wychodzę z jego gabinetu. Zanurzam się w atmosferę bogatego i grzesznego miasta. Z Monachium wypłynęły w świat idee, które zgubiły miliony ludzi – swoje pierwsze kroki stawiał tu Hitler. To jedna z rozgrabionych i obróconych w proch w czasie II wojny światowej metropolii Niemiec. Teraz kipi dostatkiem. Ulice i bramy domów lśnią czystością. Błyszczą szklane witryny sklepów, co dzień starannie polerowane. Na wystawach obfitość dóbr: odzież, meble, wyroby jubilerskie, jedzenie, kosmetyki, książki,

instrumenty muzyczne, sprzęt radiowy i fotograficzny – wszystko, czego dusza zapagnie, i wszystko w doskonałej jakości. Ulica to gigantyczna wystawa bogactwa i rozkwitu. Towary są eksponowane w sposób przemyślany, gustownie. Pracowało nad tym wiele tęgich głów i teraz wystawy oczarowują przechodniów, zajmując ich uwagę. Powstaje wrażenie, że Niemcy tracą mnóstwo wolnego czasu na upojną obserwację swojego dobrobytu.

Dopiero po trzech dniach przywykam do bogactwa wystaw sklepowych i nudzi mi się ten blichtr. Teraz mogłoby mnie zadziwić jedynie coś, czego świat jeszcze nie widział. Oto w powietrzu lecą tęczowe bąbelki – duże i małe, wysoko i nisko. Na balkonie siedzi wielki pluszowy niedźwiedź i puszcza bańki mydlane. To reklama sklepu z zabawkami. Dalej podjechał wielki wóz z jabłkami i gruba Niemka w pstrokatym stroju ludowym zaczyna je rozdawać przechodniom – za darmo. Porządni Niemcy ustawiają się w kolejce, szczerzą dokładnie wypucowane zęby i biorą po jednym, dwa jabłka. Żadnego tłoku, żadnego zamieszania.

Tłum jest odprasowany, dostatni, tryskający zdrowiem i promieniejący samozadowoleniem. Wielu inwalidów – ktoś z kulą, inny z laską. Oni też wyglądają porządnie, są zadbani, nie rozpici. Jeden, bez nóg, wpada kołem swojego wygodnego wózka inwalidzkiego na trawnik i woła mnie.

– Czy przeprowadzić pana przez ulicę?

– Nie, proszę tylko pociągnąć do tyłu, *danke*[68].

Zjeżdża z trawnika, naciska guzik i jego wózek elektryczny mknie w dół po chodniku, wymijając rozstępujących się przechodniów.

Ja zaś wspominam Waśkę z 6 Brygady Piechoty Morskiej. Brygada poległa w czterdziestym pierwszym, Waśka ocalał, lecz stracił obie nogi. Zbudował sobie skrzynkę na czterech kółkach i zbierał jałmużnę, podstawiając swoją furażerkę marynarską. Litościwi przechodnie szybko napelniali ją rublami. Wtedy Waśka upijał się i z hurgotem, krzykiem i gwizdami wpadał w tłum, obracając się w biegu to plecami, to bokiem do przodu. Działo się to w latach pięćdziesiątych na rogu Newskiego Prospektu i ulicy Żelabowa, przy aptece. Było mi smutno i wstyd. Kiedy zaszedłem do apteki, usłyszałem, jak aptekarka, ładna i młoda, wzywa milicję, żeby ta zabrała awanturnika. Czyżby nie rozumiała, że ona nie spłonęła w getcie tylko dlatego, że Waśka nie pożałował swoich nóg? Potem Waśka zniknął... W tamtych latach dobra Matka Ojczyzna zebrała swoich synów –

bohaterskich inwalidów, swoje zdrowie poświęcone w imię Zwycięstwa – i odesłała ich do rezerwatów na dalekie wyspy, żeby nie naruszali piękna miast. Wszyscy oni tam powoli wymarli.[69] A po ulicach bogatego i grzesznego Monachium przechadzają się syci, zadowoleni mieszkańcy, wśród nich – zadbani inwalidzi. Któryś z nich wtedy, w czterdziestym pierwszym, rzucił fatalny granat pod nogi Waški.

Wszystkiego mają pod dostatkiem, ale żyją w nieustannym napięciu. Silny naród. Pracują jak woły. Nie znoszą chałtury. Często mijam umęczonych, bladych ludzi, którzy pracowali do późnego wieczoru. Lecz chciwi i oszczędni są do bólu. Na ulicach widać wielu bezrobotnych śpiewaków, muzyków. Można poznać, że wielu z nich to profesjonaliści. Śpiewają i grają przepięknie. Przechodnie słuchają, zachwycają się... i nie rzucają nic do leżącej przed muzykiem czapki.

Późną nocą, w czasie zawiei śnieżnej na opustoszałej, ale rozświetlonej ulicy, usłyszałem dźwięki fletu. Była to Beethovenowska *Eliza* – melodia utkana z czułości. Pod drzwiami jakiegoś budynku siedział muzyk w ciemnych okularach, zgarbiony, posiniały z zimna, a obok niego coś się ruszało. Zobaczyłem zawiniętego w kołderkę malutkiego pieska. Głowę wiernie trzymał na kolanie swojego pana, a w spojrzeniu jego czarnych oczu był niemal ludzki smutek i ogromne zmęczenie.

Za rogiem podeszła do mnie czarująca dziewczynka, około piętnastu lat, porządnie ubrana i czyściutka.

- Niech pan pójdzie ze mną, pokażę panu tysiąc i jedną noc!
- Wybacz, dziewczynko, mógłbym być twoim dziadkiem!
- Tym bardziej będzie dla pana ciekawie! Chodźmy, tatku (Vati)!

Przy nocnym lokalu błakają się kręcący tłustymi tyłkami pederasci. Z jasno oświetlonych, mieniących się wszystkimi kolorami tęczy drzwi niesie się ogłuszająca, rytmiczna muzyka. To salon gier. Jest tu i bitwa morska, i polowanie na dzikie zwierzęta, i wyścigi samochodowe, i ruletka. Wszystko huczy i błyska. W kącie stoi atrapa – goła baba, jak żywa! Zapraszającym gestem wskazuje wejście, za którym jest sex shop. Tu po przystępnej cenie można kupić dmuchaną lalkę, która wszystko umie i może i która jest wyposażona w przełącznik na 120 i 220 woltów. Po włożeniu marki w otwór automatu dostajecie pięć minut kolorowej, udźwiękowionej pornografii – we dwoje, we troje, w sześcioro, z góry, z dołu, przez głowę i nawet na motocyklu. Na głowie stanęły mi resztki włosów, serce wali, robi się

niedobrze... i z szacunkiem zaczynam myśleć o naszej władzy, która za rozpowszechnianie czegoś takiego wsadza do więzienia.

Wychodzę na ulicę, łapię świeże powietrze. Po przeciwnej stronie widzę duży stary kościół, wystarczy zrobić parę kroków. Jakież to symboliczne! Za mosiężną klamkę w kształcie malutkiego skrzydlatego aniołka ciągnę ku sobie ciężkie drzwi. Otulają mnie cisza i chłód świątyni. Panuje tu półmrok, ludzi jest mało, siedzą w ławkach pogrążeni w swoich myślach. W ciemnej dali nad ołtarzem wisi oświetlony krucyfiks. Urzeka, zdejmując z duszy niepokój, który mnie tu przywiódł.

Na prawo od wejścia, przy bocznym ołtarzu, palą się jasnym płomieniem ognie setek lampek: Niemcy zapalają je zamiast świec, wrzuciwszy monetę do skarbonki. Nieco wyżej, w niszy – posąg Matki Boskiej. Spływa na mnie spokój. To nie nasza cerkiew, ale przecież Bóg jest jeden... Zapalam lampkę i razem z innymi tli się mój malutki, nieśmiały ogienek nadziei. Podnoszę wzrok i widzę jasne oblicze Bogurodzicy. Pomóż nam, Panno Przepczysta, ukój nasze umęczone dusze...

POSŁOWIE

Ten rękopis powstał głównie jesienią 1975 roku. Był nieśmiałym zapisem myśli i uczuć, które gromadziły się we mnie przez długi czas, oraz protestem przeciwko panującemu wówczas i obecnemu dziś demagogicznemu przedstawianiu wojny. Gdy przeczytałem go po wielu latach, byłem zadziwiony swoją powściągliwością. Okropności wojny są tu wygładzone, najpotworniejsze epizody nienazwane. Wiele spraw przedstawiłem o wiele łagodniej niż to miało miejsce. Teraz napisałbym te wspomnienia zupełnie inaczej, bez autocenzury – tak jak było w istocie. W 1975 roku strach zmiękczył moje pióro. Wychowany w sowieckiej dyscyplinie wojskowej, która za choćby jedno odważne słowo karała natychmiast i bezlitośnie, ograniczałem sam siebie – świadomie i nieświadomie.

Większość sowieckich książek o wojnie nie wychodzi poza granice określone w *Krótkim kursie historii WKP(b)*. Być może dlatego są tak do siebie podobne – jakby wszystkie napisał jeden autor. Obecnie w literaturze historycznej zauważalny jest zwrot ku odkrywaniu prawdziwego obrazu lat wojennych i nawet rysuje się pewna konfrontacja starego z nowym. Swoimi wspomnieniami nie miałem zamiaru włączać się w ten dyskurs, lecz zwyczajnie chciałem uchylić kotary, która zakrywa ciemną stronę wojny. Zmagalem się z własną przeszłością.

Wróciłem z wojny poraniony psychicznie – nie od razu udało mi się z tym uporać. Wtedy nie istniało pojęcie „syndromu wietnamskiego” czy „syndromu afgańskiego”, nie leczyli nas psychologowie. Każdy ratował się na własną rękę. Jedni pili, inni stawali się bandytami... Byli też tacy, którzy bili się w piersi i żądali prawdy. Szybko zabierano ich na leczenie do Gułagu... Stalin dobrze znał historię i wiedział, że wojna 1812 roku zrodziła

dekabrystów.

Ja ratowałem się pracą, ale kiedy senne koszmary nie dawały mi spokoju, próbowałem pozbyć się ich, przelewając nieznośny ból serca na papier. W pewnym stopniu jest to spowiedź śmiertelnie wystraszonego chłopaka...

Przez prawie trzy dziesięciolecia nie pokazywałem tych wspomnień nikomu. Gdy nieopatrznie dałem je do przeczytania znajomemu, zaczęły żyć swoim życiem, powędrowały z rąk do rąk. Nie pozostało mi nic innego, jak zgodzić się na ich publikację. Nadal myślę, że jednak nie należało tego robić – zbyt dużo zła zagościło na tych stronicach.

Wojna to najpodlejszy przejaw ludzkiego działania, który wydobywa z głębi naszej podświadomości wszystko co haniebne. Na wojnie za zabicie człowieka otrzymujemy zamiast kary – nagrodę. Wolno nam niszczyć dobra, które ludzkość tworzyła przez wieki.

Wojna zamienia człowieka w drapieżnika, który wciąż zabija.

Najgorsze zaś jest to, że ludzie nie mogą się obejść bez wojny. Zakończywszy jedną, natychmiast zabierają się do przygotowania kolejnej. Przez wieki ludzkość siedziała na beczce z prochem, a teraz przesiadła się na bombę atomową. Strach pomyśleć, co może się zdarzyć. Jedno jest pewne, nie będzie wówczas komu pisać wspomnień...

Nie sądźcie mnie zbyt surowo.

Nikołaj Nikulin

Petersburg, 2007

PRZYPISY

- [1] Cyt. za: N.N. Nikulin, *Wspominania o wojnie*, St. Pietierburg 2008; oryginały listów znajdują się w archiwum Ermitażu.
- [2] Działo przeciwlotnicze umożliwiające ustawienie lufy pod kątem prostym do powierzchni ziemi. (Przypisy pochodzą od tłumacza. Przypisy od Autora zaznaczono oddzielnie.)
- [3] Bezzałogowe balony na uwięzi z lin stalowych, które miały stanowić przeszkodę dla samolotów lecących na małych i średnich wysokościach.
- [4] Oficer zajmujący się propagandą polityczną.
- [5] Fugas – prowizoryczna mina wykonana w warunkach bojowych z materiałów wybuchowych, pocisków artyleryjskich lub bomb lotniczych, zakopana w ziemi; wybuchała pod wpływem nacisku lub przez zdalne odpalenie.
- [6] Prawdopodobnie chodzi o Siemiona Mandela (1907-1974) – wybitnego scenografa, grafika teatralnego i filmowego, związanego z teatrami leningradzkimi.
- [7] Sowieccy marszałkowie: Siemion Budionny (1883-1973) – w latach 1919-21 dowódca i Armii Konnej, 1939-41 zastępca ludowego komisarza obrony, 1941-45 członek Kwatery Głównej. Klimient Woroszyłow (1881-1969) – w latach 1941-45 członek Państwowego Komitetu Obrony i Kwatery Głównej, 1953-60 przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR.
- [8] Wystarczy przytoczyć choćby taką perełkę propagandy niemieckiej: „Bij Żyda politruka, morda aż się prosi o cegłę” (napis na ulotce). Ciekawe, kto tak naprawdę był ich autorem – Niemcy czy Rosjanie, którzy przeszli na ich stronę? A tu już na pewno Rosjanie: „Z prawej młot, z lewej sierp:/Oto nasz sowiecki herb./ Chcesz – to tnij, chcesz – to wal./ Tak czy owak... wedle potrzeb masz”. Później, w latach 1943-44, ulotki z portretem generała Własowa w niemieckim mundurze wywoływały wśród nas powszechną ostrą irytację i działały na naszą korzyść. Dziwne, że Niemcy nie mogli tego zrozumieć. Można przekonywać, że niemiecka propaganda tego rodzaju była zorganizowana bardzo źle. Lecz to niepodobne do Niemców, którzy potrafili przewidzieć najdrobniejsze szczegóły. (Przyp. Aut.) [Gen. Andriej Własow (1900-1946) został w 1942 roku wzięty do niewoli przez Niemców i podjął z nimi współpracę. Od 1944 stał na czele antysowieckiego Komitetu Wyzwolenia Narodów Rosji oraz podporządkowanych mu oddziałów wojskowych (tzw. własowców). W 1946 stracony przez Rosjan.]
- [9] Rydwan z Narewskiej Bramy Triumfalnej.
- [10] Wydanie polskie wspomnień: Iwan Fieduninski, *Na alarm*, tłum. Stefan Klonowski, Warszawa 1964.
- [11] Żargonowa nazwa insygniów na czapkach oficerskich.
- [12] Politbojcy – komuniści i wzorowi komsomolcy, kierowani ze specjalnych mobilizacji partyjnych na szczególnie trudne odcinki frontu lub do nowo sformowanych oddziałów. Mieli integrować

- żołnierzy i dawać przykład męstwa w walce.
- [13] Przenośna żona polowa. Skrót PŻP miał też w żołnierskim słowniku inne znaczenie – tak nazywali głodni, wyczerpani żołnierze wodnistą zupkę: pożeganie życia płciowego. (Przyp. Aut.)
- [14] Stanowiska ogniowe.
- [15] Październieta – organizacja dziecięca w klasach 1-3 szkoły podstawowej.
- [16] Smiersz – skrót od *Śmierć szpionom!* (Śmierć szpiegom!) – jednostki kontrwywiadu wojskowego w strukturze NKWD.
- [17] Miejsca wielkich bitew wojsk rosyjskich: na Kulikowym Polu w 1380 roku odniosły zwycięstwo nad wojskami tatarskimi, pod Borodino stoczyły w 1812 roku bitwę z wojskami Napoleona i choć zmuszone do odwrotu w kierunku Moskwy, nie zostały rozbite.
- [18] Właśc. Grigorij Skuratow-Bielski (zm. 1573) – zaufany Iwana IV Groźnego, słynął z okrucieństwa.
- [19] Ławrientij Beria (1899-1953) – sowiecki działacz partyjny, członek najwyższych władz państwowych, współodpowiedzialny za masowe represje; po śmierci Stalina stracony.
- [20] W żargonie łagrowym określano tym słowem skrajnie wyczerpanych więźniów.
- [21] Batalion medyczno-sanitarny.
- [22] Niem.: Do pioruna! Do stu diabłów! Gówno z pieprzem! Niemiecka matka!
- [23] Chodzi o obraz *Ślepcy*.
- [24] Nazwy miejscowości zostały zapisane w wersji podanej przez Autora.
- [25] Dowiedziałem się niedawno, że w nadziei na zwycięstwo nasze dowództwo nazwało te boje operacją Brusilow. Operacja się nie powiodła, więc i nazwę zapomniano. (Przyp. Aut.)
- [26] Niemiecka wyrzutnia rakietowa Nebelwerfer, nazywana „krową” z uwagi na charakterystyczny dźwięk wydawany podczas odpalania pocisków.
- [27] Tak nazywano 45-milimetrowe działa przeciwpancerne wzór 1937 roku (53-K).
- [28] Szeroka belka wzdłuż ramienia na pagonie oznacza stopień starszego sierżanta, zaś w poprzek – sierżanta.
- [29] Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia (bolszewików).
- [30] Magazynkiem bębnowym.
- [31] Aleksandr Suworow (1729-1800) brał udział w wojnie rosyjsko-tureckiej (1787-92), stłumił powstanie kościuszkowskie w 1794 roku (za co Katarzyna II mianowała go feldmarszałkiem), w 1799 walczył przeciwko wojskom rewolucyjnej Francji we Włoszech.
- [32] Aleksiej Arakczew (1769-1834) – generał; w latach 1808-10 minister wojny; od 1810 roku członek Rady Państwa. Po zdobyciu zaufania Aleksandra I rządził (1815-25) Rosją według zasad koszarowego drylu.
- [33] Rosyjski taniec ludowy.
- [34] Okazuje się, że racjonalni Niemcy wszystko wzięli pod uwagę. Ich weterani są wyraźnie dzieleni na kategorie według stopnia udziału w walkach: kategoria I – pierwsza linia i pas neutralny, tych czczą (w czasie wojny dostawali specjalne odznaczenie za udział w atakach i walkach wręcz, za unieszkodliwione czołgi itd.); kategoria II – pozycje artyleryjskie, sztaby kompanii i batalionów; kategoria III – pozostałe tyły frontowe (na tę kategorię patrzy się pogardliwie). (Przyp. Aut.)
- [35] Konstantin Simonow (1915-1979) podczas II wojny światowej był korespondentem wojennym. Tworzył m.in. prozę batalistyczną utrzymaną w konwencji realizmu socjalistycznego.
- [36] Cyt. za: A.F. Biełogółowcew, *Newskij piataczok*, Leningrad 1970, s. 59-61. (Przyp. Aut.)
- [37] Prowadzącą z Nowogrodu do Ługi.
- [38] Rodzaj tańca ludowego wywodzącego się z terenów Szkocji i Irlandii.

- [39] Miedwied' – pol. niedźwiedź.
- [40] *To ostatnia niedziela* – znany polski szlagier sprzed II wojny światowej (muzyka Jerzy Petersburski, słowa Zenon Friedwald), ze względu na ponury tekst zyskał miano „tanga samobójców”. W wersji rosyjskiej nosi tytuł *Utomlonnoje sołnce* (Zmęczone słońce).
- [41] Dwupłatowe samoloty wielozadaniowe.
- [42] W oryginale gra słów od ros. *pogost* – cmentarz (najczęściej wiejski).
- [43] Bajan – rosyjski instrument muzyczny, odmiana akordeonu.
- [44] Przewisko używane wobec rosyjskich policjantów, pochodzi od nazwiska Nikołaja Archarowa, szefa moskiewskiej policji pod koniec XVIII wieku; w przenośni: ryzykanci, łobuzy.
- [45] Ropne zapalenie skóry w postaci licznych czyraków; przyczyną tej choroby są m.in. brak higieny i ogólne wyniszczenie organizmu.
- [46] Ilja Erenburg (1891-1967) – pisarz i publicysta, w latach 1941-45 korespondent wojenny na froncie wschodnim; wspierał propagandę państwową, tuszując zbrodnie władz.
- [47] Niem.: die Uhr – zegarek.
- [48] Niemiecki środek przeciwko chorobom wenerycznym. (Przyp. Aut.)
- [49] Marszałek Gieorgij Żukow (1896-1974) w latach 1942-45 był zastępcą naczelnego wodza (Józefa Stalina). Jako dowódca I Frontu Białoruskiego zdobył Berlin.
- [50] Metalowa listwa ułatwiająca ładowanie karabinu automatycznego nabojami.
- [51] Niem.: Na Syberię!
- [52] Urządzenie służące do gromadzenia ładunku elektrycznego, pierwszy kondensator.
- [53] Jefim Etkind (1918-1999) – filolog, historyk literatury, tłumacz poezji europejskiej, teoretyk przekładu.
- [54] Schwank – niewielkie opowiadanie satyryczne, często z nutą dydaktyczną, popularne w literaturze niemieckiej XIII-XVII wieku.
- [55] Igor Djakonow, *Kniga wospominanij*, Sankt Pietierburg 1995.
- [56] Od ros. *rajonnyj komitet* – komitet rejonowy partii.
- [57] D.F. Onochin, *Ot Wiatki do Elby. Zapiski wojennego korriespondienta*, Gorkij 1975.
- [58] PNS-2 – drugi pomocnik naczelnika sztabu. (Przyp. Aut.)
- [59] Niem.: Nie ma sznapsa. Jestem z policji.
- [60] Ros. „Iszaczok”, myśliwiec I-16.
- [61] „Dlaczego nie jestem sokołem, dlaczego nie latam”, „Patrzę na niebo”, „O, Dnieprze, Dnieprze!” – fragmenty ukraińskiej pieśni ludowej.
- [62] Przedsiębiorstwa rolne i przemysłu leśnego.
- [63] Dmitrij Jazow (ur. 1923) – ostatni mianowany Marszałek Związku Radzieckiego, minister obrony w latach 1987-91. Podczas II wojny światowej walczył jako dowódca plutonu, a później kompanii na frontach wołchowskim i leningradzkim.
- [64] Pendent – rodzaj pasa przerzuconego przez ramię i pierś, równoważącego obciążenie bronią boczną, zwykle białą.
- [65] Pawlik Morozow (1918-1932) – pionier rozślawiony przez stalinowską propagandę w latach 30. Według oficjalnej wersji był twórcą pierwszego oddziału pionierskiego we wsi Gierasimowka, zadenuncjował swojego ojca – kułaka (z tego powodu Pawlika miał zamordować dziadek). Pawlik Morozow stał się wzorem do naśladowania dla sowieckich dzieci – opisywano go w podręcznikach, stawiano mu pomniki, pisano o nim poematy.
- [66] „Nikt nie jest zapomniany, nic nie jest zapomniane” – fragment wiersza Olgi Bergholc, zamieszczony w 1960 roku na ścianie pamięci na Cmentarzu Piskariowskim w Leningradzie –

największej na świecie nekropolii ofiar II wojny. Obecnie używane jest w odniesieniu do pamięci o czynie żołnierzy wielkiej wojny ojczyźnianej.

[67] Kurhan Mamaja lub wzgórze 102 – najwyższy punkt Wołgogradu (dawniej Stalingrad), nekropolia i miejsce pamięci sowieckich żołnierzy poległych w bitwie stalingradzkiej.

[68] Niem.: dziękuję.

[69] Pod koniec lat 40. władze sowieckie wyłapywały na ulicach zebrzących inwalidów wojennych i przymusowo umieszczały ich w specjalnych miejscach odosobnienia, w których umierali. Na wyspie Wałaaam (gdzie znajduje się rezerwat przyrody, do którego odnosi się Autor) w północnej części jeziora Ładoga w 1950 roku powstał w budynkach byłego monasteru taki zamknięty dom opieki społecznej o specjalnym reżimie. Istniał do 1984 roku.